

Powieści Kena McClure' a

BIAŁA ŚMIERĆ,

JOKER,

KAMELEON,

OKO KRUKA,

SIEĆ INTRYG,

SPIRALA PANDORY,

SPISEK,

STRATEGIA SKORPIONA,

SZCZEPIONKA ŚMIERCI,

ZMOWA,

ŻYCIE PRZED ŻYCIEM,

Ken McCLURE

W proch się obrócisz

Przekład DARIUSZ ĆWIKŁAK

AMBER

Redakcja stylistyczna Dorota Kielczyk

Korekta Halina Lisińska Katarzyna Staniewska

Projekt graficzny okładki Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcia na okładce Wydawnictwo AMBER

Skład

Wydawnictwo AMBER Jacek Grzechulski

Druk

Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp. z o.o.

Bo prochem jesteś i w proch się obrócisz Księga Rodzaju 3,19

Tytuł oryginału Dust to Dust

Copyright © Ken McClure, 2010 AU rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2010 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o. ISBN 978-83-241-3826-5

Warszawa 2010. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o. 02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63 tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

1

Ale to jakiś obłąd. Jesteś absolutnie pewien?

- Tak, proszę pana. Niestety, nie ma wątpliwości. Wyniki są oczywiste.

Szpitala i gabinety lekarskie w publicznej służbie zdrowia zwykle wyglądają na to, czym są - wszędzie sprzęt i akcesoria medyczne, w powietrzu zapach środków odkażających - tymczasem w prywatnych lecznicach jest dokładnie odwrotnie. Gabinet lekarski sir Laurence'a Samsona przy Harley Street umeblowano na wzór najlepszych angielskich domów, co dawało bogatym pacjentom pewność, że pieniądze i status społeczny pomogą im w leczeniu, tak jak pomogły już we wszystkich innych dziedzinach ich życia.

- Chryste. - Młody mężczyzna opadł na skórzany fotel, jakby nagle stracił władzę w nogach. - Samson, właśnie skazałeś mnie na śmierć.

Laurence nie przerywał kłopotliwej ciszy.

Pacjent potarł czoło, jak gdyby podświadomie starał się wymazać z pamięci przerażające konsekwencje informacji, którą usłyszał.

- Ile mi zostało?

Samson spróbował wykonać uspokajający gest.

7

- Nie roztrząsajmy tego. Dziś, przy odpowiednich lekach i uważnej obserwacji, można znacząco opóźnić istotne objawy choroby.

- Ale w końcu... i tak mnie dopadnie, prawda?

- Niestety, na to nie ma leku.

Młody mężczyzna patrzył w otchłań przez pełne trzydzieści sekund.

- Podać panu szklankę wody?

- Pieprzyć wodę, Samson. Potrzebuję drinka. Laurence zamyślił się na chwilę, jakby zastanawiał się, czy posłuchać prośby, po czym wstał, podszedł do sekretarzyka i otworzył barek z alkoholami. Nalał do kryształowej szklanki solidną porcję dobrej whisky Single Malt i podał pacjentowi.

- Nie napijesz się ze mną? - zapytał młodzieniec oskar-życielsko. - To ma być początek podróży tą długą i samotną drogą? Lekarz już nie pije z pacjentem?

- Mam kolejne wizyty, proszę pana.

- No jasne, Samson. Chryste, co powie mój ojciec? To go może zabić. - Zakręcił płynem w szklance w jedną, potem w drugą stronę. - Żeby akurat... Jezu Chryste, co za cholerny pech. Nie powiesz mi, co?

- Tajemnica lekarska oczywiście zobowiązuje mnie do milczenia. Ale gdybym mógł coś panu doradzić, to najlepiej byłoby zwierzyć mi się jak najszybciej. Skutki dla pana i pańskiej rodziny... cóż, chyba nie muszę panu tego tłumaczyć.

- Byłyby kurewsko wielkie - dokończył młody człowiek z nutą rezygnacji i pociągnął ostatni łyk whisky, szukając jakiejś ucieczki przed gradem oskarżycielskich strzałów. - A jakie są szanse, że twoi kolesie wymyślą na to lek w najbliższej przyszłości?

- Raczej nieduże, proszę pana. Trzy miesiące temu brałem udział w konferencji na ten temat i ogólny wniosek był taki, że dziś wcale nie jesteśmy bliżej rozwiązania niż na początku.

- Nie owijasz w bawełnę, co?

- Przepraszam, ale ja nie widzę sensu w fałszywym optymizmie. Niektórzy mają na to inny pogląd, ale zwykle bardziej kieruje nimi chęć przyciągnięcia środków na badania niż cokolwiek innego.

- Pewnie powinienem być ci wdzięczny, Samson, za tę szczerość, ale teraz cholernie przydałoby mi się coś innego niż bezlitosna naga prawda. - Przełknął ślinę i pociągnął nosem. Walczył ze swoimi emocjami.

Samson kiwnął głową ze współczuciem.

- Powinniśmy jak najszybciej zacząć terapię lekami,
o których wspomniałem.

Młody człowiek przytaknął, odstawił szklankę i odmownie pokręcił głową na propozycję dolewki.

- Będę w kontakcie.

- A pański ojciec?

- Powiadomię go... Potrzebuję trochę czasu, żeby samemu się z tym pogodzić.

Cztery dni później

Laurence Samson wyjaśnił pacjentce, że badania wykazały, że to mało prawdopodobne, aby naturalnie zaszła w ciążę,

i zaczął objaśniać inne rozwiązania, kiedy zadzwonił telefon na biurku. Podniósł słuchawkę.

- Eve, proszę przecież, żeby mi teraz nie przeszkadzać - warknął.

- Uważam, że ten telefon powinien pan jednak odebrać, doktorze Laurence - odparła spokojnie recepcjonistka.

8

9

- No dobrze. - Samson pożałował, że warknął na kobietę, która pracuje u niego od sześciu lat i nie przyszłoby jej do głowy niepokoić go z byle powodu. Ale od czterech dni był na granicy wytrzymałości. Przepraszająco uśmiechnął się do pacjentki, a kiedy usłyszał głos w słuchawce, zeszywniał. -Tak, proszę pana, przy telefonie. - W milczeniu słuchał rozmówcy. Wiedział, że pacjentka go obserwuje, więc starał się nie zdradzać, że jest poruszony. - Doskonale, proszę pana. Rozumiem, że chciałby pan, bym tam przyjechał...? Świetnie. Proszę powiedzieć kierowcy, że będę na Harley Street... Do zobaczenia o ósmej wieczorem.

Godzina 20.00

Samson był zdenerwowany, a dla człowieka zwykle opanowanego to niecodzienne przeżycie. Jednak większość ludzi w tych okolicznościach byłaby bardzo onieśmielona. Czuł, jakby wypchnięto go na scenę, by grał główną rolę, choć nie zna całego scenariusza ani w ogóle nie ma ochoty na udział w tym przedstawieniu. Musiał nawet otrzeć pot z dłoni, ukradkiem sięgając do kieszeni spodni i ściskając chusteczkę, kiedy do pomieszczenia wszedł gospodarz bez śladu uśmiechu na twarzy.

Formalności zajęły tylko chwilę, Samson podziękował za picie.

- Może przejdźmy od razu do rzeczy, sir Laurence. Syn opowiedział mi wszystko. Boże, co za koszmar.

- To bardzo nieszczęśliwy wypadek, ale wirusy nie zważają na... - Samson już miał na końcu języka słowa „majątek” i „przywileje”, ale szybko to przemyślał i poprzestał na „nikogo”. W spojrzeniu, jakie dostał w odpowiedzi, nie było krzty zrozumienia. - Cieszę się, że syn zwierzył się panu na tym wczesnym etapie - mówił dalej. - Na pewno nie było mu ła-

two, ale od razu muszę przypomnieć, że jest moim pacjentem i nie mogę w pełni...

- Dobrze już, dajmy sobie spokój z tą całą przysięgą Hi-pokratesa - przerwał gospodarz Samsonowi i niecierpliwie machnął ręką. - Brzmi to jak wyświechtana kwestia z jakiegoś filmu. Nie chcę wnikać w szczegóły jego stanu. Chcę tylko wyleczyć syna. Chcę, żeby znów był zdrowy. Żeby uwolnił się od tego... czegoś i wrócił do normalnego życia.

Samson przełknął ślinę. Z trudem, bo w ustach całkiem mu zaschło, ale uderzył go nieoczekiwany brak racjonalności w słowach gospodarza.

- Przepraszam... - zaczął się jąkać - można oczywiście osiągnąć pewien znaczący okres... remisji, że tak powiem, ale pełne wyleczenie jest niemożliwe... przynajmniej na tym etapie... choć oczywiście medycyna robi postępy każdego dnia...

- Powiedziano mi, że znaleziono już na to metodę. Samson poczuł, że gospodarz testuje go wzrokiem i że za

chwilę ten test obleje. Kiedy cisza stała się nie do zniesienia, postanowił odezwać się pierwszy:

- Przykro mi, chyba nie rozumiem... Najwyraźniej nie wiem, o jakim dokonaniu pan mówi...

- Kiedy tylko dotarła do mnie ta pieprzona zła wiadomość, zacząłem rozpytywać dyskretnie i usłyszałem, że wyleczenie tego czegoś nie leży już poza zasięgiem możliwości. Najwyraźniej istnieje realna alternatywa dla bezczynnego leżenia i godzenia się z losem.

Po słowie „alternatywa” w głowie Samsona rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Obawiał się, że zaraz zostanie wciągnięty w świat medycyny niekonwencjonalnej, na co nie miał czasu. Uważał, że tak zwane terapie to albo oszustwo, albo w najlepszym wypadku efekt placebo.

10

11

- Doprawdy?

- Po raz pierwszy zastosowano ją w Berlinie.

- W Berlinie? - powtórzył Samson jak echo i nagle zrozumiał, o czym mówi gospodarz. - Ach... - Westchnął, patrząc na swoje buty, jakby nie do końca zadowolony z kierunku, w jakim zmierza ta rozmowa. - Chyba przypominam sobie jakiś odosobniony przypadek, na który pan się powołuje.

Gospodarz był wyraźnie poirytowany widocznym brakiem entuzjazmu Samsona.

- Co z wami jest, lekarze? Cholerni konserwatyści. To jak? Udało się człowieka wyleczyć czy nie?

- Nie znam wszystkich szczegółów tego przypadku, choć oczywiście czytałem raporty. Mogę jednak powiedzieć, że... czasami wdraża się nietypowe procedury u pacjentów, którym nie sposób już pomóc.

- Sugeruje pan, że z tego pacjenta zrobiono królika doświadczalnego?

Przerażony Samson uniósł ręce.

- Nie śmiałbym krytykować decyzji swoich europejskich kolegów. Jak rozumiem, przeprowadzono jednostkowy zabieg na pacjencie, który źle rokował z innych powodów. To było bardzo ryzykowne posunięcie i może dało się je uzasadnić jedynie inną przypadłością, na którą cierpiał pacjent. Z całą pewnością tej terapii daleko do rutynowej procedury. I wątpię, by kiedykolwiek w ogóle taką mogła być.

- A mojemu synowi z całą pewnością daleko do rutynowego przypadku, panie Laurence.

- Rzecz jasna, proszę pana.

- Trudno przecenić wagę tego, by kiedyś mógł splotdzić zdrowe dzieci.

- Oczywiście, proszę pana.

- Czy to wykonalne?

12

Samson zawahał się, wyraźnie niezadowolony, że nie potrafi zawrócić gospodarza z obranej drogi.

- Przypuszczam, że teoretycznie to możliwe, jeśli znalazłoby się doskonałego dawcę i wszystko inne poszło jak w zegarku. Warunki musiałyby być oczywiście idealne... ale czuję się w obowiązku z całą mocą zaznaczyć, że przygotowania do takiego zabiegu wymagałyby bardzo wiele od pacjenta. Potencjalnie to może być katastrofalne przedsięwzięcie.

- A jaka jest alternatywa dla tego potencjalnie katastrofalnego przedsięwzięcia, panie Laurence?

- Rozumiem - zgodził się Samson.

- W takim razie proszę się tym zająć. Oddaję zdrowie mojego syna w pańskie ręce. Chcę, żeby został wyleczony, i to w całkowitej tajemnicy. Nikt nigdy nie może się o tym dowiedzieć.

Samson pokręcił głową i zebrał się w sobie do ostatniej próby odwiedzenia gospodarza od tej decyzji.

- Powiedziałem, że to teoretycznie możliwe - przypomniał. - Ale praktyczne trudności związane z organizacją takiej operacji i utrzymaniem jej w tajemnicy są po prostu zbyt... - Zabrakło mu słów i zamilkł.

- Doskonale zdaję sobie sprawę, że nie może pan tego zrobić sam, panie Laurence. Nie jestem przecież idiotą. Dlatego poprosiłem o pomoc zaufanych przyjaciół, wpływowych ludzi na wysokich stanowiskach. Zapewnię panu wszelkie środki i niezbędną pomoc. Wystarczy tylko poprosić. No i co pan na to?

- Muszę to przemyśleć.

- Proszę zadzwonić do mnie jutro.

Stojący na kominku zegar ze złotą karocą wybił pełną godzinę, przerywając coraz dłuższą ciszę w pokoju, którą w ten szary lutowy dzień mącił jedynie ledwo słyszalny szum londyńskiej ulicy dochodzący zza podwójnych okien.

- Uznałem, że powinniśmy spotkać się z panem Lau-rence'em, by dokładnie omówić to, o co nas poproszono, i upewnić się, że wszyscy dobrze rozumiemy, w co wchodzimy - odezwał się właściciel domu w ekskluzywnej dzielnicy Belgravia. - W tym, co robimy, nie dostaniemy żadnego oficjalnego wsparcia. Nie będzie żadnych komisji ani ciał doradczych, żeby się do nich odwołać. Jeśli coś pójdzie źle, na nikogo nie zrzucimy winy, a jeśli pójdzie dobrze, nie zgarniemy wielkich nagród za sukces. Poza człowiekiem, który odwołał się do naszej przyjaźni i lojalności, tylko my wiemy o tej misji i tak ma pozostać.

Zebrani przytaknęli.

- Mamy pewność, że to się uda? - zapytał mężczyzna tak wyraźnie zdenerwowany, że aż złamał ołówek, który dostał razem z leżącym przed nim notatnikiem.

Tak jak inni miał na sobie ciemny garnitur, w tym mieście to odpowiednik munduru. Tylko krawaty części zebranych odzierały ich z anonimowości, choć w różnym stopniu. Pytanie padło w stronę siwowłosego uczestnika spotkania - krawat z węzłem i laską Eskulapa wskazywał na jego związek z medycyną.

- Nie - odparł. - Pan Laurence i ja zgadzamy się, że nie można dać żadnych gwarancji. Główny punkt tego zabiegu to w najlepszym przypadku ryzykowna sprawa, nie biorąc pod uwagę powodu, dla którego ją wykonujemy. Ale w tych oko-

licznościach to niemal na pewno jedyna szansa na... uratowanie sytuacji.

Człowiek u szczytu stołu - sądząc po krawacie absolwent Cambridge - uśmiechnął się pod nosem, gdy usłyszał ten eufemizm.

- I jedyna szansa, by zapobiec potężnemu skandalowi - dodał.

- A nie zagalopowaliśmy się trochę? - zapytał ten, który złamał ołówek. - Lecimy na złamanie karku, a nie rozważyliśmy innych rozwiązań...

- Bo ich nie ma - odparł absolwent Cambridge. Jego mina sugerowała, że najwyraźniej spodziewał się takiej reakcji. Popatrzył na stół, jakby chciał chwilę odczekać.

Choć sprowadził ich tu wspólny przyjaciel, obaj mężczyźni nie mieli ze sobą wiele wspólnego, różnili się osobowością i poglądami. Absolwent Cambridge myślał pozytywnie, cechowała go pewność siebie granicząca z arogancją, natomiast nerwowy uczestnik zebrania lubił wszystko szczegółowo analizować i był wręcz uosobieniem ostrożności.

- Oczywiście to nie będzie łatwe - ciągnął nerwowo. - Ale czy ryzyko związane z tym, co proponujecie, nie jest przypadkiem zbyt wielkie, by w ogóle to rozważyć? Myślę, że przy odpowiednim PR i rozsądnym zarządzaniu udałoby się uciszyć burzę. Historia pokazuje...

- Czasy się zmieniły - przerwał mu ten z Cambridge. - Ludzie też. Razem z ich postrzeganiem wielu rzeczy, które kiedyś wydawały nam się fundamentalne. Gdyby w kraju i za granicą panowały inne nastroje, to kto wie, ale mamy światową recesję, rosnące bezrobocie, funt stoi na skraju przepaści... Nawet cholerna pogoda spiskuje przeciwko nam tej zimy. A jak jeszcze wypłynie takie coś, może dojść do całkowitego załamania zaufania społecznego. Dla wielu to będzie kropla,

14

15

która przeleje czarę, bo odkryją, że to, w co wierzyli, czemu ufali, co czcili, obraca się w proch, zwłaszcza że nie mają pracy, oszczędności, żadnych perspektyw i wiary w cokolwiek. Socjologowie... nie żebym znał całe to towarzystwo, ale już się zastanawiają, czy ten gniew nie przerodzi się w anarchię w nie tak odległej przyszłości.

- Mówiliście, że poza nami nikt się nie dowie - drążył nerwowo mężczyzna. - Ale z pewnością trzeba będzie kogoś jeszcze zaangażować. Przecież czegoś takiego nie da rady zrobić jeden lekarz w jakimś ustronnym miejscu.

- Trzeba będzie zaangażować wielu ludzi - przyznał ten z Cambridge. - Ale jak rozumiem, główny element tej procedury nie jest niczym niezwykłym. Zgadza się, panie Laurence?

Samson kiwnął głową. (

- Może to nie rutynowy zabieg, ale niemal codziennie przeprowadza się go w jakimś zakątku kraju, choć z innych powodów. Różnica polega oczywiście na tym, kto mu się poddaje i dlaczego. Ludzi, którzy będą w tym uczestniczyć, należy prześwietlić jak najdokładniej.

- Tym zajmie się James - zapewnił go człowiek z Cambridge i odwrócił się do jedynej mężczyzny w pokoju ze zwykłym krawatem.

James Monk nie zareagował, siedział i zimno wpatrywał się w przestrzeń.

- James dopilnuje, by wszystko przebiegło w absolutnej tajemnicy. Nikt potem nie sprzeda nigdzie swojej historii - te słowa człowiek z Cambridge wypowiedział z pogardą. - Ani nie ozdobi swoich nudnych pamiętników szczegółami sprawy. Ta cała sprawa musi być załatwiona w tajemnicy i pozostać tajemnicą na zawsze. To nie podlega dyskusji. Całkowite milczenie wszystkich uczestników to warunek sine qua non.

Laurence Samson spojrział podejrzliwie na Jamesa Monka.

- Nie rozumiem, jak możecie coś takiego zagwarantować - powiedział niemal oskarżycielsko.

Monk wzruszył lekko ramionami, ale nie uznał za stosowne odpowiedzieć, a nikt inny nie miał ochoty rozwijać tematu. Samson poczuł się wyraźnie nieswojo, kiedy wydedukował to, czego nie powiedziano - bywa, że o niektórych rzeczach lepiej nie wiedzieć, choć niestety dobrze się wie, o co chodzi.

- Nie oczekujemy, by brał pan udział w... mechanizmach dotyczących spraw bezpieczeństwa, panie Laurence - odezwał się znów mężczyzna z Cambridge w nadziei, że przekona Samsona do uczestnictwa w misji. - Jesteśmy tu po to, by pomagać panu, jak tylko będziemy mogli. Mamy dwa cele: wyleczyć syna naszego przyjaciela i dopilnować, by ta cała sprawa pozostała w tajemnicy. Pana interesuje wyłącznie pierwszy punkt.

Samson potwierdził skinieniem głowy, że rozumie.

- Proponowałbym - ciągnął absolwent Cambridge - by każdy z nas skupił się po prostu na swojej roli.

Zebrani pokiwali głowami.

- Świetnie, w takim razie nie wnikajmy zbyt głęboko w obowiązki innych. Jeśli każdy z nas wypełni swoje zadanie, istnieje duża szansa, by osiągnąć coś zupełnie niezwykłego.

- A jeśli się nie uda? - zapytał nerwowy mężczyzna.

- W ogóle nie bierzmy tego pod uwagę - zgasił go absolwent Cambridge lodowatym głosem.

- Słusznie, słusznie - odezwało się jednocześnie kilku zebranych i nerwowy musiał wycofać się do swojej skorupy.

- A zatem, panowie, czas na najważniejsze pytanie. Czy wszyscy zgadzamy się, że powinniśmy pomóc naszemu przyjacielowi w potrzebie? - Człowiek z Cambridge rozejrzał się po pokoju. - Charles?

16

2 - W proch się obrócisz

17

Mężczyzna w krawacie z Eaton skinął głową.

- Marcus? Christopher? Dwa kolejne kiwnięcia.

- Pułkowniku?

Mężczyzna w krawacie londyńskiego regimentu także przytaknął.

- Z pewnością zrobię, co do mnie należy.

- Malcolm? Nerwowy kiwnął głową.

- Chyba tak.

- Doktorze?

- Pan Laurence i ja wyszukaliśmy najlepszych lekarzy w kraju i przekazaliśmy dane o nich ludziom Jamesa, by ich przesiali po wstępnym kontakcie - powiedział uczestnik w krawacie z kaduceuszem.

- A co ze wstępnym kontaktem?

- Nasza zaprzyjaźniona kancelaria prawna zgodziła się zająć wszystkim jak zwykle w absolutnej dyskrekcji.

- Kandydaci są już obserwowani - dorzucił Monk.

- Świetnie - odparł absolwent Cambridge. - Lepiej, żeby żaden z nich nie urwał się na konferencję na drugim końcu świata, kiedy będzie nam najbardziej potrzebny.

3

Niespokojnie spałeś w nocy - powiedziała Cassie Motram, kiedy mąż wszedł do kuchni na śniadanie.

John Motram zawiązał szlafrok i usadowił się na jednym z nowych stołków, które Cassie dokupiła do zainstalowanego

niedawno baru śniadaniowego. Był trochę za niski, by wygodnie usiąść na tym stołku, i nie ukrywał swojej irytacji.

- Czuję się jak w amerykańskim filmie - narzekał. - Co, na Boga, było nie tak ze stołem i krzesłami?

- Idziemy z duchem czasu - upierała się Cassie, nie zważając na jego gderanie. - Tak jak mówiłam...

- Miałem zły sen.

- Hm. Ostatnio często miewasz złe sny. Co cię gryzie? Mąż zerknął na nią kątem oka, jakby się zastanawiał, czy

się zwierzyć.

- Chyba nie odnowią mi grantu na badania historyczne - powiedział w końcu.

- Wcześniej zawsze ci odnawiali. Czemu tym razem miałyby być inaczej? A może zwalają winę na kryzys kredytowy, tak jak wszyscy w tym kraju?

- Nie tylko o to chodzi. Uniwersytet w ogóle się zmienia - westchnął John. - Stypendia odchodzą w przeszłość. Dążenie do wiedzy już nie wystarcza sztywniakom, którzy trzymają władzę. Musi powstać jakiś „produkt końcowy”, coś, co liczy-krupy z uniwerku mogą opatentować, sprzedać. To, „co robisz, musi mieć „ekonomiczne uzasadnienie”.

- A badania nad epidemiami w XIV wieku są nieopłacalne?

- Sami lepiej by tego nie ujęli - mruknął John. - Choć oczywiście nie mówią tego wprost, tylko mydlą mi

oczy tym kretyńskim żargonem, jaki ostatnio się rozplenił: że trzeba „iść naprzód”, „uczestniczyć we współpracy”, „wejść w XXI wiek”. Skąd im się biorą te bzdury?

- Tacy ludzie są wszędzie - powiedziała Cassie ze współczuciem. - Ostatnio w Instytucie Kobiet pewna pani miała referat na temat, jak to określiła, detoksyfikacji systemu. Zapytałam, jakie toksyny zamierza usuwać, a ona się zdenerwowała

18

19

i zaczęła dopytywać, czy jestem wykwalifikowaną dietetyczką. Odparłam, że nie, bo jestem cholernym lekarzem, i czy byłaby łaskawa odpowiedzieć na pytanie. Oczywiście nie odpowiedziała. A w ogóle kto to jest, do diabła, wykwalifikowana dietetyczka?

- Ostatnio nauka łączy się z modą i tacy pseudonaukowcy pojawiają się wszędzie, wciskając ludziom kit.

- Może powinniśmy zmienić zawód. - Cassie wzięła dzbanek z mlekiem.

- Pewnie będę musiał, kiedy skończą mi się pieniądze z grantu. Wiesz... - John przerwał na chwilę, by powalczyć ze stoikiem dżemu. - Chyba przekwalifikuję się na stylistę paznokci dla gwiazd.

Cassie omal nie udławiła się płatkami.

- Skąd, u licha, wytrzasnąłeś coś takiego? - zdziwiła się.

- Słyszałem, jak w telewizji śniadaniowej przedstawiają w ten sposób jedną babkę, i pomyślałem, że to coś dla mnie... John Motram, stylistę paznokci dla gwiazd. Pal sześć wyższe wykształcenie, zrobimy coś naprawdę ważnego i zaczniemy polerować paznokcie bogatym i sławnym. A ty kim zostaniesz?

- Międzynarodową kolorystką fryzur - odparła Cassie po chwili zastanowienia. - Pomysł z tego samego źródła.

- No to postanowione. Czeka nas nowe życie.

- Szkoda, że jesteśmy po pięćdziesiątce - westchnęła Cassie. - A na mnie czekają z operacją.

- A ja muszę przestraszyć, a może i zaszokować studentów drugiego roku na zajęciach z mikrobiologii medycznej - stwierdził John. - Jaka szkoda. Myślałem, że polecimy sobie do Los Angeles czy dokąd tam ci ludzie znikają na weekend.

Szczęknęła skrzynka na listy, a poczta wylądowała na podłodze. Cassie zsunęła się ze stołka i w samych pończochach podreptała na werandę. Wróciła, przeglądając koper-

ty z głową przechyloną na bok. Szybko rozpoznawała, co się w nich znajduje.

- Rachunki... rachunki... śmieci... śmieci... kartka z Barcelony od Billa i Janet, musimy tam się wybrać, rozmawiamy o tym od wieków... i coś do ciebie... z uniwersytetu w Oksfordzie. Ni mniej, ni więcej tylko z

Balliol College.

- Naprawdę? - John wziął list i niedbale otworzył go kciukiem. Czytał przez jakieś pół minuty, aż w końcu się odezwał: - Wielki Boże.

- No co? Nie bądź taki tajemniczy.

- To od dziekana Balliol. Chce się ze mną spotkać w przyszłym tygodniu.

- Po co?

- Nie napisał. - John podał żonie list.

- Dziwne. Pojedziesz?

- A co mam do stracenia?

- Może usłyszał, że rozważasz zmianę profesji i chce ci zaproponować katedrę technologii pielęgnacji paznokci u gwiazd?

- Kto wie. - John dostojnie skinął głową. - Ale przyjmę ofertę tylko wtedy, jeśli dostaniesz grant badawczy w dziedzinie międzynarodowej koloryzacji fryzur.

- Zgoda - odparła Cassie, wsuwając stopy w buty. - A na razie muszę poleczyć chore gardła i zrobić kilka zastrzyków... Miłego dnia, jak to się mówi w branży międzynarodowych kolorystek.

- Nawzajem. Może powinienem się głębiej nad tym wszystkim zastanowić...

- Jak najbardziej... Przekraczaj granice...

Cassie wyszła do szpitala, a John posprzątał po śniadaniu, ale ciągle nurtował go list z Oksfordu. Jako szanowany wykładowca biologii komórkowej na uniwersytecie w Newcastle nie miał zbyt wiele wspólnego z Oxbridge, choć bywał zarówno

20

21

w Oksfordzie, jak i w Cambridge na rozmaitych konferencjach czy spotkaniach i bardzo mu się podobało na obu uczelniach. Zresztą nic dziwnego: był urodzonym naukowcem, a tam wysoko ceniono zamiłowanie do nauki. Kiedyś żałował, że po studiach nie mógł wykładać w Cambridge, ale podjęcie pracy naukowej na uniwersytecie bliżej domu wydawało się wtedy rozsądniejsze i pozwalało mu wspomagać rodzinę dzięki dorywczym zajęciom. Musiał brać takie rzeczy pod uwagę, bo matka utrzymywała rodzinę, sprzątając domy zamożnych ludzi, a ojciec siedział w domu na rencie, bo trzydzieści lat harówki pod ziemią w kopalni zniszczyło mu płuca.

Oboje rodzice zmarli już dawno temu, ale do dziś, gdy ktoś zakasłał na ulicy, Johnowi przypominał się ciężki oddech ojca. Rodzice dożyli tego, jak ukończył z wyróżnieniem uczelnię w Durham, ale ojciec już

nie doczekał obrony doktoratu i nigdy nie zobaczył, z jaką dumą matka nazywała syna „doktorem”.

To, że Motram nie wyjechał do Cambridge, bynajmniej nie zahamowało jego kariery. Dzięki wrodzonym zdolnościom odbył kilka podoktoranckich stypendiów na prestiżowych amerykańskich uniwersytetach, gdzie zyskał międzynarodowy rozgłos jako badacz mechanizmów rozwoju infekcji wirusowych. Szczególnie interesowały go epidemie w dawnych czasach, choć ta pasja musiała często ustępować miejsca badaniom nad współczesnymi problemami, bo na to łatwiej było uzyskać fundusze.

John poznał Cassie niedługo po tym, jak dostał posadę wykładowcy na uniwersytecie w Newcastle. Studiowała na ostatnim roku medycyny. Szybko uznał, że to dziewczyna dla niego. Rodzice Cassie nie przyklasnęli temu wyborowi, bo mieli wyższe społeczne aspiracje wobec swojej inteligentnej córki. Miłość jednak okazała się silniejsza niż gromy wściekłości rodziców i pół roku później wzięli ślub.

Małżeństwo od początku mieli udane, przetrwali trudne chwile pierwszych kilku lat w wymagającej pracy. Oboje stawiali przecież dopiero pierwsze kroki w swoich zawodach. Cassie było szczególnie trudno, bo jako stażystka w mocno obłożonym szpitalu musiała być na każde wezwanie w dzień i w nocy. Życie stało się prostsze, kiedy Cassie ukończyła specjalizację, a John zaczął robić coraz większą karierę naukową, przez co łatwiej pozyskiwał środki na badania.

Urodziło im się dwoje dzieci, którym zapewнили jak najlepszy start w życiu. Córka Chloe pracowała jako tłumaczka w Komisji Europejskiej w Brukseli, a syn poszedł w ślady matki - skończył medycynę i został chirurgiem. Nie doczekali się jeszcze wnucząt, ale ciepło myśleli o tej perspektywie. Cassie, która miała oko do wnętrza, już się zastanawiała, jak wyremontować jeden z pokojów na górze, by „nadawał się dla maluchów”.

4

John Motram niespiesznie spacerował uliczkami Oksfordu, napawając się niewątpliwym czarem tego miejsca i chłonąc historyczną atmosferę. Uśmiechnął się, kiedy zdał sobie sprawę, że jego sentyment do tych wspaniałych wież wynika nie tylko z powodów akademickich. Swoją rolę odegrał też inspektor Morse, którego Motram uwielbiał. Uświadomił sobie, że cały czas rozgląda się za jaguarem mark seven Morse'a.

Wnętrze Balliol College też go nie rozczarowało. Podobało mu się tu coraz bardziej.

22

23

- Pan dziekan zaprasza - odezwała się z szacunkiem kobieta, która wyglądała na filar swojej parafii, ubrana z klasą, od wysokiego kołnierza spiętego owalną broszą po wypolerowane skórzane pantofle.

Wprowadziła Motrama do wielkiego gabinetu, który musiał robić wrażenie. Wystrój nie był minimalistyczny - żadnego metalu i plastiku. Niepodzielnie rządziło drewno - stare i polerowane - prezentujące się doskonale w świetle, jakie wpadało przez kilka wysokich okien z witrażami. Przez te

okna dobiegały też dźwięki dzwonów i kurantów, potwierdzające, że Motram przybył punktualnie na umówioną godzinę jedenastą.

Za biurka wstał wysoki mężczyzna o patrycjuszowskim wyglądzie i się uśmiechnął.

- Doktorze Motram, świetnie, że pan nas odwiedził. Nazywam się Andrew Harvey, jestem dziekanem Balliol. Proszę, niech pan usiądzie. Zapewne dziwi się pan i zastanawia, o co chodzi.

To nie było pytanie, ale Motram przez ostatni tydzień praktycznie nie myślał o niczym innym, więc zdecydował się zabrać głos.

- Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie jestem zaintrygowany.

- No właśnie. Mikrobiologia to nie moja specjalność, ale rozumiem, że pan zajmuje się zarówno obecnie występującymi wirusami, jak i dawnymi epidemiami, prawda?

- To dość dobry opis.

- Co pana tak ciekawi w epidemiach sprzed wieków, doktorze?

- Ich przyczyna. Wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy, że mikrobiologia to bardzo młoda nauka. Bakterie odkryto dopiero pod koniec XIX wieku, a wirusy jeszcze później, tak więc przyczyny wielkich epidemii z przeszłości określano, opierając się raczej na domysłach... albo założeniach.

Harvey uśmiechnął się, słysząc, jak kwaśno Motram wypowiedział ostatnie słowo.

- Z tego, co wiem... pan i pańscy koledzy naukowcy macie różne zdanie na temat przyczyn czarnej śmierci. Zgadza się?

- Owszem.

- Proszę mi o tym opowiedzieć.

Motram lekko zmarszczył czoło. Nie do końca rozumiał, w czym rzecz.

- Powszechnie uważa się, i ten pogląd podzielają nie tylko laicy, ale także część moich kolegów, że pandemia z XIV wieku znana jako czarna śmierć, która zabiła jedną trzecią populacji Europy, została wywołana przez wybuch dżumy.

- Cóż, chyba należę do tej grupy, która podpisuje się pod tym poglądem - wtrącił się Harvey. - Czyżby nie to ją wywołało?

- Moim zdaniem nie.

- W takim razie co?

- Jestem przekonany, że wirus.

Harvey wyglądał na trochę zagubionego. Motram uśmiechnął się, gdy zrozumiał, na czym polega problem.

- Między bakteriami i wirusami istnieje ogromna różnica - wyjaśnił. - To zupełnie inne drobnoustroje, choć z niejasnych dla mnie powodów ludzie nie chcą przyjąć tego do wiadomości.

- Ach, edukacja społeczeństwa - westchnął Harvey i wygodnie usadowił się w fotelu, z lekko rozbawioną miną. - Niełatwy kawałek chleba. Ale czym różnią się bakterie od wirusów, doktorze?

Udało mu się zawrzeć w tym pytaniu niewypowiedzianą wątpliwość: I czy to ma jakieś znaczenie?

- Bakterie są w stanie egzystować niezależnie - wyjaśnił Motram. - To organizmy żyjące własnym życiem. Jeśli znajdują odpowiednią pożywkę, mają wszystko co trzeba, by rosnąć

24

25

i się namnażać. Wirusy z kolei mogą istnieć jedynie w żyjących komórkach. W istocie od dawna toczy się spór, czy w ogóle powinno się je traktować jako istoty żyjące. Harvey kiwnął głową.

- Rozumiem.

- Kolejna duża i bardziej praktyczna różnica polega na tym, że infekcje bakteryjne da się leczyć antybiotykami. W przypadku wirusów antybiotyki są nieskuteczne.

- Skąd zatem przypuszczenie, że czarna śmierć wywołał wirus, a nie dżuma, która, jak wnoszę po tym, co pan powiedział, musi być bakterią?

Motram przytaknął.

- Pałeczkowatą bakterią o nazwie *Yersinia pestis*, od nazwiska francuskiego biologa Yersina, który pracował z Ludwikiem Pasteurem. Pierwotnie nazwano ją *Pasteurella pestis*, ale w końcu sprawiedliwość zwyciężyła.

Harvey uśmiechnął się błagalnie, jakby mówił „za dużo informacji”, i Motram skrócił wykład.

- O ile pamiętam, zacząłem się nad tym zastanawiać dziesięć lat temu, kiedy badałem tempo rozprzestrzeniania się czarnej śmierci w Europie. Zupełnie nie pasowało mi do bakteryjnej infekcji, takiej jak dżuma, i nie zachodziły spodziewane różnice związane z porami roku.

- Tempo było szybsze czy wolniejsze, niż pan przypuszczał?

- O wiele szybsze. Dżuma to głównie choroba szczurów. Ludzi zarażają pchły. Ale czarna śmierć rozprzestrzeniła się niczym pożar suchego lasu, jakby przenosiła się w powietrzu jak grypa.

- To tylko pańskie podejrzenia?

- Już nie - odparł Motram. - Naukowcy badają genetyczną mutację u ludzi, która zapewnia odporność na pewne za-

każenia wirusowe. Nazywa się ona Delta 32 i sprowadza się do braku pewnego receptora na powierzchni niektórych komórek organizmu, przez co wirusy nie mają do nich dostępu, choć w normalnej sytuacji by je zainfekowały. Harvey skinął głową.

- Przepraszam, pewnie wydam się panu okropnym ignorantem, ale... gdzie tu związek z czarną śmiercią?

- Zanim przez Europę przetoczyła się czarna śmierć, mutacja Delta 32 występowała w ogólnej populacji z częstotliwością około jeden na czterdzieści tysięcy.

- A potem?

- Około jeden na siedem.

Harvey wypuścił powietrze, gwizdząc cicho.

- Aha, czyli ludzie bez tej mutacji zarażali się dżumą w przeciwieństwie do tych nielicznych, u których występowała mutacja.

- Otóż to. Posiadanie mutacji Delta 32 było wówczas ogromną zaletą - powiedział Motram. - Oczywiście z mojego punktu widzenia najistotniejsze jest to, że ta mutacja powstrzymuje wirusy przed wnikaniem w komórki, nie bakterie. Bakterie nie muszą przedostawać się do komórek. A zatem w tym przypadku to bez znaczenia, czy ktoś ma mutację Delta 32, czy nie.

- No i proszę. Trafiony, zatopiony. Wygląda na to, że czarną śmierć wywołał wirus, nie bakteria.

- Tak przynajmniej uważam.

Harvey zauważył, że odpowiedź Motrama zabrzmiała ostrożnie.

- Czy to nie kończy dyskusji? - zapytał.

- Niestety nie. Stara gwardia wciąż się upiera, że czarną śmierć wywołała dżuma, i nowe ustalenia traktują jak nonsens i akademickie bajanie, coś w rodzaju trzeciego kłamstwa z powiedzenia Disraeliego.

26

27

- Statystyka. - Harvey się uśmiechnął.

- Nawet ci, którzy przeszli do obozu opowiadających się za wirusami, kłócą się teraz, jaki to mógł być wirus. Jednym z ulubionych typów jest ospa. Dowiedziono też, że mógłby wyrzucić selektywne naciski, niezbędne, by nastąpiła tak drastyczna zmiana genetyczna w populacji, czego dżuma z całą pewnością nie zdołałaby dokonać. Są i tacy, którzy uważają, że chorobę wywoływała kombinacja różnych infekcji. Istnieje też oczywiście jedna intrygująca opcja, że chodzi o całkowicie inny wirus, dziś nam nieznaną.

- Zabójca z przeszłości. - Harvey uniósł brwi. - Proszę mi wybaczyć, ale czy nie da się ustalić przyczyny tej epidemii po prostu... trochę kopiąc w przeszłości, że się tak wyrażę?

- Nieraz czyniono takie starania - odparł Motram. - Ale mówimy o wydarzeniach sprzed siedmiuset lat. Doczesne szczątki zwykle nie wytrzymują tak długo.

Harvey oparł łokcie na biurku i ułożył palce w piramidkę, po czym zapatrzył się w dal.

- Wie pan, chyba sobie przypominam, że czytałem coś o grupie naukowców, którzy podobno wykryli dżumę u ofiar czarnej śmierci... o ile pamiętam, gdzieś w Europie.

Motram przytaknął.

- We Francji. Trafili na pałeczki dżumy w pozostałościach zębiny w ekshumowanym ciele. Sęk w tym, że nikomu nie udało się tego powtórzyć. Inni nic nie znaleźli.

- A więc to francuskie odkrycie jest... wątpliwe?

- Tego nie twierdzę - odparł Motram. - Wydaje się, że badane przez nich zwłoki to rzeczywiście ofiara dżumy. Ale bez potwierdzenia na innych przypadkach nie można odpowiedzialnie stwierdzić, że to dżuma wywołała czarną śmierć, a jedynie, że dżuma zabiła badaną ofiarę.

Harvey kiwnął głową zamyślony.

- A więc gdyby miał pan wiele ofiar czarnej śmierci zachowanych w dobrym stanie, bardzo by to panu pomogło?

- Oczywiście, że tak - odparł Motram. - Ale po siedmiuset latach szanse na to są...

- Właśnie dlatego pana tu zaprosiłem, doktorze Motram.

Otworzyły się drzwi i na srebrnej tacy wniesiono herbatę. Motram zastanawiał się, czy Harvey ma ukryty w biurku guzik i wciska go w odpowiedniej chwili.

- Mleko, cytryna?

- Nie, dziękuję - odparł Motram. - Samą herbatę poproszę.

- Słusznie. Porządna darjeeling nie wymaga żadnych dodatków.

Motram wziął porcelanową filiżankę ze spodkiem od kobiety, która wprowadziła go do gabinetu. Już nie pamiętał, kiedy ostatnio trzymał w ręku filiżankę ze spodkiem. Na jego biurku daleko na północy stał kubek, który przydałoby się porządnie wyszorować od środka.

- Co pan wie o Balliol, doktorze?

- O ile się orientuję, to najstarszy college w Oksfordzie.

- Tak stary, że data jego założenia nie jest pewna, ale przeważnie przyjmuje się, że nastąpiło to około 1263 roku.

Motram się uśmiechnął.

- Jeszcze przed epidemią czarnej śmierci.

- Rzeczywiście przed - zgodził się Harvey. - Założycielami byli John Balliol, majątny człowiek z posiadłościami we Francji i Anglii, oraz jego żona Devorgilla, córka szkockiego

28

29

szlachcica i naprawdę niezwykła kobieta. Ich syn, również John Balliol, został królem Szkocji, choć trzeba przyznać, że niczym szczególnym się nie wyróżnił i chyba lepiej o nim zapomnieć. Devorgille za to dobrze zapamiętano. Nie dość, że założyła ten college i dała mu pierwszą prawdziwą pieczęć, którą przechowujemy do dziś, to ufundowała również opactwo cystersów w Dumfries i Galloway, filię opactwa Dundren-nan. Miało się nazywać Nowym Opactwem, ale z przyczyn, jakie niektórzy ludzie uznają za makabryczne, nazwano je Opactwem Słodkiego Serca.

Harvey przerwał, by upić łyk herbaty. Motram pomyślał, że dziekan doskonale wie, gdzie zrobić przerwę w tej opowieści.

- Kiedy w 1269 roku zmarł John Balliol, Devorgillaomal nie postradała zmysłów z żalu. Kazała wyjąć serce męża i zabalsamować, by mogła je wszędzie ze sobą nosić w szkatułce z kości słoniowej i srebra. - Zauważył minę Motrama i dodał: - Widzę, że czuje pan jednocześnie podziw i odrazę, tak jak wielu innych, którzy słuchali tej opowieści.

Motram się uśmiechnął.

- Przepraszam. Niech pan opowiada dalej.

- Kiedy w 1273 roku kazała wznieść opactwo na jego cześć, mnisi postanowili nazwać je Dulce Cor, słodkie serce, a nie Nowe Opactwo, jak planowano. Ta nazwa przetrwała ponad siedemset lat. Devorgilla i jej mąż leżą tam pochowani po dziś dzień. Ona ze szkatułką przyciśniętą do piersi.

- Niesamowita historia - powiedział Motram, nie zdradzając, że zachodzi w głowę, co, u licha, to ma z nim wspólnego.

- Niedawno nasz college wszedł w posiadanie czegoś, co jeszcze bardziej ubarwia tę opowieść - wyjaśnił Harvey. - W jednym z domów w hrabstwie Scottish Borders odnaleziono stare dokumenty. Rzucają one nowe światło na rodzinę

Le Clerków, która odpowiadała za balsamowanie serca Johna Balliola. Wygląda na to, że Le Clerkowie

słynęli z doświadczenia w balsamowaniu zmarłych i przekazywali te umiejętności z pokolenia na pokolenie. Kiedy czarna śmierć... - Harvey przerwał, by nacieszyć się błyskiem zainteresowania w oku Motrama - ...zaatakowała Anglię w 1346 roku, początkowo Szkoci w większości jej nie ulegli, a że zwykle potrafili wypatrywać dobre okazje, natychmiast dostrzegli szansę na inwazję. Zebrano armię, która rozbiła obóz w lasach wokół Selkirk i czekała na rozkaz do ataku. Ale rozkaz nie nadszedł: czarna śmierć przybyła pierwsza. Ludzie w lasach Scottish Borders umierali setkami.

- Wyobrażam sobie - odparł Motram, bo rzeczywiście już widział obraz epidemii czarnej śmierci w zatłoczonym wojskowym obozie w lesie, piekło nędzy, brudu i zarazy. Dezerterzy uciekali na pewno na wszystkie strony, ale nie mogli umknąć przed chorobą, tylko jeszcze bardziej ją roznosili. Zwłoki leżały jedne na drugich i gniły. Powietrze wypełniał smród rozkładu, wokół rozlegały się jęki chorych i okrzyki umierających...

- Kiedy wieść o zarazie dotarła na północ, do miast, rodziny co szlachetniejszych szkockich żołnierzy uparły się, że nie zostawią ciał swoich najbliższych, by wrzucono je do wspólnych dołów czy spalono na stosach w lesie. Rodzinie Le Clerków polecono, by zabalsamowali ciała szlachciców, których uda się odnaleźć, i przewieźli je do Edynburga i dalej, gdzie miały zostać należycie pochowane. Ale do tego nie doszło. Czarna śmierć okazała się szybsza. Zanim zdążyli przetransportować ciała, choroba dotarła już na północ i szalała w całej Szkocji. Zabalsamowane zwłoki pozostały w Borders, złożono je w tajnej krypcie w opactwie Dryburgh. Wspomniane dokumenty mówią nam, gdzie znajduje się ta krypta. Leży

30

31

tam i czeka szesnaście ofiar czarnej śmierci zabalsamowanych przez mistrzów tego rzemiosła. Jest pan zainteresowany, doktorze?

Twarz Johna Motrama rozjaśniła się w uśmiechu.

- Mam wrażenie, jakby Gwiazdka w tym roku przyszła wcześniej - odparł. - Cóż za fascynująca historia i jakie intrygujące perspektywy... tyle że... - Mina mu zrzedła. - Niestety jest coś, co mąci tę sielanekę. Znosi się na to, że moje stypendium naukowe na badania z tej dziedziny nie zostanie odnowione, a bez niego nie dam rady sam opłacić ekipy archeologicznej.

Harvey rozparł się wygodnie w fotelu, jakby nad wszystkim panował.

- Myślę, że będziemy w stanie temu zaradzić.

- Naprawdę?

- Słyszał pan o fundacji Hotspur? Motram pokręcił głową.

- Nie, chyba nie.

- Ja też dowiedziałem się o niej dopiero kilka tygodni temu, ale nasza uczelnia, a także kilka innych

placówek naukowych z całego kraju, zostało poproszonych, by polecić odpowiednich kandydatów do stypendiów z wybranych dziedzin. W gazetach nazwano by ich pewnie „śmietanką świata nauki”. Otóż pan kwalifikuje się do jednej ze wskazanych kategorii.

- Epidemie sprzed wieków? - zdziwił się Motram i popatrzył z niedowierzaniem.

- Bardziej interesuje ich pańska wiedza z zakresu mechanizmu zakażeń wirusowych - odparł Harvey z uśmiechem. - To główne pole pańskiej specjalizacji, ale przecież może pan upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, prawda, doktorze? To pan zdecyduje, jak wydać pieniądze.

- To zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Kto się kryje za tą fundacją?

- Tego dokładnie nie wiadomo, ale to wcale nie takie niezwykle w podobnych przypadkach. Gdybym miał zgadywać, to zapewne jakiś tajemniczy miliarder chce odkupić dawne grzechy, dzięki którym w ogóle zdobył fortunę. W ostatniej chwili kupuje przepustkę do bram nieba. Proszę mi wybaczyć cynizm.

Motram się uśmiechnął.

- A czego konkretnie ci ludzie by ode mnie oczekiwali?

- Stawiają jeden warunek: zastrzegają sobie prawo do ewentualnego skorzystania z pańskiego doświadczenia w ciągu najbliższych kilku miesięcy. I to tyle jeśli chodzi o konkrety.

- To dość ogólne stwierdzenie - zauważył Motram. - Ale jeśli dzięki temu będę mógł kontynuować pracę i rozwikłać sekrety kryjące się w Scottish Borders, to jestem za.

- Świetnie. Czyli mogę im przekazać pańskie nazwisko?

- Bardzo proszę. - Motram zawahał się, po czym zapytał: - Może wyjdę na gbura i niewdzięcznika, ale co ma z tego pan i pański college?

Harvey błysnął zębami w uśmiechu.

- Prestiż, doktorze, czyli to, co najcenniejsze. W końcu jeśli panu się uda, wyjdzie na to, że przyczyniliśmy się do rozwiązania ważnego akademickiego sporu, nieprawdaż?

- Jak najbardziej - zgodził się Motram.

- Doskonale! - wykrzyknął Harvey. - W takim razie myślę, że powinniśmy nadać naszej współpracy bardziej oficjalny charakter. Wyślę list do pańskiego uniwersytetu z propozycją, aby mianować pana honorowym członkiem naszego college'u na czas tego badania i przekazać wniosek o stypendium od fundacji Hotspur. A teraz może zechciałby pan zjeść ze mną lunch?

32

3 - W proch się obrócisz

33

Lunch okazał się prawdziwą ucztą i Motram cieszył się w duchu, że zamiast samochodem przyjechał do Oksfordu pociągiem. Podziękował za to losowi. Zastanawiał się, jak ludzie regularnie tak jadający mogą funkcjonować po południu. Zauważył jednak, że Harvey cały czas zachowuje czujność. Ale jedna kwestia wciąż nie dawała mu spokoju.

- Skąd pomysł, żeby zgłosić się do mnie? - zapytał. Harvey się uśmiechnął.

- Na pewno nie wyciągnęliśmy pańskiego nazwiska z kapelusza. Kiedy otrzymaliśmy dokumenty z tego domu w Borders, zaczęliśmy rozpytywać, komu to znalezisko mogłoby przynieść największe korzyści. Znalazł się pan na szczycie listy ze względu na reputację i doświadczenie. Nie mówiąc o rozgłosie, jaki zyskał toczony przez pana spór akademicki. Nie przewidzieliśmy, że pojawi się fundacja Hotspur, ale los czasami bywa łaskawy. Połączyłem te elementy, żebyśmy mogli wszyscy skorzystać... na tym polega moja praca.

- Prawdziwe mistrzostwo - pochwalił go Motram. - Przyznaję, że ta fundacja Hotspur bardzo mnie intryguje.

- Tak jak mówiłem, indywidualni sponsorzy to nic niezwykłego, choć rozumiem, że w tym przypadku chodzi o dość znaczne fundusze.

- Może w Oksfordzie tacy sponsorzy zdarzają się często - Motram podkreślił swój szkocki akcent. - Dla nas, z północy, to jednak nietypowe zjawisko. Jak to działa? To znaczy, kto decyduje? Kto trzyma portfel?

- W tym przypadku kontaktujemy się z kancelarią prawną w Londynie, choć naiwnością byłoby sądzić, że tam zapadają decyzje. Klient na pewno polecił im zachować jego anonimowość i tylko przekazują nam polecenia i porady.

- O ile pamiętam, wspominał pan, że pieniądze dostają badacze „z wybranych dziedzin”. Może pan sprecyzować z jakich?

Harvey przytaknął.

- Najogólniej chodzi o tematy związane z infekcjami wirusowymi, reakcjami immunologicznymi, technikami transplantacji i opieką pooperacyjną.

- Seksowne zagadnienia - stwierdził Motram. - Nikt jakoś nie chce finansować badań nad artretyzmem, głuchotą czy innymi przypadłościami, które wielu uprzykrzają życie na starość. Niestety, u ludzi w podeszłym wieku przeważnie przestaje się zwracać uwagę na jakość, a tylko liczy się już lata.

- Smutna prawda - przyznał Harvey. - Śmierć to nasz wielki wróg.

- Gdyby tylko udało się wyeliminować śmiertelną chorobę, wszyscy żylibyśmy wiecznie. Cóż za niezwykła koncepcja.

- Zrodzona ze strachu - stwierdził Harvey. - Ze strachu przed nieznanym. Tak było zawsze. „Grób, myślę, ten dom zacny i wcale ozdobny, nie jest przecież do schadzki i objęć sposobny*”.

- To chyba najlepsza puenta - odparł Motram.

Harvey dolał wina z kryształowej karafki z inskrypcją po łacinie. Motram próbował przeczytać ją w całości, ale mu się nie udało.

- Co właściwie przekonało pana, że czarną śmierć wywołał wirus, a nie dżuma? - podjął Harvey. - Podejrzewam, że nikt nie zna się tak jak pan na tym, jak atakują nas wirusy. W ramach przygotowań do naszej rozmowy czytałem jedną z pańskich prac i byłem pod ogromnym wrażeniem. Sam nie jestem naukowcem, ale z tej lektury czegoś się dowiedziałem. To dobrze świadczy o pańskich kompetencjach wykładowcy. Bardziej zależy panu na podzieleniu się wiedzą niż na

* Andrew Marvell Do cnotliwej damy, przeł. Artur Międzyrzecki (przyp. tłum.);

34

35

autopromocji za pomocą skomplikowanego języka. To przekleństwo dopada wielu naukowców.

- Miło mi to słyszeć.

- Niepokoi mnie tylko jedna rzecz...

- Cóż takiego?

- Powiedział pan, że czarną śmierć mógł wywołać nieznan w obecnych czasach wirus.

- To tylko jedna z hipotez - wyjaśnił Motram.

- Ale, jeśli tak by się okazało, to czy wchodząc do krypty w Scottish Borders i wypuszczając zabójczego wirusa, nie otworzymy przypadkiem puszkę Pandory? Nie chciałbym, żeby mój college doprowadził do wybuchu nowej światowej pandemii.

- Naprawdę nie sądzę, by mogło do tego dojść - odparł Motram. - Wirusy nie są w stanie przetrwać poza żywą tkanką, a te ciała leżą tam od siedmiu wieków.

- Ale mamy nadzieję, że są dobrze zachowane - przypomniał Harvey.

- Większość metod balsamowania wiąże się z zakończeniem życia. A wraz ze zniknięciem żywiciela znika też i wirus. Owszem, istnieje jedna metoda przechowywania ciała polegająca na podtrzymaniu życia. Chodzi o zamrażanie w bardzo niskiej temperaturze. Jeśli ta rodzina z XIV wieku zdołała opracować trumnę-zamrażarkę, która przez siedemset lat bez przerwy utrzymywała temperaturę minus siedemdziesiąt stopni Celsjusza, to istotnie, mógłby pojawić się problem.

- Rozumiem. - Harvey podniósł karafkę, by dolać porto Motramowi. - Ale proszę pamiętać, że możemy mieć do czynienia z wirusem, o którym nic nie wiemy.

Motram się uśmiechnął.

- Zgoda. Jeśli przybył z kosmosu, to wszystko możliwe.

6

Udało się - oznajmił John Motram, machając listem, który dopiero co otworzył.

- To miło, kochanie... ale co się udało? - spytała Cassie zajęta poranną gazetą.

- Warunkowe zezwolenie na badania od Szkockiego Urzędu Ochrony Zabytków. Warunek polega na tym, że ich inspektor najpierw musi obejrzeć to miejsce i będzie obecny podczas prac. Wszelkie dalsze zezwolenia zależą od tego, jak on lub ona oceni sytuację.

- Do licha, szybko poszło. - Cassie zerknęła znad okularów. - Sądziłam, że takie rzeczy trwają wieki.

- To oznacza, że zaczniemy, kiedy tylko ustalimy dokładne położenie krypty... może w przyszłym tygodniu - powiedział John z nieskrywaną przyjemnością i entuzjazmem.

Cassie spojrzała na niego poważnie.

- Jesteś pewien, że dobrze robisz?

- Oczywiście, że tak - odparł zaskoczony. - O co ci chodzi?

- No wiesz... zastanawiałeś się nad zagrożeniami, jakie wiążą się z otwarciem takiego grobu?

- Cassie, wyjaśniałem to już temu gościowi z Oksfordu. Minęło ponad siedemset lat. Żadna bakteria ani żaden wirus tyle nie przetrwa. Przecież jesteś lekarzem i dobrze o tym wiesz.

- No tak - zgodziła się Cassie, jednak z nutą powątpiewania. - Ale mówimy o czarnej śmierci... a Le Clerkowie byli mistrzami balsamowania. Może odkryli sposób, jak zakonserwować i ciała, i mikroby...

John widział, że żona naprawdę się o niego martwi.

- Harvey też o to pytał. Postuchaj - odezwał się łagodnie. - Moim zdaniem nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo,

36

37

ale jeśli dzięki temu będziesz spokojniejsza, to zapewniam cię, że włożę kombinezon i maskę. Tak naprawdę po to, żeby nie skazić ciał, ale ochrona działa w obie strony.

- Owszem, będę spokojniejsza - odparła Cassie. John wrócił do otwierania listów, a Cassie do gazet.

- A niech to jasny gwint - zaklął po chwili John.

- Jakieś kłopoty?

- List od prawników fundacji Hotspur. To ci, którzy płacą za nasze prace w Borders. Muszę wypełnić swoją część umowy. Mam się stawić na coś, co określają jako „konsultacje”.

- Jakie znowu konsultacje?

- Tego nie wyjaśniają.

- A gdzie?

- W prywatnym szpitalu w zachodnim Londynie. Szpital Świętego Rafała.

- Pojedziesz?

- Właściwie nie mam wyboru. Zgodziłem się na ich warunki, a oni nie szczędzą pieniędzy.

- W takim razie przeszukiwanie krypty trzeba na razie przełożyć?

Motram się uśmiechnął.

- Czas na przerwę reklamową.

Cassie wyszła do pracy, a John otworzył neseser, wyjął plik dokumentów i rozłożył je na stole w jadalni. Jego macierzysta uczelnia tak bardzo ucieszyła się ze współpracy z oks-fordzkim Balliol College i grantem z fundacji Hotspur, że bez najmniejszego problemu dostał wolne na przygotowania do wykopalisk. Do końca semestru zwolniono go z wszelkich obowiązków wykładowcy.

Z dokumentów, jakie otrzymał Balliol, wynikało, że zwłoki zabrane z lasów pod Selkirk pochowano w podziemnej kryp-

cie w opactwie Dryburgh w pobliżu Melrose. To oznaczało, że w Szkockim Urzędzie Ochrony Zabytków trzeba załatwić pozwolenie na wstępne prace na miejscu. Większym problemem mogło się jednak okazać to, że opactwo Dryburgh kilka razy uległo zniszczeniu, więc trudno będzie zdobyć informacje o jego układzie w XIV wieku. W 1322 roku spalili je angielscy żołnierze, potem zostało odbudowane, ale w 1385 roku spłonęło. W XV wieku przeżyło renesans, ale już w roku 1544 znów obróciło się w gruzy.

Na podstawie planów, które miał przed sobą, Motram musiał określić, gdzie w dzisiejszych ruinach kryją się elementy pierwotnej struktury, które można by uznać za punkty odniesienia, interpretując informacje z listu, jaki trafił do Balliol College. Aby ułatwić mu zadanie, naukowcy z Oksfordu przetłumaczyli treść listu z dialektu z epoki Chaucera na współczesny angielski. Zdołał też ustalić, że kaplica - choć otoczona ruinami - stoi na dawnym miejscu i zgodnie z tym, co podawano w kilku turystycznych broszurach leżących na stole, zachowały się w niej elementy sztuki i malowideł z czasów założenia opactwa.

W liście z Balliol znajdowały się liczne odniesienia do kaplicy. To początkowo dodało Motramowi otuchy, ale kiedy okazało się, że tajna krypta może mieścić się pod kaplicą, uszło z niego całe powietrze. Było niezwykle mało prawdopodobne - czyli mówiąc wprost: zupełnie niemożliwe - by Szkocki Urząd Ochrony Zabytków pozwolił na wykopaliska w najcenniejszej zapewne części opactwa.

Ale kiedy zaczął czytać dalej i zrobił pewne obliczenia, doszedł do wniosku, że choć wejście do krypty mogło być pod kaplicą, to sama krypta ciągnęła się dalej na wschód i wychodziła poza mur graniczny. A zatem daliby radę się do niej

38

39

dostać, kopiąc na wschód od murów. Na takie rozwiązanie nadzór nad zabytkami pewnie prędzej się zgodzi.

Motram uważnie obejrzał zdjęcia lotnicze i zauważył kolejny problem. Wokół opactwa rosło dużo potężnych drzew. Z opisu wynikało, że to cisy i libańskie cedry, bardzo stare, zapewne zasadzone przez rycerzy wracających z krucjat.

Czubkiem długopisu zaznaczył prawdopodobne położenie tajnej krypty na wschód od kaplicy, ale nie potrafił ocenić, jak blisko mogą się znajdować korzenie drzew. Początkowo zamierzał dokopać się do krypty od wschodniej strony, jak najdalej od muru opactwa. Ale jeśli okaże się to za trudne, to w ramach kompromisu wejdą od północy albo południa, gdzie korzenie nie będą przeszkadzać, tyle że trzeba kopać bliżej muru.

Przed wbiciem pierwszego szpadla należałoby wykonać badania geologiczne. Jeśli uda się to zorganizować jeszcze przed wyjazdem do Londynu, to już duży postęp. Schował dokumenty do nesesera i poszedł na uczelnię poradzić się kolegów naukowców, czy któryś z nich przeprowadziłby takie badania geologiczne.

Późnym popołudniem już wiedział, że potrzebuje specjalistycznego sprzętu i musi zatrudnić firmę zewnętrzną. Zadzwoił do Maxton Geo-Survey. Tę spółkę polecili mu koledzy z wydziału geologii. Z ludźmi z Maxtona umówił się już na miejscu, dwa dni po planowanym powrocie z Londynu. Potem zadzwonił do Szkockiego Urzędu Ochrony Zabytków i opowiedział, co zamierza. Zapewnił ich, że nie chce niczego naruszać, i dostał odpowiedź, że na miejscu pojawi się ktoś, kto będzie monitorował ich poczynania.

- Udany dzień? - zapytała Cassie, kiedy wrócił do domu.

- Bardzo. Wszystko idzie jak z płatka. Jestem prawie pewien, gdzie leży krypta, i zaplanowałem już badania geologiczne terenu. Zaczniemy, kiedy tylko wrócę z Londynu.

- Mam nadzieję, że poinformowałeś wszelkie właściwe instytucje - powiedziała Cassie.

- Dzwoniłem do Szkockiego Urzędu Ochrony Zabytków, wyślą kogoś do nadzoru - uspokoił ją Motram. - Jeśli badania potwierdzą moje domysły, to od razu możemy ustalać z tym urzędnikiem termin rozpoczęcia prac. A jak tobie minął dzień?

- W porównaniu z twoim... nuda - odparła Cassie. - Ani jednego przypadku czarnej śmierci.

John Motram uśmiechnął się, kiedy wysiadł z taksówki i zaczął iść krótkim łukowatym podjazdem, ciągnącym się przez pięknie utrzymany ogród aż do wejścia do szpitala Świętego Rafała. Szpital mieścił się w samym centrum Londynu, ale wydawał się tak cichy i spokojny jak domek na wsi. W recepcji nie było żadnego chaosu i gwaru, z jakimi kojarzyły się szpitale publiczne, gdzie przeważnie czuje się atmosferę rychłego końca świata. Inna sprawa, że w prywatnych szpitalach zwykle nie ma oddziałów ratunkowych, przypominał sobie Motram. Nie przywożą tu pijaczków, ludzi z ranami od noża, narkomanów, ofiar wypadków drogowych czy rodzinnych bójek. W zasadzie nic nie przeszkadza w spokojnym planowym zażywaniu najwyższej klasy leków.

- Doktorze Motram, czekamy na pana - powitała go recepcjonistka z uśmiechem, który zawstydziłby każdą stewardesę z British Airways. Wydawał się nawet szczery. - Kate wskaże panu drogę do sali konferencyjnej.

40

41

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiła się kolejna uśmiechnięta kobieta, starannie uczesana, w takim samym nieskazitelnie białym fartuchu jak recepcjonistka.

- Witamy w szpitalu Świętego Rafała, doktorze. Proszę za mną.

Motram ruszył korytarzem pachnącym świeżymi kwiatami i politurą do drewna, aż trafił do jasnej, dobrze wyposażonej sali konferencyjnej, gdzie czekało już kilka osób - czterech mężczyzn i dwie kobiety. Sądząc po strojach, to dobrze zarabiający profesjonaliści. Wymieniono powitalne uprzejmości.

- To kto z państwa jest władcą pierścieni? - zapytał Motram.

Zebrani się uśmiechnęli.

- Myśleliśmy, że właśnie pan - odparł wysoki mężczyzna o śródziemnomorskiej opaleniznie, którą podkreślał jasnoszary garnitur.

- A czy wiadomo, po co zostaliśmy tu zebrani? - dopytywał Motram.

- Jeszcze nie - odezwała się jedna z kobiet. - A tak przy okazji, nazywam się Sheila Barnes, jestem radiologiem.

Na ten sygnał pozostali także zaczęli się przedstawiać.

- Mark Limond, hematolog.

- Susie Bruce, pielęgniarka przełożona.

- George Simpson, immunolog.

- Jonathan Porter-Brown, transplantolog - powiedział opalony mężczyzna.

- Tom Little, biochemik. Rundę zakończył Motram.
- John Motram, biolog komórkowy.
- John Motram? Specjalista od receptorów powierzchniowych? - upewnił się Little.
- Tak, to ja - odparł skromnie Motram. - W tym się właśnie specjalizuję.
- Miesiąc temu w „Journal of Cell Biology” czytałem pańską pracę. Genialna!

Rozmowę przerwało otwarcie drzwi. Do sali wszedł kolejny dobrze ubrany mężczyzna, przytrzymując sobie drzwi łokciem. W jednym ręku niósł teczkę, a pod pachą drugiej - plik dokumentów, które najwyraźniej rwały się do samodzielnego lotu.

- Przepraszam za spóźnienie. Cholerne korki. Nazywam się Laurence Samson. Poznaliście się już państwo?... Świetnie, ale na pewno zachodzicie w głowę, po co was tu zaproszono.

Beznamętne spojrzenia. Ta publiczność nie reagowała na takie oczywistości. Nie nadawali się na uczestników teleturnieju.

Samson łaskawie przyjął ten fakt do wiadomości i mówił dalej:

- Wszyscy państwo otrzymaliście wsparcie z fundacji Hotspur. A zatem zgodziliście się też na wezwanie służyć waszym doświadczeniem. Panie i panowie, właśnie zostaliście wezwani, dlatego tu jesteście. Potrzebujemy waszego udziału w leczeniu pacjenta... pewnego VIP-a... będziemy go od teraz nazywać, jakże nieoryginalnie, pacjentem X. Część z was może pozna jego prawdziwą tożsamość w trakcie terapii, inni nie. I tak ma pozostać. Jego tożsamość nigdy nie może wyjść na jaw. Dochowanie absolutnej tajemnicy jest koniecznością. Czy to rozumiecie?

Wszyscy kiwnęli głowami.

- Z pewnością dotrzymujecie państwo danego słowa, ale muszę przypomnieć, że w umowie, jaką podpisaliście, przyjmując grant od fundacji Hotspur, znajduje się ustęp dotyczący dochowania tajemnicy. Jest tam wyraźnie napisane,

42

43

że jakiegokolwiek złamanie tajemnicy skutkuje koniecznością oddania całej wypłaconej sumy, a także odpowiedzialnością za niedotrzymanie umowy, co, zapewniam, będzie ścigane... z całą surowością.

Po minach kilku innych osób Motram zorientował się, że nie tylko on przeoczył ten punkt drobnym drukiem w umowie

o grant.

- Pacjent X ma ostry przypadek białaczki. Ma też nieograniczone środki finansowe, co może zasugerować

państwu, z jakiej części świata pochodzi...

Rozległ się uprzejmy śmiech.

- Chce najlepszej opieki i stać go na nią. Ale jak wiemy, na chorobie pieniądze nie robią wrażenia. Sprawdziliśmy wszystkie inne formy terapii pacjenta X, została nam ostatnia deska ratunku: przeszczep szpiku kostnego. Ten szpital dysponuje wszelkim niezbędnym do tego celu wyposażeniem

i sądzimy, że wytypowaliśmy odpowiedniego dawcę. Pragniemy, żebyście państwo nadzorowali każdy aspekt tego zabiegu, nie wchodząc sobie w paradę. W zależności od specjalizacji część z was będzie potrzebna tylko na krótko. Inni na dłużej. Ci zostaną zakwaterowani tu, w szpitalu, w eleganckich apartamentach dla krewnych pacjentów, aż do zakończenia swoich obowiązków. „Po godzinach”, że się tak wyrażę, nie wolno wam rozmawiać o pacjencie X ani o żadnych szczegółach jego terapii, zupełnie jak członkom ławy przysięgłych. Jako lekarz opiekujący się pacjentem X chciałbym teraz z każdym z państwa omówić zakres jego obowiązków. Zaczniemy od... - Samson zajrzał do notatek i dopiero za trzecim razem trafił na właściwą stronę - doktora Johna Motrama. - Podniósł głowę.

Motram niepewnie uniósł dłoń. Ostatnio trzymał tak rękę w górze wieki temu w szkole i czuł się trochę głupio.

- Pozostałych państwa Kate zaprowadzi do sali, gdzie czeka herbata, kawa i przepyszne ciasteczka czekoladowe.

Kiedy pozostali wyszli, Samson wyraźnie się odprężył. Uśmiechnął się do Motrama.

- Zdaje się, że panu pójdzie najszybciej. Dawca zjawi się wkrótce. - Zerknął na zegarek. - Chcemy, żeby przeprowadził pan zestaw wszechstronnych testów, które tu wypisaliśmy. - Podał mu kartkę A4. - Krótko mówiąc, ma pan potwierdzić, że nasz ewentualny dawca w istocie pasuje do pacjenta X... pod każdym względem. - Dostrzegł pytające spojrzenie Motrama i dodał: - Nie szukamy dawcy, który spełnia część warunków i daje jakąś szansę powodzenia, jeśli będziemy pacjenta faszerować do końca życia immunosupresantami. Potrzebujemy dawcy idealnego. Muszą się zgadzać: grupa krwi, typ tkanki, submarkery i tak dalej. Wydaje nam się, że wytypowaliśmy takiego dawcę. Ale wolimy, żeby pan to potwierdził. Dostanie pan opis badań laboratoryjnych, jakim już poddaliśmy pacjenta X. Może pan pobrać od dawcy własne próbki, by je porównać. - Wręczył Motramowi wizytówkę. - Proszę nas powiadomić o wyniku, gdy tylko będzie pan miał już pewność.

Motram zapoznał się ze szpitalem i jego wyposażeniem i w trakcie tej wycieczki doszedł do wniosku, że w idealnym świecie tak właśnie powinny wyglądać wszystkie szpitale. Potem spotkał się z dawcą w gabinecie, gdzie zamiast biurka stał między nimi stolik, na którym ustawiono dzbanek z tak dobrą kawą, jakiej nie pił od lat.

Siedzący naprzeciwko młody człowiek, w dżinsach i dżinsowej kurtce, wyglądał na wysportowanego i zdrowego. Gładko ogolony, jasne, krótko ostrzyżone włosy, zgodnie z obecną modą trochę dłuższe na czubku głowy niż po bokach. Uśmiechał się, ale kiedy wstał, by się przywitać, wydawał się lekko

44

45

zdenerwowany. Kiedy wymienili grzecznościowe uwagi na temat korków i pogody, Motram wyjaśnił mu, jakich próbek potrzebuje i dlaczego.

- To nic takiego. Masz jakieś pytania?

- Pan Laurence powiedział, że to prosty zabieg. To prawda?

- Jak najbardziej - potwierdził Motram. - Kaszka z mlekiem.

Młody człowiek uśmiechnął się, słysząc to określenie, ale chyba nie był do końca przekonany.

- Wie pan, miałem starszego kuzyna, który oddał nerkę swojemu bratu...

- To zupełnie co innego - przerwał mu Motram. - Przeszczep organu to poważne przedsięwzięcie, zupełnie inna para kaloszy. Ty oddasz tylko część swojego szpiku. Ani się obejrzyysz, jak się odbuduje. Żadnych blizn, żadnych skutków ubocznych, nic a nic. Właściwie to prawie jak oddawanie krwi.

- Dzięki, doktorze. - Chłopak wyraźnie się odprężył. -Mniej więcej to samo mówił pan Laurence, ale w pana ustach jakoś lepiej to brzmi.

- Świetnie, w takim razie chodźmy do laboratorium, dopilnuję, by pobrano ci te próbki.

Kiedy mąż wrócił, Cassie Motram podała mu dużą whisky single malt i patrzyła na wdzięczność malującą się na jego twarzy, kiedy usiadł na krześle i zrzucił buty.

- Jak poszło? - zapytała.

- Mógłbym ci powiedzieć, ale potem musiałbym cię zabić. - Motram pociągnął kolejny łyk alkoholu.

- Chcesz kolację czy nie?

- Och, trafiłaś w moją piętę Achillesa. - Uśmiechnął się. -Pacjent z białaczką potrzebuje przeszczepu szpiku. Zdaje

się, że to jakiś saudyjski miliarder. Znaleźli dla niego dawcę i chcą, żebym sprawdził, czy się nadaje.

- I to wszystko? - W głosie Cassie pobrzmiwało rozczarowanie. - Wiemy coś o tym saudyjskim miliarderze?

Motram pokręcił głową.

- Nic a nic, poza tym, że wszyscy mają mówić o nim pacjent X, choć podejrzewam, że lepsze byłoby określenie księżę X, sądząc po ilości forsy, jaką szasta ta fundacja. Pewnie do snu bulgocze mu ropa lejąca się do barytek.

- Będziesz musiał wrócić do Londynu?

- Nie sądzę. Zleciłem w szpitalnym laboratorium kilka podstawowych testów. Ich technicy mogą mi wysłać wyniki. Bardziej skomplikowane rzeczy zrobię w naszym laboratorium. Przywiozłem ze sobą kilka próbek. Kiedy już wszystko zbiorę, zadzwonię i przedstawię swoje wnioski. I na tym koniec. Pieniądze za nic.

- A więc wracasz do czarnej śmierci?

- O tak - odparł Motram z uśmiechem.

8

Słońce świeciło mocno, kiedy John Motram jechał na północ, do Scottish Borders - pogoda doskonale pasowała do jego słonecznego nastroju. Uwielbiał falujące wzgórza i doliny na szkocko-angielskim pograniczu. Zawsze wydawały mu się takie spokojnie i ciche, mimo kilku wieków krwawej historii i niemal nieprzerwanego konfliktu między Anglią i Szkocją. Zwolnił, jadąc mostem nad Tweed, chyba najśłynniejszą łososiową rzeką na świecie. Przez kilka chwil napawał się

widokiem słonecznych błysków tańczących w pomarszczonej wodzie, po czym ruszył dalej.

Na parkingu przed opactwem od razu zobaczył ciężarówkę z czerwonym napisem Maxton Geo-Survey na białym boku. Rysunek platformy wiertniczej nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Obok samochodu stali dwaj mężczyźni w firmowych kombinezonach. Rozmawiali z jakimś człowiekiem w garniturze i z notatnikiem w ręku.

- Alan Blackstone, Szkocki Urząd Ochrony Zabytków - przedstawił się mężczyzna z notatnikiem, kiedy naukowiec zaparkował obok i wysiadł z samochodu.

- Wzorowa punktualność, panowie - pochwalił Motram, przeciągając się po długiej podróży. Zerknął na zegarek: za pięć dziewiąta.

- W taki dzień jak dziś nietrudno być rannym ptaszkiem. - Blackstone popatrzył w niebo, a dwaj pracownicy Maxtona, Les Smith i Tony Fielding, przytaknęli mu z uśmiechem.

- Wiecie co... - zagadnął doktor, oglądając się przez ramię na pobliski hotel Opactwo Dryburgh - może napijemy się najpierw kawy i pogadamy o tym, co będziemy robić?

Kiedy podano kawę, Motram rozłożył na stole współczesny plan ruin opactwa i opowiedział, co ustalił.

- Myślę, że krypta znajduje się pod ziemią mniej więcej tutaj. - Zakreślił czubkiem długopisu prostokąt ciągnący się od wschodniej ściany opactwa, od miejsca, gdzie mieściły się trzy okna kaplicy. - Nie wiem, jak daleko sięga, ale mam nadzieję, że jesteście w stanie to ustalić, panowie.

- Jak najbardziej - zapewnił Fielding.

- W zależności od tego, co wam wyjdzie, porozmawiamy z obecnym tu Alanem, czy będziemy mogli

zrobić wykop i czy zaczniemy od krańca wschodniego, czy też spróbujemy wejść z boku, jeśli koniec krypty będzie położony za blisko drzew. -

Motram spojrział na przedstawiciela Szkockiego Urzędu Ochrony Zabytków.

- Brzmi nieźle - powiedział Blackstone. - To bardzo dobrze, że krypta leży poza terenem opactwa. Jeśli to się potwierdzi, z naszej strony nie powinno być żadnych przeszkód, o ile oczywiście nie okaże się, że jest bardzo krótka i graniczy z murem kaplicy. Nie możemy ryzykować naruszenia fundamentów.

- Nawet o tym nie pomyślałem - wyznał Motram. - Ale chyba nie powinna być za krótka, skoro umieszczono tam szesnaście ciał. Tak czy inaczej, jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać...

Fielding i Smith rozładowali z samochodu sprzęt, a Motram i Blackstone poszli za prowadzonym przez nich elektrycznym wózkiem transportowym. Pracownicy Maxtona przewieźli ekwipunek wzdłuż północnej ściany opactwa, a następnie skręcili na południe i zatrzymali się pod oknami kaplicy.

- Mniej więcej tutaj? - zapytał Fielding.

Motram przytaknął, wyciągając rękę w kierunku miejsca, gdzie jego zdaniem umieszczono kryptę.

- Przyjmując, że wejście było od tej strony - wskazał punkt w murze opactwa bezpośrednio pod oknami kaplicy - i prowadziło do niej jakieś dziesięć stopni, żeby miała odpowiednią wysokość, to myślę, że znajduje się od trzech do pięciu metrów pod powierzchnią.

Smith i Fielding uruchomili maszynę i zaczęli powoli omiatać ziemię. Motram obserwował każdy ruch z bijącym sercem, a Blackstone odwrócił się, żeby sprawdzić stan kamiennego fundamentu pod ścianą kaplicy.

Fielding zdjął słuchawki i pokazał coś koledze na wyświetlaczu urządzenia.

48

4 - W proch się obrócisz

49

- Ma pan rację - zwrócił się do Motrama. - Pod nami jest pusta przestrzeń. Bez wątplenia...

- Cudownie! Możecie określić, jak daleko sięga? - Motram wiedział, że od odpowiedzi na to pytanie wiele zależy.

Maszyna znów zaczęła omiatać ziemię. Zatrzymała się, kiedy Fielding i Smith odeszli z dziesięć metrów od wschodniej ściany kaplicy.

- Zdaje się, że tu się kończy - poinformował Fielding.

- Doskonale - ucieszył się Motram i poczuł ulgę, że krypta nie okazała się tylko głęboką wnęką w murze. Podszedł do dwóch techników i stwierdził, że najbliższe drzewo stoi zaledwie dwa metry od nich. - Chyba

za blisko, żeby zaczynać od tej strony, prawda? - spytał Blackstone'a.

- Tak mi się wydaje. Poza tym korzenie tych drzew muszą być mocno rozwinięte. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby przez lata wbiły się w kryptę, a może i całkiem ją zarosły.

- Mało przyjemna perspektywa - mruknął Motram, w duchu przyznając trochę racji Blackstone'owi. - To co, w takim razie wchodzimy z boku?

Blackstone z namysłem pokiwał głową i dopiero po chwili odpowiedział.

- Nie spieszmy się. Poczekajmy, aż fachowcy skończą badać kryptę.

Poszli w stronę ławki na trawniku przy krużganku opactwa. Przsiedli tam w słońcu i wypytywali jeden drugiego o pracę. Po zakończeniu pomiarów Fielding przyniósł im wydruk.

- Proszę bardzo - powiedział z uśmiechem. - Prawie tak, jak pan mówił. Podziemna krypta długa na niecałe dziesięć metrów i szeroka na trzy, około czterech metrów pod ziemią. Od północnej strony mamy jakąś dziurę, coś w rodzaju wykuszu w ścianie, ale od południa mur jest gładki na całej długości.

- W takim razie, jeśli pozwolisz, zaczniemy od południa - zwrócił się Motram do Blackstone'a. - Mniej więcej w połowie długości, co ty na to?

Blackstone przytaknął, ale dodał:

- Może odsuńmy się jeszcze z metr od muru. Jeśli mam wybierać między zniszczeniem korzeni drzew a naruszeniem muru kaplicy... gdybyśmy się pomylili, to lepiej tak, żebym nie wyleciał z roboty.

- W porządku. - Motram się uśmiechnął. - Cudownie. Panowie, na początku przyszłego tygodnia muszę wpaść do Londynu, ale przed wyjazdem załatwię cały potrzebny sprzęt i możemy zaczynać, kiedy tylko wrócę ze stolicy.

Wszyscy się zgodzili.

- Nawet sobie nie wyobrażacie, jakie to dla mnie ważne. - Naukowiec westchnął.

- Trochę się domyśliliśmy - odparował Fielding, wzbudzając wesołość reszty.

- Zapraszam na obiad! - powiedział Motram.

Smith i Fielding, którzy, jak się okazało, pracowali na całym świecie, zabawiali pozostałą dwójkę opowieściami z poprzednich kontraktów archeologicznych, a także - w przypadku Smitha - z wierzeń w poszukiwaniu ropy.

- Panowie, zdajecie sobie sprawę, że może dokonamy tu historycznego odkrycia? - odezwał się Motram przy kawie. - Kto wie, czy nie uda nam się rozwiązać tajemnicy sprzed siedmiuset lat. Odkrywanie sekretów z przeszłości jest fascynujące, nie sądzicie?

Uprzejmie uśmiechnęli się na widok entuzjazmu badacza.

- Nie bardzo wiem, co pan tam będzie odkrywał - stwierdził jednak Fielding. - Na samą myśl o czarnej śmierci... -

50

51

Wzdrygnął się. - Jest pan pewien tego, co robi? To znaczy, że nie wskrzesimy jakiegoś paskudztwa?

- Macie moje słowo. Minęło siedemset lat, od kiedy ktokolwiek tam zaglądał. Poza tym nikt nie wymaga od was, żebyście wchodzili do krypty. To moje zadanie.

- Właściwie to nawet chciałbym tam zajrzeć - przyznał Smith. - Myśl, że będę pierwszym człowiekiem, który zajrzy do podziemnego grobowca po tylu latach, naprawdę robi wrażenie... Kurczę, to jest coś.

- Mnie do szczęścia wystarczy tylko pewność, że nie zawalimy muru opactwa - wtrącił się Blackstone, wywołując wybuch śmiechu.

Motram popatrzył na turystów i zapytał, czy istnieje możliwość zamknięcia dostępu na teren wykopaliska.

- O tej porze roku nie ma tu zbyt wielu zwiedzających - odparł Blackstone. - Myślę, że podczas wstępnych robót nie będziemy niczego zamykać, dopiero kiedy zburzymy mur w krypcie.

- To rozsądny plan - zgodził się Motram.

- Kiedy zaczniemy prace, odgradzimy teren taśmą - dodał Fielding. - Każdy pomyśli, że remontujemy kanalizację.

- Wiecie co? - Smith się zamyślił. - Dziwne, że prasa nic jeszcze nie zwąchała. Przecież to dla nich prawdziwy żer. „Otworzą grób ofiar czarnej śmierci” i tak dalej. Media zwykle nie marnują żadnej okazji, żeby trochę postraszyć ludzi.

Nastrój przy stole nagle siadł i na dłuższą chwilę zapadła cisza. W końcu odezwał się Motram:

- Faktycznie, masz rację. Nie pomyślałem o tym.

- Ja też nie - przyznał Blackstone. - Pewnie nic nie piszą, bo o niczym nie mają pojęcia.

- Boże, spraw, żeby tak zostało - westchnął Motram Proponuję, żebyśmy od teraz bardzo uważali na to, co i komu mówimy.

9

Kto to się dobija o tej porze? - krzyknęła May Kelly, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi mieszkania komunalnego na wschodnim krańcu Glasgow, które dzieliła z mężem Brianem. Była dziewiąta wieczorem.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać - odparł mąż, nawet nie odrywając wzroku od gazety.

May rzuciła mu gniewne spojrzenie, ale Brian w ogóle nie podniósł oczu, nawet kiedy sięgał po stojącą obok puszkę piwa.

- Rozumiem, że ty nie zamierzasz się przekonać - mruknęła. Odłożyła robótkę na drutach i wstała z fotela. Wróciła po dłuższej chwili, ale nie sama. - To oficer z jednostki Michaela - oznajmiła.

Tym razem mąż zareagował.

- Matko Boska. - Zerwał się na równe nogi. Upuścił gazetę i popatrzył na oficera znad okularów. - Co się stało?

- Bardzo mi przykro, proszę państwa, ale muszę powiadomić, że wasz syn Michael, żołnierz królewskich marines, zginął podczas walk w Afganistanie.

- O Jezu Chryste, nie... nie, nie, nie. - May rzuciła się na męża, ale on stał jak skamieniały, najwyraźniej nieświadom obecności kobiety, która szuka u niego pocieszenia.

- Co się stało? - zapytał z otępieniem.

52

53

- Niestety, zmarł od zakażenia rany w szpitalu polowym w Camp Bastion, w prowincji Helmand. Lekarze robili co mogli, ale infekcja nie poddawała się żadnej terapii. Bardzo mi przykro. Michael był świetnym żołnierzem.

- Zakażenie rany? - krzyknął Brian. - Nikt nas nawet nie powiadomił, że syn został ranny. Kiedy to się stało?

- Niestety nie znam szczegółów akcji, w której odniósł obrażenia. Zdaje się, że to była niewielka rana od odłamków. Początkowo nie wydawała się groźna. Państwa syn je zlekceważył. Problem pojawił się, kiedy wdało się zakażenie. Wtedy przewieziono Michaela do szpitala.

- Dranie - mruknął Brian. - Cholerni dranie.

Gniew męża nie ukoił rozpacz May. Odsunęła się od Briana i wzięła garść chusteczek z pudełka na kredensie. Przyłożyła je do twarzy i cała trójka stała w krępującej ciszy.

- Co teraz? - spytał Brian dopiero po kilku sekundach.

- Ciało Michaela zostanie przywiezione do kraju na pogrzeb z pełnymi wojskowymi honorami. Oczywiście we właściwym czasie ktoś skontaktuje się z państwem w sprawie szczegółów, kiedy dojdziecie już do siebie po tej wielkiej stracie.

- Dojdziecie do siebie? A ile to może potrwać? - Brian kipiał z oburzenia. - To nasz jedyny syn... wysłali go

do jakiejś dziury na końcu świata... i po co? Powiedz pan.

- Bardzo mi przykro - mruknął oficer.

May w końcu odłoniła twarz i uznała, że czas się wtrącić. Ostatni raz pociągnęła nosem.

- Napije się pan herbaty?

- To miłe z pani strony, pani Kelly, ale lepiej zostawię państwa samych. Pracownik biura do spraw kontaktów z rodzinami odezwie się do państwa w ciągu najbliższych dni, żeby porozmawiać o pogrzebie. Powinienem też chyba ostrzec, że może się zgłosić ktoś z prasy. Zostawię ten numer, proszę

dzwonić, jeśli będą państwo potrzebowali pomocy. Niezmiernie mi przykro, że musiałem przynieść tę smutną wiadomość.

Brian najwyraźniej zagubił się we własnym wewnętrznym konflikcie. Żal, gniew i rozgoryczenie wołały o jakąś reakcję ze strony mężczyzny, który zwykle nie okazywał emocji. Stał, wpatrując się w przestrzeń, ewidentnie nie zwracając uwagi, co się wokół dzieje.

- Czy Michael umierał w samotności? - zapytała May oficera.

- Nie sądzę, pani Kelly. Szpital polowy w Camp Bastion jest bardzo dobrze wyposażony i ma liczny personel.

- Zastanawiałam się, czy powiedział coś, zanim...

- Naprawdę nie wiem. - Było mu przykro, że nie jest w stanie rzucić stojącej przed nim kobiecie nawet okruszyny pocieszenia. Wyglądała tak bezbronne.

- Myślałam tylko...

- Oczywiście, pani Kelly. Popytam.

- Dziękuję, synu.

Oficer wyszedł, a May zaparzyła herbatę. Postawiła filiżankę obok Briana, ale tego nie zauważył.

- Zacznij obdzwaniać ludzi - polecił. - Trzeba im powiedzieć.

- Może sam byś ruszył tyłek i mi pomógł - warknęła May, choć prawie nigdy tak się nie zachowywała. Żal obrócił się w gniew.

Brian spojrzał na nią zdziwiony i poczuł się mniej pewnie.

- No tak, to co, przejdę się do Maureen - stwierdził i wstał.

- Idź, idź. Powiedz, że jej kochany brat... został zabity... O Chryste! Słodki Jezu, co ja zrobię? - Łzy polały się strumieniami. Szlochała, a Brian próbował niezdarnie objąć ją ramieniem.

- Już dobrze, mamuśka - mruknął. - Ja też cierpię.

- Maureen będzie chciała wpaść - odezwała się May, usiłując zapanować nad sobą. - Powiedz, żeby nie przychodziła. Muszę trochę pobyć sama. Porozmawiam z nią rano. Pozdrów ode mnie dzieciaki.

- Jasne. - Brian włożył kurtkę. - Dasz sobie radę? Mam coś...?

- Nic mi nie będzie. - May wydmuchała nos i wyrzuciła chusteczki do kosza. - Dopiję herbatę i zacznę dzwonić po ludziach.

- Dobrze... do zobaczenia.

Brian wrócił po dwóch godzinach. Opowiedział swojej córce Maureen i jej mężowi, co się stało. Obserwował, jak Keith próbuje wytłumaczyć dwójce małych dzieci zbudzonych przez hałas, co dziadek tu robi i dlaczego mamusia płacze.

- Już jestem - oznajmił od drzwi.

Powitała go cisza. W salonie nie było nikogo. Z wyłączonym telewizorem pokój wyglądał chłodno i obco. Brian pomyślał, że May poszła spać, więc ruszył do sypialni, ale wcześniej zerknął wzdłuż korytarza i zobaczył światło w szparze pod drzwiami pokoju Michaela. Otworzył je powoli. May siedziała na łóżku syna z fotografiami w dłoniach. Inne zdjęcia leżały porozrzucane po całym łóżku. Nie popatrzyła na Briana, kiedy wszedł, ale wiedziała, że to on.

- Pamiętasz wakacje w Kinghorn? - zapytała, unosząc jakąś odbitkę. - Ta okropna przyczepa i łomot deszczu o dach...

- Pewnie. Padało, cholera, cały czas.

- Ale Michaelowi się podobało... biegał cały szczęśliwy w swoich kaloszkach. - W końcu podniosła głowę, na twarzy miała wyrzeźbioną maskę bólu. - Co teraz zrobić?

Brian usiadł obok i wcisnął dłonie między kolana.

- Jakoś to przetrwamy, mamuśka. Razem. Jak zawsze. May patrzyła gdzieś w przestrzeń.

10

- Wysłałeś raport do szpitala Świętego Rafała? - zapytała Cas-sie Motram męża, kiedy wróciła do domu po wieczornej operacji. Zastała go w trakcie przygotowań do wykopalisk, które miały się rozpocząć pod koniec tygodnia.

- Tak.

Cassie wyczuła, że za tym słowem kryje się coś niewypowiedzianego.

- Jakiś problem?

- Ależ skąd. Dawca pod każdym względem okazał się idealny dla jego wysokości...

- Ale?

- Tak naprawdę wciąż zachodzę w głowę, po co w ogóle zasięgali mojej opinii. Wiele z testów, o które prosili, w tym przypadku wydawało mi się zupełnie bezużytecznych.

- Sam mówiłeś, że chcieli zatrudnić najwybitniejszych specjalistów i stać ich na to - przypomniała Cassie. - W swojej dziedzinie jesteś mistrzem.

- W zasadzie do transplantacji wystarczyłoby się upewnić, że pasuje grupa krwi i typ tkanki. Wszelkie inne badania były zbędne i moim zdaniem chodziło tylko o to, żeby podbić rachunek.

- Zawsze lepiej mieć za dużo informacji niż za mało - zauważyła Cassie. - A zresztą, przecież to ich pieniądze.

- Może masz rację.

56

57

- Po co zaglądać w zęby darowanemu koniowi? Jeśli wymagają, żebyś określił odpowiednie kratki, to ich sprawa. A jeśli dzięki temu dostaniesz pieniądze na wykopaliska w Dryburghu, to nie rozumiem, dlaczego narzekasz?

- No tak. - Motram się uśmiechnął. - Powiniennem brać forszę i w nogi.

- Wreszcie powiedziałeś coś rozsądnego. Będzie łało? - Cassie spojrzała na kalosze męża stojące obok rzeczy, które pakował na wyjazd.

- Prognozy pogody od czwartku nie są najlepsze - odparł. - Ulewny deszcz na północy Anglii i w Scottish Borders.

- W takim razie radzę, żebyś spakował też krem do opalania - zażartowała Cassie. - Sam wiesz, jak to bywa z długoterminowymi prognozami.

Tym razem prognoza się sprawdziła. W piątek Motram jechał do Dryburgha w ulewnym deszczu, któremu towarzyszyły podmuchy zachodniego wiatru. Nadzieja, że wiatr szybko przegoni ciężkie chmury, gasła, gdy patrzył na niezmiennie ciemne niebo po lewej. Kiedy dotarł na miejsce, nie zastał ani Blackstone'a, ani ludzi z Maxton Geo-Survey, choć ich samochody stały na parkingu. Tam zobaczył też zaskakujący znak z informacją, że opactwo zostało zamknięte dla zwiedzających z powodu remontu. Uznał, że jego towarzysze na pewno schronili się w hotelu. Dosiadł się do nich na kawę i zapytał o ten znak.

- Zmiana planu - wyjaśnił Blackstone. - Po tym, co Les ostatnio mówił o mediach, uznałem, że lepiej całkiem zamknąć teren na czas wykopalisk. Nie potrzeba nam gapiów.

Motram spojrział przez okno.

- Nie wygląda na to, żebyśmy w taki dzień zepsuli komuś wycieczkę.

- Uhm - zgodził się Blackstone. - Właśnie rozmawialiśmy, czy nie przełożyć kopania, póki nie poprawi się pogoda.

Motrama ogarnęła fala rozczarowania, ale zdołał to ukryć.

- No, panowie, to zależy od was - zerknął na Smitha i Fieldinga. - Nie chcę nikogo narażać na niebezpieczeństwo. Ziemia może się zapaść albo obsunąć...

- Chodzi nie tyle o niestabilność gruntu, ile o zalanie - wyjaśnił Fielding. - Zamierzamy zejść do ściany krypty stokiem opadającym pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Jeśli nadal będzie padać, kiedy dotrzemy do muru, woda zacznie spływać po zboczu i zbierać się na dole.

- Nie możecie użyć pompy?

- Moglibyśmy, ale pytanie, gdzie wypompowywać tę wodę. Do kanału na południe od opactwa jest kawałek drogi, jakieś pięćdziesiąt metrów. A nie chcemy, żeby woda sączyła się do fundamentów.

- Zdecydowanie nie chcemy - wtrącił się Blackstone.

- Cóż - westchnął Motram. - Skoro nasi gospodarze czekali siedemset lat, to kolejny dzień czy dwa ich nie zbawi.

Lało przez całą sobotę i Motram chodził po domu jak dzikie zwierzę w klatce. Przeklinał swojego pecha i przekonywał Cassie, że Bóg ma coś do niego osobiście. Jak zawsze, mówił.

- Po prostu brytyjska pogoda - odpowiadała Cassie. - Pamiętasz, żeby kiedyś nie padało, kiedy zaplanujesz sobie prace na dworze? Jak byłam mała, uważałam, że wszystkie zaproszenia powinny mieć dopisek „W razie deszczu spotkanie w kościele”.

John zapytał Cassie, czy chce gdzieś wyjść.

- Może wyskoczymy do miasta. Kolacja? Kino?

- Posiedźmy w domu. - Stała przy nim przed oknem i potarła go po ramieniu. - Otworzymy butelkę reńskiego, pooglądamy telewizję...

- Coś o suszeniu lakieru na paznokciach gwiazd? - zakpił John.

- Jako przyszły stylistka paznokci dla gwiazd powinieneś śledzić takie programy. Kto wie, czy za tydzień nie weźmiesz udziału... w obcinaniu paznokci... na lodzie.

John obejrzał mecz rugby w telewizji w salonie, potem poszedł do kuchni po kawę i nagle stanął jak wryty. Na małym telewizorku ustawionym obok ekspresu do kawy leciały wiadomości. Dźwięk był wyciszony - Cassie siedziała przy stole i czytała książkę kucharską. Motram rzucił się, żeby podkręcić

głośność, kiedy na ekranie pojawiło się zdjęcie młodego człowieka.

- Co jest...?! - krzyknęła Cassie zaskoczona nagłym hałasem. Rozdrażnienie zniknęło, kiedy zobaczyła minę męża. -Co się stało? Wszystko w porządku? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

- Bo zobaczyłem. - Motram pobał. Usiadł obok żony ze wzrokiem przyklejonym do telewizora, póki nie skończył się materiał o śmierci młodego marine w Afganistanie. - Znałem go.

Cassie spojrzała zdumiona.

- Jak to?

- To dawca, którego badałem w Londynie.

- Wiedziałaś, że był żołnierzem?

- Nie. Nie miał wtedy munduru, a nie rozmawialiśmy na temat tego, czym się zajmuje w życiu. Zgodnie z poleceniem wszystko odbywało się jak najbardziej profesjonalnie. Żadnych zbędnych pogaduszek.

- Biedna rodzina - wymamrotała Cassie, ale po chwili ogarnęły ją wątpliwości. - Zaraz, ale czy zdążyłby w ogóle wrócić do Afganistanu? Jesteś całkowicie pewien, że to on? Wiesz, jak się nazywał?

Motram pokręcił głową.

- W szpitalu nas sobie nie przedstawiono. To część tej obsesji na punkcie tajemnicy. Pacjent to pacjent X, a dawca... to po prostu dawca. Ale to na pewno on. Spodobał mi się, miły chłopak. Trochę się denerwował zabiegiem. Co za ironia, biorąc pod uwagę, co robił za granicą.

- Niesamowite - stwierdziła Cassie. - Jak, u licha, królewski marine służący w Afganistanie został dawcą szpiku dla jakiegoś saudyjskiego księcia, który leczy się w południowym Kensington?

- Fakt, dziwne - przyznał Motram. - Musiał wrócić do Afganistanu niemal od razu po oddaniu szpiku... i natychmiast poszedł walczyć. To dopiero pech, co?

- Wiesz, co sobie myślę? - Cassie pochyliła się konspiracyjnie nad stołem i poklepała Johna w ramię.

- Co?

- Pomyliłeś go z kimś. Wchodzisz w wiek, kiedy wszyscy młodzi mężczyźni zaczynają ci się wydawać tacy sami.

Motram uśmiechnął się, ale wciąż wyglądał na zaaferowanego.

- Chyba zadzwonię do Laurence'a Samsona... Pana Lau-rence'a Samsona. Zresztą z Harley Street,

Cassie zrobiła minę, jakby ta informacja wywarła na niej wielkie wrażenie, i znów zajęła się książką kucharską.

- Przekaż mu pozdrowienia - mruknęła.

Motram wrócił po kilku minutach wyraźnie zmartwiony.

- I co?

- Miałaś rację. Pomyliłem osoby.

60

61

- No proszę. Ale i tak widać, że jesteś wstrząśnięty. Motram zatopił się w myślach.

- John, wszystko w porządku?

- Po prostu nie wierzę, że to nie on - wyjaśnił. - Ten marinę i mój pacjent... jak dwie krople wody... Muszę jeszcze raz zerknąć na zdjęcie, przyrzeć się szczegółom. Może na stronie BBC coś znajdę. - Poszedł włączyć wspólny komputer, a Cas-sie, lekko kręcąc głową, po raz kolejny zabrała się do czytania. Zdecydowała, co zrobi na kolację, i właśnie zaczynała przygotowywać risotto, kiedy w kuchni pojawił się Motram.

- Z relacji w mediach wynika, że został zraniony odłamkiem ósmego. Rany uległy zakażeniu i zmarł kilka dni później w szpitalu polowym... A ja ósmego widziałem dawcę w szpitalu Świętego Rafała.

- Więc to nie mógł być on.

- Chyba nie.

Zapadło długie milczenie, a John, ku rozdrażnieniu Cas-sie, wciąż się nerwowo wiercił.

- Powiedzieli, że ten zmarły marinę pochodził z Glasgow - odezwał się w końcu.

Cassie spojrzała na męża, zastanawiając się, dlaczego to akurat takie ważne.

- Chłopak, którego badałem, mówił ze szkockim akcentem.

11

Pod koniec dnia w niedzielę deszcz ustał, a w poniedziałek rano zza chmur zaczęło nawet wychodzić słońce i Motram wy-

ruszył do Dryburgha w znacznie lepszym nastroju. Na miejscu cała ekipa stwierdziła, że najlepiej od razu zabrać się do pracy. Fielding i Smith sprawdzili dane ze swoich poprzednich pomiarów i porozstawiali tyczki w odpowiednich odległościach, potem uruchomili minikoparkę i zaczęli wydobywać ziemię. Motram i Blackstone popatrzyli na siebie z uśmiechem, kiedy tyżka wyrzuciła pierwszą porcję ziemi. Motra-ma przepełniał wielki entuzjazm, Blackstone'a natomiast -nie mniejszy lęk. Urzędnik ze szkockiego nadzoru zabytków wciąż mierzył wzrokiem odległość między wykopem a murem opactwa.

Trzydzieści minut później Fielding dał znak Smithowi, który sterował koparką, że czas wyłączyć silnik. Warkot ucichł, słysząc było jedynie, jak kurczy się rozgrzany metal i jak w górze śpiewają ptaki. Fielding zszedł ostrożnie do wykopu ze stalowymi prętami w ręku. Zaczął wsuwać je poziomo w ścianę ziemi na wysokości twarzy. Kiedy pręty napotkały opór, odwrócił się z uśmiechem.

- Kamień - oznajmił. - Trafiliśmy w sam punkt.

Bardzo ostrożnie Smith wydobyl koparką jeszcze pół metra ziemi, po czym z Fieldingiem zaczęli oczyszczać wykop rękoma i małymi szufelkami. W końcu odkryli kamienną ścianę krypty o powierzchni około dwóch metrów kwadratowych.

Wspięli się po zboczu wykopu, żeby wpuścić Motrama, by sam obejrzał, co znaleźli. Doktor stał w głębokim dole i z nieskrywaną radością przesuwiał ręką po kamieniu.

- Doskonale - powiedział z szerokim uśmiechem. - Jeszcze tylko chwila.

Uśmiech mu przygasł, kiedy wyszedł na powierzchnię i zobaczył, że w ich stronę idzie jakiś mężczyzna z teczką. Pozostali podążyli za jego wzrokiem.

- Boże, proszę, tylko nie prasa - mruknął Blackstone.

62

63

Wszyscy czterej w milczeniu oczekiwali faceta, który nawet się nie uśmiechnął, kiedy przed nimi stanął.

- Doktor Motram? - zapytał przybysz, patrząc po twarzach członków ekipy.

- To ja - odezwał się Motram. Mężczyzna wyjął z kieszeni wizytówkę.

- Norman Bunce. Inspekcja Sanitarno-Epidemiologiczna. Zdaje się, że zamierza pan otworzyć grobowiec ofiar czarnej śmierci...

Motram zamknął oczy, licząc, że jakieś boskie natchnienie dostarczy mu lepszą powitalną odpowiedź niż: „A co cię to, kurwa, obchodzi?”

- Ofiar czarnej śmierci sprzed siedmiuset lat, panie Bunce - wycedził.

- Możliwe, doktorze... - I Bunce zaczął wygłaszać wykład, który zakończył się zarządzeniem, jakiego Motram cały czas się obawiał. Prace w wykopie zostają wstrzymane, póki Inspekcja Sanitarno-Epidemiologiczna wszystkiego nie zbada.

Wymienili się numerami telefonów i czterej mężczyźni musieli pogodzić się z nieuniknionym.

- Przyznam, że zaskoczył mnie pan, panie Blackstone -oznajmił Bunce. - Szkocki Urząd Ochrony Zabytków zwykle jest bardzo świadom wszelkich zagrożeń.

- I nic się pod tym względem nie zmieniło - odparł kwaśno Blackstone.
- Ależ po co te nerwy - obruszył się Bunce.
- Nikomu nic nie grozi. Zwłoki, jeśli w ogóle tu są, mają siedemset lat - odparł Blackstone bez emocji.
- Niech o wszystkim zadecydują fachowcy, dobrze?
- O jakich fachowcach pan mówi, panie Bunce? - wtrącił się Motram.
- Złożę raport, a moi przełożeni podejmą konieczne decyzje, kogo się poradzić - zapowiedział Bunce, czując narastającą w powietrzu agresję.
- Chyba nie ma ich zbyt wielu - mruknął Fielding.
- Do widzenia, panowie.
- Och, po prostu nie wierzę - wykrzyknęła Cassie ze współczuciem, kiedy usłyszała, co się stało. - I co teraz zrobisz?
- Musimy czekać na decyzję.
- Ale mam nadzieję, że nie mogę wszystkiego wstrzymać? Motram wzruszył ramionami.
- Kto wie?
- Jak zostaniesz stylistą paznokci dla gwiazd, przestaniesz się użerać z takimi rzeczami.
- Ależ skąd - odparł Motram. - Przecież cążki do paznokci w niewłaściwych rękach mogą być niezwykle groźne...

Dwa dni później Motram odebrał wyczekiwany telefon. Mogą dalej kopać i otworzyć kryptę, ale pod pewnymi warunkami. Inspekcja Sanitarno-Epidemiologiczna chce skontrolować sprzęt i odzież ochronną, w której będą pobierane próbki z grobowca. Poza tym jeszcze przed otwarciem krypty na miejscu zbada ich lekarz i zrobi zastrzyki ochronne, jeśli uzna to za konieczne.

- Pewnie przeciwțężcowe - prychnęła Cassie. - Sama mogłabym cię zaszczepić.
- Ale wtedy pewnie musiałabyś jeszcze dać zaświadczenie podpisane przez dwóch niezależnych świadków i sędzię pokoju - jęknął Motram. - Niech już oni się tym zajmą.
- Robią tylko to, co do nich należy - uspokajała go Cassie, ale popatrzył na nią tak, że zrozumiała, iż nie podziela jej

64

5 - W proch się obrócisz

65

zdania. - Myśl pozytywnie. W końcu wejdiesz do tej swojej krypty. - Przytuliła Motrama i wpatrywała się w niego tak długo, aż poddał się i uśmiechnął. - Masz rację.

Kiedy w końcu wszelkim formalnościom stało się zadość, zrobiono badania i zastrzyki, ekipa mogła zabrać się do otwierania krypty. Motram popatrzył, jak odjeżdżają służbowe auta, po czym wraz z pozostałymi powoli wrócił do wykopu.

- Co za dzień - mruknął Blackstone. Motram przytaknął.

- W nauce badania potrafią być prawdziwą orką na ugorze, gdy nie wszystko się układa po naszej myśli - wyjaśnił. -Ale kiedy nadchodzi taka chwila jak ta... Boże, warto było czekać.

- Oby znalezisko nie okazało się wielkim rozczarowaniem - skomentował Blackstone.

Motram przystanął, żeby spojrzeć na opactwo i malowniczą okolicę. Część zniszczonych murów miała tyle lat co tajemnica, którą już niedługo rozwikła. Poczuł narastające podniecenie. Włożył biały kombinezon, a Smith i Fielding przygotowali narzędzia do przebicia się przez ścianę krypty. Zdążyli już zamontować szczelny namiot nad miejscem, które zamierzali przebić. Plan był taki, by wydłubać zaprawę i tak obluzować kamienie, by dało się je wyjąć. Potem Fielding i Smith mieli się wycofać, żeby Motram mógł wejść do środka pierwszy.

Blackstone powoli chodził w tę i z powrotem. Zostawił Motrama jego myślom. John siedział na trawie i nasłuchiwał odgłosów dłuta zgrzytającego o kamień. Przez foliowy ekran widział skulone sylwetki Smitha i Fieldinga. Stukanie ustało

i na chwilę świat zamilkł całkowicie. Potem z wykopu wynurzyli się Fielding i Smith. Fielding zdjął maskę.

- Może pan schodzić, doktorze - oznajmił krótko.

- Powodzenia - powiedział Blackstone.

Mijając Smitha, Motram wziął od niego dłuto - tak na wszelki wypadek - wszedł do plastikowego namiotu i zamknął za sobą płachtę wejściową. Przykłąknął i sprawdził kamienie, które chodziły już luźno w ścianie. Wyjmował je bez żadnego kłopotu. Dziura powiększała się, a on układał kamienie w równych rzędach po obu swoich stronach. Oparł się jednak pokusie, by zaświecić latarką przez dziurę w ścianie. Postanowił, że najpierw wyciągnie tyle kamieni, by mógł wejść do środka. Przerwał na chwilę, by złapać oddech. Uświadomił sobie, że powinien więcej ćwiczyć. Następnie wczołgał się do krypty głową naprzód i powoli wstał.

12

W mdłym świetle wpadającym przez otwór w ścianie za plecami Motram zobaczył kamienne ławy po obu stronach krypty. Szczęśliwym trafem Smith i Fielding wybrali miejsce między dwiema takimi ławami. Włączył latarkę, ale o dziwo, wokół nadal panowała ciemność. Czarne ściany i ławy. Czarne wydawały się też leżące na nich zwłoki, a przynajmniej to, w co je zawinięto.

Trudno było nie dostrzec podobieństw do zmumifikowanych mieszkańców egipskich piramid, ale tu zmarłym nie zostawiono niczego, co by im towarzyszyło w podróży w zaświaty. Żadnych kolorowych ceramik, złota, stągwi na wino,

66

67

tylko poczerniałe kształty zwłok, które leżały nietknięte przez siedem stuleci.

Pierwsza przeszkoda została pokonana. Odnaleźli ciała, ale Motram nie znał jeszcze odpowiedzi na najważniejsze pytanie. Miał przed sobą szesnaście ofiar czarnej śmierci, ale póki nie dostanie się pod spowijające je całuny, nie przekona się, jak skuteczne metody balsamowania znali Le Clerko-wie i w jakim stanie ciała zachowały się przez tak długi czas. Wszystko zależało teraz właśnie od tego. Poświecił latarką do torby, którą przyniósł, i wyjął z niej zawiniątko z narzędziami chirurgicznymi.

Rozłożył je na ziemi, wybrał skalpel i parę lateksowych rękawiczek. Nadeszła najważniejsza chwila.

Kiedy delikatnie położył rękę na torsie wybranego zmarłego, od razu wiedział, że coś jest nie tak. Wyczuł pustkę. Chciał się tylko podeprzeć, żeby wbić skalpel w całun w okolicy szyi, ale stwierdził, że najpierw musi sprawdzić, o co chodzi. Mocniej nacisnął położoną płasko lewą dłoń. Nie musiał się wysilać - materiał szybko się poddał i ręka wpadła do środka. Z całunu w kształcie ludzkich zwłok ziała wielka dziura, a w świetle latarki, którą ustawił na sąsiedniej ławie, drwiąco wirowała chmura pyłu. Po siedmiusetletnim pobycie w podziemnej krypcie ze zwłok prawie nic nie zostało, tylko pył i suche pokruszone kostki. Nie przechował się nawet najmniejszy fragment tkanki.

Motram ściągnął maskę z twarzy. Ogarnęła go fala rozczarowania. Przypuszczał, że po setkach lat tak to właśnie będzie wyglądało, ale łudził się, że może jednak na coś trafi. Naiwnie uwierzył, że konserwacja ciał jest w istocie możliwa i dał się ponieść myśli, że przejdzie do historii jako człowiek, który rozwiązał zagadkę czarnej śmierci. Teraz płacił za to cenę w postaci przygniatającego rozczarowania.

68

Przygnębiecie wywołało wręcz fizyczną słabość. Musiał przytrzymać się jednej z kamiennych ław, by wykrzesać z siebie energię, wyjść i powiadomić towarzyszy o porażce. Ale mijały minuty, a siły nie wracały, co gorsza, Motram czuł się coraz gorzej. Rozczarowanie przeradzało się w gniew, a gniew wzbierał tak, że lada chwila groził wybuchem wściekłości. Granice między kolejnymi emocjami się zacierały. Pot wystąpił mu na czoło. Motram poczuł się bardzo źle...

Blackstone spojrzał na zegarek.

- Myślicie, że nic mu nie jest? - zapytał.

- Nie psujmy mu chwili chwały - odparł Fielding z uśmiechem. - To pewnie szczyt jego całej kariery.

- Sam nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, co tam jest, jeśli tylko pozwoli mi wejść - odezwał się Smith.

- Umieram z ciekawości.

- O proszę, wychodzi. - Fielding zauważył ruch za foliową zasłoną.

Trzej mężczyźni podeszli bliżej do wejścia do wykopu. Kiedy dostrzegli, że naukowiec ma chyba jakieś kłopoty, Fielding ruszył w dół, żeby mu pomóc uporać się z drzwiami z folii.

- I co? - zapytał Blackstone.

Motram z latarką w ręku bez słowa zaczął powoli wspinać się po stromym zboczu. Blackstone i dwaj pracownicy Maxto-na spojrzeli po sobie zaskoczeni.

Urzędnik z nadzoru zabytków się pochylił.

- John, wszystko w porządku?

Motram popatrzył na niego oczyma płonącymi jak węgielki i bez ostrzeżenia wyrznął go w twarz ciężką latarką.

Lewa kość policzkowa pękła, a Blackstone krzyknął z bólu i runął na ziemię. Aby nie wpaść do wykopu, chwycił się Fiel-dinga. Smith próbował pomóc koledze, żeby z kolei ten nie

69

poleciał w dół, ale bezwiednie znalazł się w zasięgu naukowca. Motram znów zamachnął się latarką. Tym razem trafił w potylicę. Wszyscy trzej stoczyli się do wykopu. Blackstone za wszelką cenę próbował ostonić swoją poranioną twarz. Fielding wykonał pół salta nad urzędnikiem, a po chwili tupnął na niego Smith.

Motram powoli, ociężale wy dostał się na trawnik i ruszył w kierunku koparki. Wsiadł do niej, włączył silnik i zaczął mamrotać coś do siebie, szarpiąc się z dźwigniami, których nie potrafił obsługiwać.

Smith leżał nieprzytomny. Blackstone nie bardzo wiedział, co się wokół niego dzieje, bo ból przeszywał mu twarz. Za to Fielding doskonale zdawał sobie sprawę, że mała żółta maszyna brnie w ich stronę i że Motram wpatruje się w niego morderczym wzrokiem.

- Facet, kurwa, odbiło ci? - krzyknął przerażony. Wiedział, że musi się wygramolić z wykopu, ale wydobywanie się spod ciężaru leżącego na nim Smitha trwało całą wieczność. Czuł się, jakby utknął w koszmarnym śnie.

Kiedy zdołał uwolnić nogi i jedną zarzucił na krawędź wykopu, koparka była już bardzo blisko. Motram przejrzał zamiar Fieldinga i skierował się w jego stronę, po czym szybko opuścił tyżkę.

Fielding runął z powrotem na dno. Wrzeszcząc z bólu i ściskając roztrzaskane kolano, mógł tylko patrzeć, jak Motram wrzuca wsteczny, siłując się z dźwigniami sterującymi. Było jasne, że facet zamierza zjechać do wykopu, przetoczyć się po ciałach trzech mężczyzn, a potem może uderzyć prosto w mur krypty.

Fielding odetchnął, kiedy okazało się, że Motram źle ocenił rozstaw gąsienic koparki. Po niepewnej zmianie biegów maszyna szarpnęła do przodu, ale nie wcelowała w wąski

wjazd. Lewa gąsienica została na ziemi, a druga zaczęła się osuwać zboczem. Koparka przechyliła się za bardzo i przewróciła na prawą stronę. Motram wyleciał na trawę. Leżał, ściskając się za gardło. Z trudem łapał powietrze. W końcu odwrócił się na bok i znieruchomiał.

Silnik zgasł. Do opactwa i okolic wróciła cisza. Fielding miał wrażenie, jakby wszystko, co zdarzyło się przed chwilą, było jakimś surrealistycznym snem. Popatrzył na leżącego bez ruchu Motrama i modlił się, by ten się nie ocknął. W końcu spojrział na chwilę w niebo.

- Pieprznęty drań - mruknął i zaczął szukać w kieszeniach komórki.

- Co takiego zrobił? - krzyknęła Cassie Motram, kiedy policjant opowiedział jej o wydarzeniach w opactwie.

- Najwyraźniej postradał zmysły, pani doktor. Jak opowiadają ci, którzy z nim byli, wpadł w szał. Jednego z nich omal nie zabił, a dwóch pozostałych poważnie zranił.

- Ale przecież pan mówi o moim mężu - zaprotestowała Cassie. - Na litość boską, on jest naukowcem. To najmiłszy, najdelikatniejszy człowiek na ziemi. Nawet muchy by nie skrzywdził. To chyba jakaś okropna pomyłka.

Starszy rangą z dwóch policjantów wysłanych, by ją powiadomić, przepaszając wzruszył ramionami.

- Przykro mi, ale lekarze musieli go związać i umieścić w szpitalnej izolatce - wyjaśnił. - Podobno nie można wykluczyć jakiegось... reakcji na to, co było w krypcie.

- Reakcji? Co to znaczy? Jakiej reakcji? Policjant wyglądał bezradnie.

- No... jakiegoś zatrucia czy zakażenia...

Cassie osunęła się na fotel i objęła głowę rękoma. Początkowo nawet nie chciała przyjąć do wiadomości tego, co słyszała.

70

71

- Chwileczkę, żebym dobrze zrozumiała - powiedziała powoli, starając się zachowywać racjonalnie, choć tak naprawdę chciało jej się krzyczeć. - Mówicie mi panowie, że John wszedł do krypty o zdrowych zmysłach, a wyszedł jako szaleniec?

- Tak nas poinformowano, pani doktor.

Cassie pokręciła głową, jakby chciała ją oczyścić z natłoku myśli.

- Muszę do niego pojechać. - Wstała z fotela. - Szpital Borders General, tak?

- Tak, pani doktor. Przykro nam, że przyszliśmy z takimi złymi wieściami.

Złe wieści następnego ranka trafiły na czołówki tablo-idów. Brukowce miały używanie. Czarna śmierć, otwarcie grobu sprzed wieków i szaleństwo, jakie ogarnęło głównego badacza po wyjściu stamtąd - po prostu marzenie każdego pismaka. W mgnieniu oka wymyślili, że to klątwa sprzed wieków, dzięki czemu mogli czynić porównania z marnym losem rodzin tych, którzy podobno wywołali gniew faraonów, wchodząc do egipskich piramid.

13

Ech, te dziewczyny - mruknął Peter. - Czemu zawsze tak się grzebią?

Doktor Steven Dunbar uśmiechnął się rozbawiony zniecierpliwieniem swojego młodego siostrzeńca.

Stali przed przebieralnią na basenie w Dumfries i czekali na córkę Stevena Jenny i jego siostrzenicę Mary.

- Tak to już jest, Peter. To jedna z rzeczy, z którą my, faceci, musimy się pogodzić. - Widząc, że Peter wciąż nie jest przekonany, dodał: - Kiedy się w końcu doczekamy, pizza będzie nam smakowała jeszcze lepiej.

Steven, śledczy z Inspektoratu Naukowo-Medycznego przy ministerstwie spraw wewnętrznych w Londynie, był od miesiąca na urlopie. Uciekł do Szkocji, by odetchnąć po szczególnie ciężkiej misji, podczas której ryzykował życie. Zadanie wyczerpało go zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Sam mieszkał w Londynie, ale córka Jenny mieszkała w wiosce Glenvane ze szwagierką Stevena Sue i jej mężem Peterem, prawnikiem oraz dwójką ich dzieci - Peterem i Mary. Steven zostawił Jenny pod ich opieką, kiedy jego żona Lisa zmarła na raka mózgu. Jenny była jeszcze wtedy malutka, więc uznawała Glenvane za swój dom.

Zwykle Steven co drugi weekend jeździł do Szkocji, ale przez tę wyczerpującą ostatnią misję nie widział się z Jenny ponad sześć tygodni i teraz próbował to naprawić. Dzieciaki uwielbiały chodzić na basen w Dumfries, a potem na pizzę i największe lody, jakie tylko zdołały wchłonąć. Mogli się spodziewać, że po powrocie tradycyjnie Sue zmyje im za to głowę. Trochę przy tym udawała, a dla dzieci to była też część atrakcji.

- No wreszcie! - krzyknął Peter, kiedy dziewczynki wyszły z przebieralni. - Co wy tam robicie?

- Musimy suszyć mnóstwo włosów - odparła Mary. - Nie tak jak wy.

- Chyba raczej mnóstwo gadać - narzekał Peter.

- Tatusiu, pojedziemy na pizzę i lody? - zapytała Jenny.

- No pewnie.

- Ale wiesz, że ciocia Sue będzie zła? - upewniała się, parszkając śmiechem razem z Mary.

72

- Ciocię Sue biorę na siebie - zapewnił Steven.

Wyszli na słońce i wzięli się za ręce, żeby przejść na światłach przez drogę ciągnącą się wzdłuż szerokiego nabrzeża nad rzeką Nith.

- Tatusiu, mogę wejść na chwilę na most? - poprosiła Jenny, kiedy mijali stary kamienny most.

- No jasne, chodźmy - odparł Peter i zaczął rozglądać się za kamykami.

- Ja też - zawołała Mary.

Jenny cieszyła się, trzymając ojca za rękę, kiedy wchodzili na most.

- Lubię ten most. Jest bardzo stary, prawda? - Pogładziła dłonią kamienie.

- Ma setki lat - przyznał Steven.

Dziewczynka przystanęła na chwilę, żeby przeczytać tablicę.

- Dev.. Devor... Devorgilla.

- To most Devorgilli, skarbie.

- Śmieszna nazwa. Skąd się wzięła?

- Od imienia pewnej wielkiej damy. Dawno, dawno temu mieszkała ze swoim mężem Johnem tu, w Galloway. W książkach do historii piszą, że oboje bardzo się kochali. Mieli syna, który został królem Szkocji.

Jenny zamyśliła się na chwilę.

- A ty bardzo kochasz Tally, tatusiu?

Steven przełknął ślinę. Nie spodziewał się takiego pytania. Podczas ostatniej misji poznał kobietę - Natalie Simmons, lekarzkę ze szpitala w Leicester. Zaczęło mu na niej zależeć i mogła zająć szczególne miejsce w jego życiu. Tydzień wcześniej przywiózł ją na spotkanie z Jenny i wydawało mu się, że wszystko poszło dobrze.

- A gdyby tak było, to bardzo by ci to przeszkadzało, skarbie? - Szukał podpowiedzi w oczach Jenny, ale córka szybko wbiła wzrok w ziemię.

- Kochasz ją bardziej niż mnie?

Steven uklęknął obok Jenny i przytulił ją mocno.

- Nikogo nie mógłbym kochać bardziej niż ciebie. Uśmiechnęła się zadowolona, ale nie zakończyła przesłuchania.

- A jeśli Tally się do ciebie przeprowadzi... to przyjadę do was? Będę musiała wyjechać od cioci Sue i wujka Petera?

- A jak byś chciała?

- Powinniśmy zamieszkać wszyscy razem. Jest mnóstwo miejsca.

Steven uśmiechnął się, słysząc doskonałe rozwiązanie Jenny.

- To raczej niemożliwe, kochanie. Tally jest lekarzem w wielkim szpitalu w Anglii i ma pod opieką mnóstwo dzieci. Bardzo by za nią tęskniły, gdyby je zostawiła.

- Uhm... - Jenny uznała, że czas zakończyć tę rozmowę. -Możemy iść na pizzę?

Dzieci leżały już w łózkach, kiedy Steven opowiedział Sue i Peterowi, że Jenny zapytała go o związek z Tally.

- To naturalne - odparła Sue. - Biedna kruszynka. Takiej dziewięcioletce musi być ciężko, bo myśli, że ktoś z zewnątrz zagraża jej całemu światu.

- Nie chcę, żeby czuła się zagrożona - powiedział Steven. -Wiecie, ile Jenny dla mnie znaczy, ale... z Tally... to chyba poważny związek. Boże, czuję się, jakbym stąpał po pokruszonym szkle.

74

75

- Biedny Steven. Ale pamiętaj, cokolwiek postanowisz, zawsze będziemy traktować Jenny jak własne dziecko. Może z nami zostać tak długo, jak zechce.

- Oczywiście - zapewnił Peter. - To na pewno nie pomoże ci w podjęciu decyzji, ale bardzo byłoby nam żal się z nią rozstawać.

- Dziękuję, kochani. Jestem wam niezmiernie wdzięczny za to, co dla mnie robicie.

- Wiemy, wiemy - mruknęła Sue, którą zawsze krępowało takie chwalenie. - A zatem czekamy na wieści od ciebie.

Steven zadzwonił do Tally ze swojego pokoju i ze szczegółami opowiedział jej, co tu robili.

- Ty szczęściarzu. Ja padam z nóg. Nie miałam nawet czasu na kanapkę w przerwie obiadowej.

- Tally, podobno publicznej służby zdrowia zazdrości nam cały świat.

- Ciesz się, że nie mogę cię dosięgnąć, Dunbar - jęknęła Tally. - A propos, spotkamy się jakoś niedługo? A może nie masz już czasu na panią numer dwa w swoim życiu? - Zanim Steven zdążył odpowiedzieć, dorzuciła: - Przepraszam. To było niesprawiedliwe. I Jenny, i tobie na pewno nie jest łatwo.

- Wydawało mi się, że dobrze się dogadujecie.

- Bo to fantastyczny dzieciak.

- Ale?

- Żadnych ale. Tylko myślę, że nie powinniśmy niczego przyspieszać na siłę, to wszystko. Niech mała się trochę ze mną oswoi. Potrzebuje czasu sam na sam ze swoim tatą, a ja potrzebuję czasu sam na sam ze swoim mężczyzną. Nie tworzymy za szybko szczęśliwej rodziny.

- W porządku.

Rozmyślał nad tą rozmową. Nie wypadła najlepiej. Na komórkę, którą odłożył na stolik przy łóżku, przyszedł SMS.

Steven miał nadzieję, że to Tally życzy mu słodkich snów, ale wiadomość wysłał oficer dyżurny z Inspektoratu. Stevenowi cofnięto urlop. Ma wrócić do Londynu najbliższym możliwym lotem.

14

Brian Kelly szykował się do wyjścia. Przeglądał się w lustrze w przedpokoju, odwracając się to w jedną, to w drugą stronę. Był zadowolony z tego, co widzi w odbiciu. W rzeczywistości ważył ponad sto kilo, miał obwisły brzuch, a na sobie wyświechtane dżinsy i koszulę w barwach Glasgow Celtic. Szyję owinął klubowym szalikiem, by jeszcze bardziej podkreślić swój związek z drużyną. Wełniana czapka w kolorach klubu dopełniała całości.

- To co, idziesz? - zapytała May, mijając go w przedpokoju. - Z kim dziś grają?

- Z Aberdeen. Dokopimy im i będziemy sześć punktów wyżej w tabeli.

- Mam nadzieję. - May miała to gdzieś, ale lepszy Brian w dobrym nastroju niż Brian w złym nastroju.

- Będę, jak wrócę. - Właśnie sięgał do klamki, kiedy zadzwonił dzwonek. Otworzył natychmiast, zaskakując młodego żołnierza królewskich marines, który stał przed drzwiami.

- O rany, ale pan szybki - bąknął żołnierz.

- Właśnie wychodziłem - wyjaśnił Brian. Walczył ze sprzecznymi odczuciami, patrząc na mundur i oceniając, że chłopak jest mniej więcej w wieku Michaela.

- Nazywam się Jim Leslie. Byłem przyjacielem Micka.

- Och... no tak... tak. - Wszelkie myśli o meczu wyparowały Brianowi z głowy. - Wejdz, synu. - Odwrócił się do środka i krzyknął: - May, to kumpel Michaela.

May z rozpromienioną twarzą zaczęła krzątać się wokół gościa.

- Tak się cieszę, że nas odwiedziłeś, Jim. Z daleka przyjechałeś? Jesteś głodny? Może coś do picia? -

Zwróciła się do męża. - Brian, Jim pewnie chętnie napiłby się piwa.

- Nie trzeba, pani Kelly, naprawdę nie trzeba. Dostałem urlop. Wyleciałem z bazy Arbroath dziś rano. Jadę do swojej dziewczyny w Salford, więc pomyślałem, że wpadnę po drodze do Glasgow i przywitam się z państwem.

- Bardzo się cieszę, synu - powiedziała May.

- Ano - przytaknął Brian. - To miło z twojej strony. Na pewno nie chcesz piwa?

Leslie znów podziękował z uśmiechem.

- Dobrze znałeś Michaela? - zapytała May.

- Nie odbywaliśmy razem szkolenia, spotkaliśmy się dopiero w Afganistanie. Na patrolu ludzie dość szybko się poznają. Wiadomo, trzeba zaufać kumplowi, który osłania ci tyły. Dobrze się dogadywaliśmy. Często o was mówił... i o siostrze Maureen, i jej dzieciach. Był naprawdę dumny, że jest wujkiem.

- Tess i Calum go uwielbiali. - May zaszkliły się oczy.

- To musiał być dla państwa szok...

- Pewnie, że tak - odparł Brian.

- Co państwo wiecie o śmierci Micka?

To niespodziewane pytanie, które nie pasowało do miłej i pocieszającej rozmowy, zaskoczyło Briana i May.

- Co masz na myśli, synu?

- Okoliczności śmierci Micka.

Brian wzruszył ramionami. Nie podobało mu się to i ogarnęły go złe przeczucia.

- Wiemy tylko tyle, ile nam powiedzieli. Umarł w szpitalu polowym od zakażenia rany, którego nie dało się wyleczyć.

- Ten oficer więcej się nie odezwał - dodała May ze smutkiem. - Choć obiecał, że się dowie, czy Michael powiedział coś przed śmiercią.

- A wspominał o tym, jak Mick został ranny? Brian pokręcił głową.

- Pytaliśmy, ale nie znał szczegółów. Mówił coś, że rana... właściwie nic takiego. Tyle że Micka zabiło zakażenie.

- Mick wrócił do Wielkiej Brytanii.

Brian i May popatrzyli na siebie zdziwieni, a po chwili zmieszani.

- Nic o tym nie wiedzieliśmy. Nie odwiedził nas.

- Myślę, że nie mógł - stwierdził Leslie. - Wszystko to było jakieś tajne przez poufne. Kiedy zacząłem się z niego nabijać, że ma wysoko postawionych znajomych i pewnie leczy się gdzieś ekstra, wyjaśnił, że mi też nic nie może powiedzieć.

- Jak długo tu był? - zapytał Brian.

- Jakieś dwa albo trzy tygodnie. Pewnie wracał do jednostki, kiedy zdarzył się ten wypadek. - Nacisk na ostatnie słowo sprawił, że w pokoju zapadła pełna napięcia cisza.

Brian wpatrywał się w twarz młodego marine.

- Co nam próbujesz powiedzieć, synu? - zapytał podejrzliwie.

Leslie uniósł ramiona i rozłożył ręce.

- Żałuję, że nie znam żadnych konkretów, panie Kelly, ale chyba nikt nie wie, co naprawdę stało się Mickowi. Tak jak mówię, wyjechał do kraju, a kiedy już miał wrócić do jednostki, dowiedziałem się, że został ranny i leży w szpitalu polowym. Próbowałem się z nim spotkać, ale kiedy tam dotarłem, okazało się, że go przenieśli do większego szpitala polowego w Camp Bastion. Kilka dni później poinformowano nas, że... umarł.

78

79

- Czyli co? W tej akcji było coś podejrzanego? - w głosie Briana zaczynał pobrzmiwać gniew. - Na przykład postrzelili go swoi? Przyjacielski ogień, chyba tak to nazywacie? - Udało mu się nasycić to zdanie takim niesmakiem i nienawiścią, że Leslie aż się skulił. - Synu, czy brali w tym udział ci pieprzeni jankesi? Strzelają sobie z góry do ludzi, byle tylko trzymać się z dala od kłopotów?

- Moim zdaniem nic z tych rzeczy. Ale cokolwiek się stało, to nastąpiło przed jego powrotem do jednostki, bo nie dotarł do nas. Gdyby dojechał, wiedziałbym o tym. To oznacza, że coś musiało zajść między lotniskiem a obozem, a droga z lotniska jest dość ruchliwa i dobrze strzeżona. Gdyby ktoś zastawił pułapkę, podłożono by minę czy zaatakowano z powietrza, natychmiast byśmy o tym usłyszeli. Ale nikt nie mówił o żadnym wypadku, ani wtedy, ani potem, a przecież po czymś takim chłopaki na pewno by gadali... a tu zupełnie nic. Mick musiał więc być sam... A gdzie podzieli się inni, którzy przylecieli tym lotem? Coś tu nie pasuje i wszyscy nabrali wody w usta.

- Najwyraźniej nie poznaliśmy całej prawdy, synu - odezwał się Brian. - Ale przysięgam na Chrystusa... dowiem się wszystkiego.

May wyglądała, jakby właśnie została wplątana w coś, czego wołałaby uniknąć.

15

Steven poleciał do Londynu z Glasgow lotem British Airways o dziewiątej rano. Godzinę później samolot krążył nad West

80

Drayton, czekając na zezwolenie na lądowanie. Tym razem Steven nie miał nic przeciwko spóźnieniu. Wracał do pracy z mieszanymi uczuciami. Może to skutek ostatniej misji. Nie chodziło o to, że znalazł się w niebezpieczeństwie - już dawno się do tego przyzwyczyił - raczej o to, że miał nadzieję, że coś takiego już się nie powtórzy, zwłaszcza przy kolejnym śledztwie.

Robił co mógł, żeby zapewnić Tally, że to wyjątkowy przypadek, a zwykle wykonuje rutynową pracę, najczęściej przerzuca papierki, a nie strzela i ściga się samochodami. Tally, która wpadła w sam środek tego koszmaru, wyraźnie potrzebowała takich zapewnień i obawiał się, że ich ewentualny związek może nie wytrzymać, jeśli znów zdarzą się podobne kłopoty.

Zakochał się w Tally, a ona w nim, ale była inteligentna i wiedziała, że miłość potrzebuje trwałego fundamentu. Pytanie brzmiało, czy jego praca w Inspektoracie kiedykolwiek da się pogodzić z tym wymogiem. Steven myślał o tym, patrząc na cienie przesuwane się w kabinie, kiedy samolot krążył nad Londynem. Zastanawiał się, jak inaczej mogło wyglądać jego życie, gdyby poddał się konwencji i zrobił karierę lekarską.

Urodził się i wychował w wiosce Glenridding w Krainie Jezior. Dzieciństwo miał wręcz idylliczne. Bawił się i wspinał w Górach Kumbryjskich. Uczył się dobrze i tak jak inne bystre dzieci namawiano go na zawód lekarza. Uległ tym naciskom - głównie po to, by zadowolić rodziców i nauczycieli - ale po ukończeniu studiów i rocznego stażu przyznał przed samym sobą, że nie ma serca do medycyny.

Zamiast dryfować dalej, jak pewnie czyniłoby wielu, podjął odważną decyzję - odszedł ze szpitala, gdzie pracował jako asystent, i wstąpił do wojska. Silny, wysportowany, zaczął się tam czuć jak ryba w wodzie. Służył w jednostce

6 - W proch się obrócisz

81

spadochroniarskiej, a w końcu trafił do służb specjalnych, z którymi jeździł w rozmaite zapalne punkty na całym świecie. Armia, słynąca z najefektywniejszego wykorzystywania dostępnych zasobów, nigdy nie zapomniała, że Dunbar jest lekarzem. I tak szybko stał się ekspertem medycyny polowej - medycyny pola bitwy, gdzie gabinety zabiegowe organizuje się czasem na pustyni, a czasem w dżungli.

Służby specjalne to zabawa dla bardzo młodych mężczyzn, więc kiedy skończył trzydziestkę, stanęło mu przed oczami widmo niepewnej przyszłości w cywilu. W miejskich szpitalach nie są potrzebne umiejętności, jakie nabył w wojsku, a czuł, że już za późno uczyć się na nowo. Czekala go więc praca na obrzeżach branży - może jako konsultant w firmie farmaceutycznej albo internista w wielkim koncernie. Od życiowego marazmu uratował go John Macmillan - dziś sir John Macmillan - który kierował małą jednostką śledczą, Inspektoratem Naukowo-Medycznym przy ministerstwie spraw wewnętrznych.

Komórka Macmillana tropiła przestępstwa i naruszenia prawa w nasyconych zaawansowanymi technologiami obszarach nauki i medycyny, w których policja miała małe albo żadne doświadczenie.

Macmillan zatrudniał absolwentów kierunków medycznych i naukowców, ale nigdy świeżo po studiach - upierał się, że śledczy Inspektoratu muszą najpierw popracować w prawdziwym świecie na wymagających stanowiskach i udowodnić, że radzą sobie w wysoce stresujących sytuacjach. Weekendowe wyjazdy z kumplami z biura na bitwy paintballowe czy spływy rwącymi rzekami się nie liczyły. Ale ostrzał w Kosowie - owszem. Przede wszystkim Macmillan cenił u swoich ludzi zdrowy rozsądek.

Z czasem Steven szybko został najlepszym śledczym Inspektoratu, ale niestety kosztem życia osobistego. Nie sie-

82

dział w biurze od dziewiętej do piątej i choć nawet przed sobą starał się bagatelizować ryzyko, ta praca bywała niebezpieczna i sam mógł się o tym przekonać. To oszukiwanie samego siebie brało się z poczucia winy, że świadomie kontynuuje ryzykowne zajęcia, choć jest ojcem małej dziewczynki, która straciła matkę. Owszem, była szczęśliwa i zadowolona u Sue i Petera w Szkocji, ale Steven i tak czuł się za nią odpowiedzialny.

Kiedy zmarła Lisa, sądził, że nigdy nie znajdzie stałej partnerki. Z czasem jednak kilka razy życie weryfikowało ten pogląd, bo czas leczy rany, jak głosi stara prawda. W takich chwilach zawsze oceniał sytuację pod kątem Jenny, ale zanim musiał przekroczyć Rubikon, okoliczności się zmieniały. Kiedy się nad tym zastanawiał, dochodził do wniosku, że jego brak szczęścia w miłości wynika z rozmaitych przyczyn, od tragedii po zwykły, codzienny brak przystosowania. Ale teraz, kiedy pojawiła się Tally, wracały dawne pytania.

Pierwsze spotkanie Tally z Jenny wyglądało nieźle, ale Tally miała przecież własną dobrze rozwijającą się karierę. Pracowała jako ordynator w szpitalu w Leicester, zamierzała jednak ubiegać się o posadę lekarza specjalisty, co mogło ją przenieść w dowolne miejsce w kraju. Trudno oczekiwać, żeby rzuciła to wszystko i zaczęła się bawić w Mały domek na prerii.

- Przepraszamy państwa za opóźnienie. Właśnie dostaliśmy zezwolenie na lądowanie. - Głos kapitana wyrwał Steve-na z zamyślenia.

Kiedy otworzył drzwi do domu w Marlborough Court, uświadomił sobie, że nie znosi tego robić po dłuższych wyjazdach. Powrót do zimnego, pustego mieszkania był przygnębiający i niezmiennie przypominał mu o największej stracie w życiu. Jak zwykle, zagłuszył to uczucie, włączając

83

wszystko, od centralnego ogrzewania po telewizor i czajnik. Tym razem nie musiał włączać światła, bo tego ranka jasno świeciło słońce.

Polecenia powrotu do Londynu nie opatrzone etykietą „Pilne”, więc zrobił sobie kawę i usiadł na ulubionym miejscu przy oknie, skąd przez szczelinę między budynkami po drugiej stronie ulicy mógł podziwiać ruch na rzece. Zaczął w myślach przygotowywać listę zadań do wykonania. Nie było go dwa tygodnie, więc powinien sprawdzić, czy wszystko w porządku z zostawionym w garażu porsche i czy akumulator da radę uruchomić silnik, bo przez ten cały czas zasiliał przecież alarm. Trzeba też uzupełnić zapasy w lodówce i spiżarni, które opróżnił przed wyjazdem do Szkocji. Cekał go wyjazd do supermarketu, ale zamierzał to zrobić późnym wieczorem, żeby uniknąć tłumów.

Dokończył kawę i zrzucił wygodne podróżne ubranie -dżinsy i koszulkę polo - by wziąć prysznic. John Macmillan należał do starej szkoły, jeśli chodzi o strój. „Stado”, jak mawiał, mogło przestać nosić krawaty i przychodzić do pracy w adidasach, ale nie jego ludzie. Granatowy krawat jednostki spadochronowej i wypastowane czarne oxfordy mieściły się w kanonie Macmillana.

Zanim Steven wybrał się do ministerstwa, odczekał, aż minie pora lunchu. Macmillan nieraz wychodził w tym czasie na spotkania służbowe. Przeważnie jednak jadał kanapki przy biurku, ale przynajmniej raz w tygodniu zapraszał kogoś z góry na lunch w swoim klubie. W ten sposób dowiadywał się, co naprawdę dzieje się w Westminsterze. Mógł uchodzić wręcz za wzór mandaryna z Whitehall - wysoki, elegancki mężczyzna o patrycjuszowskim wyglądem, srebrnych włosach i uroczych manierach. Ale często chadzał własnymi ścieżkami i zazdrośnie strzegł niezależności Inspektoratu przed wszel-

84

kimi próbami wciśnięcia go w „standardowe struktury”, jak mawiano w parlamentarnym żargonie.

Steven zdecydował się na kanapkę i czeskie piwo w pubie nad rzeką, po czym dotarł do ministerstwa. Pokazał legitymację, pożartował ze strażnikiem przy wejściu, który zauważył, że „jakiś czas” go nie było. Jean Roberts, sekretarka Macmillana, powiedziała to samo, kiedy zajrzał do jej pokoju.

- Proszę, proszę, kogo my tu widzimy.

Jak zwykle wypytała go o Jenny, co u niej w szkole, a Steven - jak zwykle - spytał ją o chór bachowski, główne hobby Jean poza pracą, i o to, co teraz ćwiczą.

- A ty... co z tobą? - zagadnęła Jean po krótkim wahaniu.

- Wszystko świetnie.

Spojrzała na niego znad okularów, domagając się tym gestem dalszych wyjaśnień.

- Naprawdę w porządku... ale dzięki za zainteresowanie.

- No dobrze. - Jean uznała, że tym razem to zapewnienie wystarczy. - Cieszę się, że wróciłeś.

Wcisnęła guzik na biurku i zapowiedziała go u szefa.

16

Teraz leży w izolatce w szpitalu Borders General pod Melrose - odpowiedział John Macmillan na pytanie, które Steven zadał po jego dłuższym wstępie. - Nafaszerowano go środkami uspokajającymi dla bezpieczeństwa pielęgniarek i lekarzy. Zostanie tam, póki nie zakończą badań laboratoryjnych.

- Niesamowita historia - przyznał Steven. - A po co w ogóle prowadzili te wykopaliska w opactwie Dryburgh?

85

- Według jego żony zwrócił się do niego dziekan Balliol College. Z jakichś starych listów wynikało, że w tajnej krypcie leżą liczne zwłoki ofiar czarnej śmierci. Członkowie szkockiej armii obozowali w lesie pod Selkirk w połowie XIII wieku i czekali na rozkaz najazdu, gdy dopadła ich choroba. Ciało zabalsamowała ponoć jakaś rodzina z Borders specjalizująca się w tym rzemiośle. Ona też zakonserwowała serce lorda Galloway, Johna Balliola... by jego żona mogła je nosić ze sobą w małej szkatułce. - Macmillan się skrzywił. - Nietypowe memento mori, trzeba przyznać.

- Devorgilla - wtrącił Steven.

- Znasz tę historię? - wykrzyknął zdziwiony Macmillan.

- Zapomina pan, że moja córka mieszka w tamtych rejonach. W Dumfries i Galloway dobrze znają opowieść o tej damie. Nie dalej jak wczoraj staliśmy z Jenny na moście De-vorgilli w Dumfries. Dlaczego Balliol College zwrócił się do Motrama?

- Motram zajmuje się dawnymi epidemiami i ich przyczynami. Jest specjalistą w dziedzinie biologii komórkowej i ekspertem od mechanizmów zakażeń wirusowych. Uważa, że czarną śmierć wywołał wirus, a nie zarazek dżumy, jak nas uczono. To jego konik. I oto pojawiła się szansa, by zdobył twardy dowód. O ile oczywiście ciała w krypcie zachowałyby się w odpowiednio dobrym stanie.

- Ale się nie zachowały

- Jak rozumiem, stały się ilustracją słów „z prochu jesteś i w proch się obrócisz”.

- A co nas interesuje w tej sprawie?

Macmillan postawił łokcie na biurku i oparł podbródek o złożone dłonie.

- Może kolega Motram rzeczywiście przeżył załamanie nerwowe, źle zareagował na rozczarowanie, jakie poczuł, kie-

dy przekonał się, że w krypcie są jedynie prochy i kości. Ale z drugiej strony, niewykluczone że...

- To ma jakiś związek z tymi prochami - dokończył Steven.

- Otóż to. Tabloidy robią, co mogą, żeby zwiększyć strach i wywołać przerażenie opowieściami o klątwach sprzed wieków. Dobrze byłoby wyrobić sobie bardziej obiektywny pogląd na te wydarzenia.

Steven skinął głową.

- Rozumiem, że krypta została zabezpieczona?

- A opactwo zamknięto dla zwiedzających. Jeszcze by tego brakowało, żeby akurat teraz w Wielkiej Brytanii wybuchła jakaś epidemia.

Steven się uśmiechnął.

- Brukowce z pewnością chętnie przedstawiłyby to jako gniew Boży, który na nas spadł... A co mówią świadkowie? Bo jak sądzę, facet nie kopał sam.

- Było z nim jeszcze trzech ludzi, dwóch gości z firmy Maxton Geo-Survey, która zlokalizowała kryptę i przeprowadziła wykopaliska, i inspektor ze Szkockiego Urzędu Ochrony Zabytków. On wszystko nadzorował... - Macmillan przejrzał notatki. - Nazywa się Alan Blackstone. Poza Motramem nikt nie wszedł do krypty, ale pozostali odnieśli rozmaite obrażenia, kiedy naukowiec wpadł w szał. Najbardziej ucierpiał Blackstone. Motram rozwalił mu twarz ciężką latarką. Inspektora czeka teraz operacja. Zajmie się nim chirurg szcękowo-twarzowy ze szpitala w Edynburgu. A ci dwaj z Maxtona dochodzą do siebie. Jeden stracił przytomność po ciosie w potylicę, a drugi ma roztrzaskaną nogę, bo Motram opuścił mu na kolano łyżkę koparki. Na pewno ucieszysz się, że wszyscy są całkowicie przy zdrowych zmysłach i nie zostali niczym zakażeni.

- Powinienem chyba najpierw z nimi porozmawiać.

- Jean przygotowała ci teczkę z nazwiskami i adresami.

86

87

- Kto jeszcze bierze udział w tym śledztwie? Macmillan się uśmiechnął.

- Ci co zwykle. Chociaż policja na razie się wycofała, bo Motram leży w szpitalu i może niedługo będzie podpadał pod ustawę o zdrowiu psychicznym, a reszta w tych okolicznościach nie chce wnosić oskarżeń. Ale Wydział Zdrowia Publicznego, Inspektorat Sanitarno-Epidemiologiczny i lokalne jednostki ratunkowe na pewno chętnie się przyjrzą temu przypadkowi. W Porton Down już się tym zainteresowali i też chcą mieć coś do powiedzenia.

Tym razem to Steven się uśmiechnął, kiedy Macmillan wspomniał o brytyjskiej jednostce obrony przed zagrożeniami chemicznymi i biologicznymi.

- A to ci nowina - mruknął.

- Trzeba założyć, że zechcą obejrzeć kryptę, przeczesać ją i pobrać próbki prochów. Pewnie sprowadzą swoje obwoźne laboratoria, ale masz takie samo prawo jak oni, by zadawać pytania. Nie daj sobie wejść na głowę.

- Niech spróbują. - Steven już nieraz wchodził w drogę ludziom z Porton Down. - Kimś jeszcze powinienem się przejmować?

Macmillan zrobił zbolatą minę.

- Do pewnego stopnia sprawą interesują się instytucje religijne. Między przedstawicielami różnych wyznań toczy się dyskusja na temat tego, co zrobić ze szczątkami ludzi pochowanych w krypcie, z tymi prochami. Ale to już nie twoje zmartwienie. Na razie opactwo jest zamknięte i tak pozostanie, dopóki Wydział Zdrowia Publicznego nie upewni się, że nie istnieje tam żadne zagrożenie. Poinformowałem odpowiednie miejscowe władze, że nasz Inspektorat bada tę sprawę.

- W takim razie do dzieła.

Steven zabrał teczkę do mieszkania i dokładnie przeczytał akta. Zresztą nie było tego dużo. John Motram, lat pięćdziesiąt dwa, wykładowca z uniwersytetu w Newcastle, uznany ekspert od metod, jakimi wirusy atakują ludzi. Mieszka z żoną Cassandrą w wiosce Longthorn, na północ od Newcastle. Żona pracuje w miejscowej przychodni. Wcześniej nie stwierdzono u niego żadnych oznak choroby psychicznej ani innych problemów zdrowotnych. Pod każdym względem wydawał się jak najnormalniejszym, szanowanym człowiekiem, któremu ni z tego, ni z owego odbiło po wejściu do grobowca sprzed siedmiuset lat, gdzie pochowano ofiary czarnej śmierci.

Steven zdawał sobie sprawę, że to właśnie czarna śmierć wzbudziła zainteresowanie Macmillana. Choć minął szmat czasu, od kiedy w XIV wieku ta zaraza zabiła jedną trzecią mieszkańców Europy, samo wspomnienie o niej wciąż budziło strach i przerażenie i nawet w XXI wieku wystarczyło, by Inspektorat Naukowo-Medyczny wszczął śledztwo.

W pierwszym odruchu Steven chciał odrzucić wszelki związek między czarną śmiercią a chorobą Motrama, ale musiał przyznać, że w ten sposób zakładałby coś, z czym walczył Motram - że czarną śmierć wywołała bakteria dżumy. Oczywiście bakteria nie przetrwałaby tak długo w prochu ciała. Poza tym w imponującym zestawie przerażających objawów, jakie wywoływała, nie zaobserwowano do tej pory szaleństwa, ale kto wie, czy czarnej śmierci nie wywołało coś zupełnie innego. Ta myśl nie napawała otuchą.

Humoru nie poprawiło mu też to, że sprawą zainteresowało się Porton Down. Ciekawe, czy ich naukowcy podzielą się swoimi odkryciami ze społecznością akademicką, jeśli natkną się na jakiś zupełnie nieznaną do tej pory czynnik

88

89

mikrobiologiczny. Doszedł do wniosku, że prawdopodobnie nie. Wcale by się nie zdziwił, gdyby wraz z ministerstwem obrony opatrzyli dochodzenie klauzulą tajemnicy państwowej. Postanowił ruszyć w drogę jak najszybciej.

Sam pomysł tworzenia broni biologicznej wydawał się Stevenowi szczególnie odrażający. Fakt, że inteligentni ludzie łączą siły ze światem mikrobów - od dawna przecież zaprzysięgłych wrogów ludzkości - by stworzyć jeszcze groźniejsze bakterie i wirusy, stanowił dla niego prawdziwą esencję zła. Wiedział, że brytyjska jednostka Porton Down będzie przekonywać, że interesują się tą sprawą wyłącznie ze względów obronnych. Ale tak samo tłumaczą się przecież wszystkie wojskowe jednostki prowadzące badania nad mikrobami. Przypomniawszy sobie laboratoria pełne wirusa ospy, które odkryto w całym bloku sowieckim po upadku muru berlińskiego - i to w czasie, kiedy Światowa Organizacja Zdrowia rozważała, czy nie zniszczyć ostatnich jej zdaniem laboratoryjnych zapasów tego wirusa, by uwolnić od niego Ziemię raz na zawsze.

Steven zaczął się zastanawiać nad transportem. W Szkocji będzie mu potrzebny samochód. Czy zatem lepiej polecieć do Edynburga albo Glasgow i coś wynająć, czy pojechać własnym autem? Uznał, że w rozwiązaniu tego dylematu pomoże mu rozmowa telefoniczna. W teczce od Jean Roberts poszukał numeru do miejscowej delegatury Wydziału Zdrowia Publicznego.

Dodzwonił się do doktora Kennetha Glassa, który powiedział mu, że na szczęście to jego ludzie pierwsi zjawili się na miejscu po wypadku. Weszli już do krypty z zachowaniem ścisłych zabezpieczeń biologicznych i pobrali liczne próbki do analiz. A zatem nie należało się bać, że Porton Down i ekipa z ministerstwa obrony uprzedzą wszystkich i zabronią innym

zbierać próbki. Steven postanowił więc udać się do Szkocji samochodem.

17

Wyjechał następnego dnia rano. Cieszył się na myśl o długiej trasie. Nareszcie będzie mógł wypróbować nowe porsche boxer. Kupił je, bo poprzedni samochód zniszczył podczas ostatniej misji. Na szczęście Inspektorat brał na siebie kwestie ubezpieczenia swoich pracowników i Steven nie musiał wyjaśniać, dlaczego wypadł autem z autostrady M1 na pole i czemu wóz stanął potem w płomieniach.

Dotarł do Szkocji wczesnym popołudniem, ale dopiero kiedy zjechał z autostrady na wijące się wiejskie drogi, jazda nowym samochodem naprawdę zaczęła sprawiać mu radość. Porsche przyspieszało jak marzenie i trzymało się drogi jak przyklejone, więc kiedy zaparkował przed szpitalem Borders General i wyłączył silnik, był w doskonałym humorze. Nie dość, że leży tu John Motram, to także - choć na ortopedii - Tony Fielding, mężczyzna ze zgruchotaną nogą.

W przeciwieństwie do miejskich szpitali, gdzie trudno znaleźć miejsce do parkowania i trzeba o nie walczyć, tu mieli rozległy parking. Nadal więc w dobrym nastroju Steven wysiadł z samochodu i poszedł do recepcji. Tam zapytał o doktora Toby'ego Milesa. Według informacji z teczki to właśnie on opiekował się Motramem.

Miles okazał się niskim, tęgim mężczyzną o sztywnych, suchych włosach i rumianej twarzy. Miał na sobie szary prążkowany garnitur, różową koszulę i fioletowy krawat, który

90

tylko podkreślał problemy z cerą. Lekarz dość długo przyglądał się legitymacji Stevena, zanim wreszcie mu ją oddał.

- Czym mogę służyć, doktorze Dunbar?

- Z tego co wiem, to pan sprawuje opiekę psychiatryczną nad Johnem Motramem. Chciałbym się dowiedzieć, co pańskim zdaniem mogło mu się przydarzyć.

Miles znieruchomiał i zamyślił się na niemal wiek. Steven już się zaczął zastanawiać, czy doktor nie minął się przypadkiem z powołaniem i nie próbował sił w ulicznym aktorstwie.

- Przykro mi, doktorze Dunbar - odezwał się w końcu Miles. - Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. John Motram jakby się urwał z choinki.

- To chyba zbyt fachowe określenie jak dla mnie - odparł Steven z uśmiechem i pierwsze lody pękły.

- Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem - wyjaśnił Miles. - Powiedziano mi, że przeżył załamanie nerwowe, ale jestem skłonny przypuszczać, że w ogóle nie mamy do czynienia z problemem psychiatrycznym. To raczej jakaś forma delirium, a fakt, że u pacjenta występują kłopoty z oddychaniem, tylko potwierdza tę hipotezę. Dowiedziałem się też, że w badaniach widać uszkodzenia wątroby, więc piłka wędruje raczej na pole internisty. Owszem, to naturalne, że zakładano, iż na skutek stresu czy rozczarowania załamał się nerwowo, ale to nie to. Objawy zaczynają bardziej przypominać zatrucie albo jakąś infekcję.

Te wieści nie spodobały się Stevenowi. Widmo czegoś, co wydostaje się z grobowca sprzed wieków, by dalej siać spustoszenie, nie chciało zniknąć.

- Miejmy nadzieję, że to da się wyleczyć - powiedział bez śladu rozbawienia.

Miles wzruszył ramionami.

- Może sytuacja będzie wyglądała lepiej, kiedy laboratorium skończy analizy

- Jest przytomny?

- To traci, to odzyskuje przytomność. Dla bezpieczeństwa pielęgniarek musimy podawać mu środki uspokajające. Bez nich zachowuje się agresywnie.

- A w ogóle wspominał coś o tym, co zaszło?

- Nie usłyszeliśmy nic, co mogłoby nam dać choćby mgliste pojęcie o całej sytuacji.

- Mówi po angielsku?

- O, tak. Nie mówi różnymi językami, jeśli o to pan pyta. Wypowiada pojedyncze słowa, ale najwyraźniej zupełnie przypadkowe, nie widać w tym żadnego ciągu myśli.

- Biedaczysko.

- Chciałby pan go odwiedzić? Steven przytaknął.

- Przynajmniej zobaczę, czyj przypadek badam. - Wstał, by pójść za Milesem.

John Motram leżał zamknięty w izolatce pod stałym nadzorem kamer. Miał tam zostać, póki lekarze nie wykluczą, że cierpi na chorobę zakaźną. Nie spał, twarz częściowo zasłaniała mu maska tlenowa. Oczy miał otwarte, ale Steven od razu zauważył puste spojrzenie chorego. Podzielił się tym spostrzeżeniem z Milesem.

- Nie oślepl - zapewnił lekarz. - Wodzi oczami za pielęgniarzką, kiedy ta sprawdza, czy czegoś mu nie trzeba. Nie rozpoznaje jej jako osoby, ale ją widzi, tego jesteśmy pewni.

Podkręcił dźwięk w monitorze. Motram coś mamrotał, ale tak jak mówił Miles - to były zupełnie przypadkowe słowa:

- Czerwony, siedemnaście, niebieski, skręt, lok, wybuch, diamenty, diamenty, trawa, żółty, niebo.

Steven podziękował Milesowi i ruszył do wyjścia.

92

93

Na ortopedii odnalazł Tony'ego Fieldinga. Pacjent rozwiązywał krzyżówkę w „Timesie”. Leżał sam w dwuosobowej sali z ładnym widokiem na wzgórze. Nogę miał w gipsie, na którym podpisało mu się kilku gości. Steven się uśmiechnął, kiedy przechylił głowę i odczytał napis czerwoną kredką: „Kocham cię, Tato, Lewis”.

- Ma siedem lat - powiedział Fielding.

Steven wyjaśnił, kim jest i czym zajmuje się Inspektorat Naukowo-Medyczny.

- Powodzenia - mruknął Fielding. - Nikt nie wie, co go napadło. Wyszedł z tej krypty jak opętany przez diabła. Boże, sam zaczynam mówić jak w tabletkach.

Steven się uśmiechnął, bo facet wzbudził jego sympatię.

- Nietrudno się tego nauczyć - stwierdził. - Życie wtedy staje się takie proste.

- Obiecuję, że nie użyję tego wyrażenia, jeśli znów zjawi się tu ktoś z prasy.

- Rozumiem, że nie domyśla się pan, co przytrafiło się doktorowi Motramowi? - zapytał Steven.

- Nie mam zielonego pojęcia. Zanim wszedł do tej krypty, był do rany przyłoż, a kiedy wyszedł... - Fielding się skrzywił. - Chciał tylko jednego: pozabijać nas wszystkich. Boże, znów to robię! Ciekawe, czy w „Sun” jest przyzwoita krzyżówka... Może się przerzucę? Tak czy siak, szczęście, że skończyło się tylko na tym. -

Postukał palcem w zagipsowaną nogę. - Gdyby udało mu się zjechać koparką do wykopu, to nie byłoby komu opowiedzieć tej historii.

- Brzmi koszmarnie - przyznał Steven. - Czyli pan nie wszedł do krypty?

- Nikt z nas tam nie zaglądał poza Johnem - odparł Fielding. - Naprawdę myśli pan, że coś tam było? Coś z przeszłości?

- Zdrowy rozsądek podpowiada, że nie. Z drugiej strony... dlaczego John Motram jest teraz w takim stanie? Na wszelki wypadek - wyciągnął mały notes - proszę mi opowiedzieć o wszystkim, co zdarzyło się tamtego dnia aż do chwili, kiedy Motram wszedł do krypty.

Fielding wyjął policzki i powoli wypuścił powietrze.

- Właściwie nie bardzo jest o czym mówić. Cała nasza czwórka: John, Alan Blackstone, Les i ja, spotkaliśmy się na parkingu przed opactwem i daliśmy przebadać nasz sprzęt ludziom z Inspektoratu Sanitarno-Epidemiologicznego. Kiedy skończyli stawianie ptaszków w swoich notatnikach i uznali, że wszystko w porządku, poszliśmy do hotelu. Tam lekarz z Wydziału Zdrowia Publicznego pobieżnie wypytał każdego z nas o stan zdrowia, dał nam zastrzyk przeciwłężcowy i tyle. Wróciliśmy więc na miejsce pracy. Les i ja zaczęliśmy wydłubywać zaprawę z muru krypty. Kiedy skończyliśmy, wpuszcziliśmy Johna i obserwowaliśmy, jak wyjmuje poluzowane kamienie, by zrobić sobie wejście. Zniknął w środku, a my czekaliśmy. Siedział tam ponad dwadzieścia minut, ale uznaliśmy, że to jego wielka chwila, wie pan, że się nią delectuje.

- A co się stało, kiedy w końcu wyszedł?

- Muszę przyznać, że wyglądał trochę dziwnie... miał problem z odsłonięciem foliowej zasłony przy wejściu, więc mu pomogłem. Alan zaczął coś do niego mówić, a potem... rozpętało się piekło. Johnowi naprawdę odbiło. Uderzył Alana w twarz latarką, po czym walnął Lesa, który próbował przytrzymać inspektora. Cała nasza trójka zwała się do wykopu, a John cholernie się starał przejechać nas koparką. Na szczęście nie potrafił jej za dobrze obsługiwać i to nas uratowało. W końcu koparka się przewróciła, a on wypadł na trawnik.

- Stracił przytomność?

94

95

- Nie - odparł Fielding zamyślony. - To znaczy nie uderzył w nic głową. Z trudem oddychał. Leżał przez chwilę, łąpiąc powietrze, a potem, dzięki Bogu, odpląnął.

Steven podziękował Fieldingowi i wyszedł. Zerknął na zegarek. Jeśli się pospieszy, zdąży jeszcze porozmawiać z Kennethem Glassem. Postanowił spotkać się z przedstawicielem Wydziału Zdrowia Publicznego, zamiast jechać do Dryburgha, bo w Szkocji o czwartej po południu na początku marca robi się już szarawo. Do opactwa pojedzie z samego rana.

Glass okazał się miłym, pomocnym człowiekiem tuż przed czterdziestką, mocno stąpającym po ziemi. Najwyraźniej zależało mu na tym, żeby zdementować wszelkie wieści o klątwach czy zarazach z przeszłości.

- Na wyniki niektórych testów jest jeszcze za wcześnie -oznajmił. - Ale chyba mogę panu powiedzieć, co się przydarzyło Johnowi Motramowi.

- Naprawdę? To cudownie... a może i nie, jeśli okaże się, że stoimy u progu wybuchu epidemii.

- Nic z tych rzeczy - zapewnił Glass. - Ściśle współpracujemy ze szpitalnym laboratorium i odkryliśmy, że Motram zatrzał się mykotoksyną z gatunku Amanita, czyli jakiegoś muchomora, i to dużą dawką.

- Zamieniam się w słuch - powiedział Steven.

- Wydaje nam się, że w krypcie nie było żadnych żyjących organizmów. Ale za to jesteśmy przekonani, że w prochach, które naruszył Motram, znajdowała się spora dawka zarodników grzybów. Sądzymy, że zatrzał się, wdychając je, kiedy ściągnął maskę. To by wyjaśniało także jego wyraźne trudności z oddychaniem i problemy z wątrobą, które zaczynają się pojawiać.

- A zaburzenia umysłowe?

- Nie sposób określić, jakie są skutki wchłonięcia dużej dawki tej toksyny. To bardzo silna trucizna.

- Doktorze, ludzkość powinna być panu wdzięczna. John Motram nie przeszedł załamania nerwowego i nie został zarażony jakąś superplagą z przeszłości. Zatrzał się.

- Z pewnością tak to wygląda - przyznał Glass. - Jest tylko jeden problem...

- Jaki?

- W próbkach powietrza pobranych z krypty nie znaleźliśmy więcej zarodników. Na razie wszystko wskazuje na to, że w krypcie leży tylko niegroźny kurz.

- Rozumiem, że pan i pańscy ludzie weszli tam w odzieży ochronnej?

- Oczywiście. I przeprowadziliśmy dokładne badania. Powietrze w krypcie może nie przypomina odświeżającej morskiej bryzy, ale w sensie biologicznym naszym zdaniem jest jak najbardziej w porządku. John Motram najwyraźniej miał prawdziwego pecha. Zarodniki grzyba musiały się znajdować akurat w tych jednych zwłokach, które naruszył.

- Biedny facet. Ale, dzięki Bogu, znalazł pan rozwiązanie. Im szybciej brukowce wrócą do demaskowania złodziejskich bankierów, tym będę szczęśliwszy.

- Amen - dorzucił Glass. - Tak się składa, że nasze mobilne laboratorium stoi w Dryburghu. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę śmiało korzystać. Kiedy wszyscy już skończą pobierać próbki, zamierzamy odkazić całą okolicę.

Steven wrócił do samochodu z poczuciem ogromnej ulgi. Otwarcie krypty nie niosło zagrożenia epidemią. Mottram zatrął się, wdychając zarodniki grzybów, a to nie miało absolutnie nic wspólnego z czarną śmiercią. Teraz jedyny problem to pytanie, gdzie zatrzymać się na noc. Przecież rano chciał rzucić okiem na wykopalisko. Nagle przypomniał sobie, że w aktach od Jean Roberts czytał o hotelu Opactwo Dryburgh, który stał tuż obok ruin. Zadzwoił tam i zarezerwował pokój.

96

7 - W proch się obrócisz

97

18

Kiedy Steven zajechał pod hotel, było już ciemno. Cieszył się z postępów, jakie osiągnął, ale zmęczyła go długa droga z Londynu i przesłuchanie dwóch głównych uczestników dramatu - choć w przypadku Johna Motrama należałoby raczej użyć innego określenia. Nie mógł się doczekać długiego gorącego prysznica, dwóch dzinów z tonikiem i przyzwoitej kolacji.

Mimo ciemności widział nieodległe ruiny opactwa. A to, że usłyszał szum wody, kiedy zatrzymał się, by popatrzeć w nocne niebo, dowodziło, jak blisko płynie rzeka Tweed. Idylliczne miejsce, pomyślał.

Przywitał się z recepcjonistką i zagadnął o liczbę gości w hotelu.

- W zeszłym tygodniu, po tym, co stało się z doktorem Motramem, mieliśmy prawdziwe oblężenie, ale teraz wszystko wróciło do normy, zajęta jest jedna trzecia pokoi - usłyszał w odpowiedzi. - Więcej ludzi zacznie przyjeżdżać w okolicy Wielkanocy.

- Znała pani doktora Motrama? - zapytał Steven zaskoczony, że recepcjonistka wymieniła to nazwisko.

- Kiedy tu pracowali, przychodził na kawę z kolegami, a czasami na obiad. Jak pan widzi, nasz hotel stoi tuż obok. Miły człowiek, o wiele miłszy niż ci pismacy, którzy przyjeżdżali potem całymi stadami.

Steven się uśmiechnął.

- O Boże. Pan chyba nie jest dziennikarzem? Parsknął śmiechem.

- Nie. W pewnym sensie badam to, co się wydarzyło.

- O rany.

- Jest szansa na pokój z widokiem na opactwo?

- Nie ma sprawy. Dam panu ten, który chcieli wszyscy ci dziennikarze. Naprawdę jak plaga szarańczy - żaliła się dziewczyna. - Ale jak to szarańcza, przenieśli się na jakieś nowe żerowisko.

- A co z naukowcami? - Steven przypomniał sobie, że Porton Down podobno też zainteresowało się tą sprawą. - Są tu jacyś?

- Jeśli tak, to żaden się nie przyznał.

Steven niespiesznie wpisywał się do książki meldunkowej, przeglądając listę nazwisk. Ale nie znalazł żadnego znajomego. Dziewczyna podała mu klucz.

- Dziś opactwo powinno ładnie wyglądać - powiedziała. - Na niebie ani chmurki i jest pełnia księżyca.

Po kolacji Steven posiedział jeszcze chwilę w hotelowym barze, wypił kawę i brandy, poczytał turystyczne broszurki na temat okolicy. W księżycowej poświacie opactwo rzeczywiście wyglądało cudownie z okna pokoju, więc postanowił przejść się na spacer. Wziął ze sobą mały plan ruin z jednej z broszurek.

Dowiedział się, że na terenie opactwa spoczywają zarówno sir Walter Scott, jak i marszałek polny Douglas Haig, dwie krańcowo różne postaci. Słynny pisarz snuł do bólu romantyczną wizję szkockich gór i tutejszej kultury klanowej, a żołnierz wysyłał ludzi tysiącami na śmierć, w sam środek piekła, jakim była I wojna światowa, która miała zakończyć wszystkie wojny, ale nie zakończyła. Steven rozmyślał nad tymi różnicami, kiedy stał nad grobem Scotta, zaledwie kilka kroków od miejsca spoczynku Haiga.

Na trawie zaczął osiadać szron. Księżycowa poświata odbijała się od niego i jeszcze mocniej rozświetlała przejrzyste

98

99

powietrze, wolne od zanieczyszczeń. Steven poszedł na wschodni kraniec opactwa, gdzie powinna się mieścić kaplica. Chciał sam poczuć atmosferę miejsca, w którym rozegrało się tyle historycznych wydarzeń. Szron błyszczał na schodach wschodniego krużganka. Steven zszedł nimi ostrożnie, potem okrążył ruiny i dotarł aż do kaplicy. Tam stanął na szczycie kamiennych schodów wiodących w dół, w ciemność. Z czarnego otworu dochodził ostry zapach mokrego gipsu i czegoś jeszcze... Niemal w tej samej chwili, kiedy uświadomił sobie, że to balsam po goleniu, usłyszał metaliczne kliknięcie wycelowanej w niego broni automatycznej. Rzucił się w tył i potoczył po oszronionej trawie, by zniknąć z oczu temu, kto się krył na dole.

Zerwał się na równe nogi i przyszykował do sprintu w stronę schodów krużganka, ale bał się, że może nie zdążyć. Nagle usłyszał męski śmiech.

- Szybki jesteś, Dunbar, trzeba ci to przyznać. I mam szczęście, że nie nosisz broni.

Steven kojarzył ten głos, ale nie potrafił go przypisać do konkretnej osoby. Ktokolwiek to był, znał jego nazwisko i wiedział, że nie nosi broni - nie nosił jej z zasady, chyba że ktoś czyhał na jego życie.

- Coś ty za jeden, do cholery? - warknął.

Wysoki mężczyzna wyszedł po kamiennych schodach na trawę oświetloną księżycową poświatą. Steven przyglądał się wysokiemu czołu i lekko wysuniętemu podbródkowi.

- Ricksen z MI-5 - krzyknął. Rozpoznał oficera wywiadu, którego kiedyś miał okazję poznać. - Co ci, u diabła, strzeliło do łba?

- Stary, nie mogłem się oprzeć. Dopiero co przyjechałem. Zobaczyłem twoje nazwisko w księdze gości, a dziewczyna

z recepcji powiedziała mi, że wybrałeś się zaczerpnąć świeżego powietrza... no więc jak mówię, nie mogłem się oprzeć, żeby cię nie sprawdzić.

Steven czuł gniew, ale i ulgę. Strzepywał szron i trawę z ubrania, póki się nie uspokoił.

- A co, do diabła, ty tu robisz?

- Bawię się w niańkę - odparł Ricksen. - Rano przyjeżdża tu dwóch jajogłowych z Porton Down. Mam się nimi opiekować, dopilnować, żeby pobrali próbki czy co tam chcą zabrać z tego grobu. - Wskazał głową schody do kaplicy. - A wasz Inspektorat co tu przygnało?

- Chcemy się dowiedzieć, co się stało Johnowi Motra-mowi.

- Naukowcom często wysiada psychika - stwierdził Ricksen. - Tyle że temu przytrafiło się to w krypcie ofiar czarnej śmierci sprzed siedmiuset lat i zwęszyły to gazety.

- No to nie słyszałeś najnowszych wieści. To nie było załamanie nerwowe. Chłopcy z laboratorium twierdzą, że Mo-tram zatruł się zarodnikami grzybów.

- W takim razie oszczędzi nam to sporo kłopotów - uznał Ricksen. - I spieprzy tabloidom świetną historię, co mnie akurat cieszy. Postawić ci drinka?

- Myślę, że po takim występie chyba zasłużyłem.

Steven po raz ostatni rzucił okiem na ruiny z okna pokoju, po czym zaciągnął zasłony i położył się do łóżka. Coś go gryzło, ale nie bardzo wiedział co. Może to przez ten głupi dowcip Ricksena, ale czuł, że chodzi o coś więcej. Z MI-5 łączyły go od dawna niełatwe stosunki. Na pozór i oni, i on działali po tej samej stronie, ale istniała pewna istotna różnica: Inspektorat Naukowo-Medyczny działał niezależnie od

100

101

rządu, a MI-5 realizowało rządowe polecenia. Kilka razy ludzie Johna Macmillana bezlitośnie obnażyli to, co rząd i MI-5 woleliby zachować w tajemnicy. W oczach establishmentu uchodzili trochę za niebezpiecznych narwańców, ale kolejne rządy szybko przekonywały się, że wszelka próba neutralizacji Inspektoratu została natychmiast dostrzeżona przez opozycję Jej Królewskiej Mości i wykorzystana do zbiccia politycznego kapitału.

Leżąc w ciemności, Steven pomyślał o nadchodzącym dniu. Rozejrzy się po krypcie, a potem co? Początkowo zamierzał odwiedzić Alana Blackstone'a i Lesa Smitha, ale po tym, co ustaliło laboratorium,

w zasadzie nie było po co. Pewnie powiedzieliby mu to samo co Tony Fielding, a Kenneth Glass zapewniał, że poza zarodnikami grzybów w krypcie nie czai się nic złowrogiego.

Zastanowił się chwilę nad mykotoksyną, która najpewniej doprowadziła Motrama do jego obecnego stanu. Glass mówił o dużej dawce, ale to ciekawe, że w próbkach powietrza naukowcy już nie wykryli zarodników. Nawet jeśli rzeczywiście Motram miał pecha i zarodniki znajdowały się w prochu, jaki pozostał z ciała tylko jednej ofiary, to należało spodziewać się jakichś ich śladów w całej krypcie.

19

Przy śniadaniu Steven nadal rozmyślał o Motramie, kiedy dosiadł się do niego Ricksen.

- Moi podopieczni pojawią się około dziesiątej - powiedział. - A ty jakie masz plany?

- Rozejrzę się po krypcie.

- Chcesz się upewnić, czy w kącie nie siedzi anioł śmierci? - zażartował Ricksen.

- Coś w tym rodzaju - przyznał Steven. - Później zgłoszę się do Wydziału Zdrowia Publicznego, żeby sprawdzić, czy nie wyszło im coś jeszcze w testach mikrobiologicznych. A potem w drogę do domu. A ty?

- Jeśli faceci z Porton załatwią co trzeba, to przed obiadem powinienem się stąd zwinąć. W końcu ile może trwać zbieranie kilku próbek kurzu?

Steven spojrzął na zegarek.

- Jak się pospieszę, to zdążę wyjechać, zanim tu nadciągną. - Wstał od stołu.

- Do zobaczenia.

Steven nie był do końca szczery z Ricksenem. Nie wspomniał, że przed powrotem do Londynu zamierza zamienić słowo z żoną Motrama. To chyba miało związek z tym czymś, co go gryzło. Po prostu czuł, że musi dowiedzieć się czegoś więcej o naukowcu.

Podszedł do stojącej w pobliżu ciężarówki z mobilnym laboratorium wydziału i przedstawił się szefowi techników.

- Doktor Glass wspominał, że może pan wpaść - powiedziała młoda rudowłosa kobieta, która właśnie przygotowywała sprzęt do późniejszej dezynfekcji krypty. - Pewnie chce pan wdianko dla hieny cmentarnej?

Steven ubrał się w kombinezon w ciągu dziesięciu minut, założył maskę i gotów był wejść do krypty przez prowizoryczną śluzę powietrzną. Nie musiał używać latarki, pracownicy z wydziału zdążyli już założyć wewnątrz tymczasowe oświetlenie. Kiedy tylko wszedł skulony przez dziurę w ścianie, od razu zobaczył całą zawartość kamiennego grobowca.

102

Uderzyła go myśl, że to sypialnia dla zmarłych. Na kamiennych ławach leżało szesnaście czarnych ludzkich kształtów, po osiem z każdej strony.

Kiedy przyjrzał się bliżej, w torsie każdego ciała dostrzegł okrągły otwór. Zapewne w ten sposób sprawdzono, czy wszystkie szczątki uległy takiemu samemu rozkładowi jak te, które badał Motram. Ale równie dobrze Motram mógł przebić pięścią każdą mumię pod wpływem rozczarowania. Steven upewnił się, że maska dobrze przylega do twarzy, po czym włożył dłoń w rękawiczce w jeden z otworów. Ręka bez żadnej przeszkody doszła prosto do kamiennej ławy. Całun był jedynie pustą skorupą, pełną kurzu i resztek kości.

Steven próbował wyobrazić sobie całkowite przygnębienie, jakie ogarnęło Motrama, kiedy to odkrył. Kiedy po wejściu naukowiec zobaczył ludzkie kształty, mógł przypuszczać, że ciała zachowały się w dobrym stanie, i na pewno poczuł uniesienie. Ale kiedy się przekonał, że pod całunem nie ma nic - co Steven udowodnił, dotykając czubkiem palca uda jednej z ofiar - musiał przeżyć ogromny cios. Zerwał maskę i klnąc własnego pecha, bezwiednie wciągnął do płuc pył i toksyczne zarodniki.

Nie było sensu tkwić tu dłużej. Steven przeszedł przez prysznic i procedurę odkażenia w pojeździe Wydziału Zdrowia Publicznego, choć podejrzewał, że to bardziej formalność niż konieczność. Sprawdził u szefowej techników, czy są nowe wieści z laboratorium.

- Z samego rana rozmawiałam z doktorem Glassem - odparła kobieta. - Twierdzi, że to tylko nieszkodliwy kurz. Jego zdaniem większe zagrożenia czyhają na ludzi w miejskim basenie.

Steven ruszył w stronę wioski Longthorn. Kiedy wyjeżdżał z parkingu, zobaczył, że właśnie zajęła tam nie-

oznakowana biała furgonetka. Sądząc po skomplikowanych wylotach wentylacyjnych na dachu, było to pewnie mobilne laboratorium Porton Down, którego spodziewał się Ricksen. Na widok pojazdu znów coś go zaczęło dręczyć. Coś mu jeszcze umknęło.

Rano zadzwonił do przychodni, gdzie pracowała doktor Cassie Motram. Dowiedział się, że dostała urlop okolicznościowy. Według jednego ze współników kliniki, doktor Motram starała się pracować jak zwykle, żeby się czymś zająć i nie rozmyślać ciągle o chorobie męża. Ale kiedy pojawiła się prasa, uznała, że nie jest w stanie przyjmować pacjentów. Wielu z nich uwierzyło, że pani doktor może ich zarazić dżumą.

- A trochę to potrwa, zanim zrozumiemy, że chodzi o toksynę z jakiegoś gatunku muchomora - dodał współnik.

Cassie Motram otworzyła drzwi. Widząc jej poirytowaną minę, Steven szybko zapewnił, że nie ma nic wspólnego z mediami. Cassie popatrzyła na jego legitymację.

- Nigdy o was nie słyszałam - stwierdziła.

- Mało kto słyszał - odparł Steven z uśmiechem. Krótko wyjaśnił, czym zajmuje się Inspektorat

Naukowo-Me-dyczny.

Cassie wzruszyła ramionami i zaprosiła go do miłego mieszkania.

- Robię coś w kuchni - powiedziała. - Jeśli to panu nie przeszkadza, porozmawiajmy tam.

- Ależ oczywiście. - Steven przysiadł na stołku przy barze śniadaniowym i obserwował, jak Cassie przygotowuje składniki. Na blacie leżała otwarta książka kucharska. Od razu pomyślał, że ta kobieta za wszelką cenę stara się nie myśleć o nieszczęściu. Dobrze ją rozumiał.

104

105

- Jak się dzisiaj czuje mąż? - zapytał.

- Kiepsko.

- Przykro mi.

- To co konkretnie pan bada? - Cassie zaczęła odważać mąkę na cyfrowej wadze.

- Wysłano mnie, żebym sprawdził, co stało się pani mężowi w krypcie w opactwie Dryburgh - wyjaśnił Steven.

- I czy ma to jakiś związek z ofiarami czarnej śmierci, które tam leżą - dodała z cierpkim uśmiechem.

- To nas zaniepokoiło - przyznał Steven. - Myśl o powrocie epidemii z całą pewnością spędzała sen z powiek paru ludziom w Whitehall, ale teraz już wiemy, co się naprawdę wydarzyło. To wina zarodników grzybów i po prostu pecha.

Cassie zerknęła na niego z ukosa.

- Będę z panem szczerą, doktorze Dunbar. Kiedy John powiedział mi, że zamierza otworzyć grobowiec ofiar czarnej śmierci sprzed siedmiuset lat, wcale się nie ucieszyłam. Wiem, że takie obawy są bzdurą, jestem lekarzem i potrafię ocenić zagrożenie, ale nawet w XXI wieku wspomnienie czarnej śmierci potrafi wpływać na wyobraźnię.

Steven przytaknął.

- Doskonale panią rozumiem. Dziś rano wszedłem do krypty. Niezależnie od tego, co człowiek sobie mówi, umysł i tak zaczyna pracować na zwiększonych obrotach.

- Ale pańskie obawy były bezpodstawne, doktorze. A moje nie. - Cassie przerwała pracę. - Mąż do mnie nie wrócił. Kiedy dzwoniłam rano do szpitala, zastanawiali się, czy nie przenieść go na OIOM.

- Tak mi przykro. - Steven dostrzegł smutek w oczach kobiety i aż coś ścisnęło go w gardle.

Cassie szybko się pozbierała.

106

- Może napije się pan kawy, doktorze Dunbar?

- Z chęcią. - Steven starał się pomóc przywrócić normalną atmosferę. - Czarną poproszę, bez cukru.

Kiedy już poczuli się swobodniej w swoim towarzystwie, Steven zaczął trochę pocieszać żonę Motrama.

- Skoro już wiadomo, co jest Johnowi, lekarze będą w stanie skuteczniej go leczyć - powiedział.

- Tak naprawdę nic się nie da teraz zrobić. Doktor Miles zrezygnował, a toksykolog, z którym rozmawiałam, przyznał, że na razie można tylko utrzymywać Johna przy życiu i dobrze się nim opiekować. Jego zdaniem John musiał wchłonąć potężną dawkę tej trucizny.

Steven kiwnął głową.

- To samo powiedzieli mi ludzie z Wydziału Zdrowia Publicznego. Ale ich laboranci nie znaleźli w kurzu żadnych zarodników. Byli tym zakłopotani.

Cassie wzruszyła ramionami, ale nic nie powiedziała.

- Mnie też to zdziwiło, więc popytałem trochę w naszym Inspektoracie - mówił dalej Steven. - Inna możliwość to że dawka nie była duża, ale pan Motram na przykład jest uczulony na toksyny z rodzaju Amanita. Cierpiał na alergię?

Cassie długo kręciła głową, jakby podejrzewała, że te pytania do niczego nie doprowadzą.

- Koty - odezwała się w końcu. - Lubił je, ale kiedy dłużej przebywał blisko nich, zaczynał się drapać. Po głaskaniu kota musiał myć ręce, to wszystko.

Mimo to Steven pytał dalej:

- Kolejna możliwość to stres. Potrafi osłabiać odporność ludzi na skutki działania toksyn. Czy John żył pod presją? Miał ostatnio jakieś problemy?

Cassie wolno kręciła głową, zastanawiając się.

107

- Nie sądzę. Od kilku tygodni John nie myślał o niczym innym tylko o otwarciu tej krypty w Dryburghu. To się zaczęło, kiedy dostał list z Oksfordu.

Steven przytaknął, dając do zrozumienia, że wie o udziale Balliol College.

- Cóż, trochę się zdenerwował, kiedy w sprawę wmiszał się Inspektorat Sanitarno-Epidemiologiczny i opóźnił wykopaliska, ale to nie trwało długo. I bardziej go wkurzało niż stresowało.

- Każdemu potrafią zaleźć za skórę.

- No i ten wyjazd do Londynu. To było dla niego niecodzienne przeżycie, ale raczej nie stresujące. Wszystko chyba poszło jak należy. - Steven zrobił zaskoczoną minę, więc Cassie wyjaśniła: - Wezwano go do szpitala w Londynie, by przebadał kandydata na dawcę szpiku kostnego dla pacjenta z zaawansowaną białaczką.

- Co pan Mottram tam robił, skoro to szpital w Londynie?

- To jeden z warunków otrzymania grantu na wykopaliska w Dryburghu. Zgodnie z umową fundator miał prawo wezwać go jako konsultanta. Spędził tam zaledwie jeden dzień, potem musiał tylko przebadać we własnym laboratorium próbki, które przywiózł ze sobą. Wszystko łatwe i proste, żadnego stresu czy presji.

Steven skinął głową.

- Właściwie... to chyba nic takiego, ale po tym wyjeździe coś się zdarzyło...

- Tak?

- Jakiś czas po powrocie Johna w telewizji podali, że w Afganistanie zginął młody marine. Kiedy mąż zobaczył na ekranie jego zdjęcie, stwierdził, że to dawca, którego badał w Londynie.

- I rzeczywiście to był on?

- Okazało się, że to pomyłka. Marine został ranny w Afganistanie w tym samym dniu, kiedy John widział się ze swoim pacjentem w Londynie.

- Aha - mruknął.

20

S

teven zadzwonił do Leicester do Tally.

- Steven! Gdzie jesteś?

- Na północy. Właśnie ruszam z powrotem do Londynu. Pomyślałem, że wpadnę do ciebie wieczorem. Chyba że masz inne plany?

- Nie, bardzo się cieszę. Zastanawiałam się, co się z tobą dzieje. Cały czas zgłaszała mi się automatyczna sekretarka.

- A mnie twoja - odparł. - Opowiemy sobie wszystko przy kolacji.

- No więc gdzieś w głębi duszy jestem romantykiem - powiedział Steven, kiedy zajechali pod francuską restaurację, w której z Tally jedli pierwszą wspólną kolację niedługo po tym, jak się poznali. W trakcie

śledztwa trafił do szpitala dziecięcego w Leicester, gdzie pracowała Tally.

- Dobrze, że wróciłeś. - Tally popatrzyła na prowansal-skie plakaty na ścianach. - Wydaje mi się, że źle cię potraktowałam kilka dni temu. Nie chciałam sugerować, że Jenny i ja rywalizujemy o twoje uczucia.

- Nigdy nie zakładałem, że z dwiema kobietami w życiu będzie mi łatwo - powiedział Steven z uśmiechem, którym dawał do zrozumienia, że wie, iż stąpa po cienkim lodzie.

108

109

- Pod warunkiem że jedna z nich to dziewięciolatka o imieniu Jenny - rzuciła Tally z lodowatym spojrzeniem.

- Wiesz, co do ciebie czuję.

- Mam nadzieję, że przynajmniej to samo co do swojego porsche. A przy okazji, jak się sprawuje?

- Do pięt ci nie dorasta - zapewnił Steven.

- Dobra odpowiedź. Ale dość żałosna, Dunbar. Mimo wszystko cieszę się, że nie skończyłaś na jakimś polu ze spalonym samochodem i że teraz nikt nie strzela przez okna restauracji.

- To był wyjątek - podkreślił Steven. - Śledztwa w Inspektoracie są przeważnie dość proste i najczęściej bardzo nudne.

- A jak idzie to nowe? Chyba że nie możesz mi powiedzieć?

- Oczywiście, że mogę. Pojechałem do opactwa w Drybur-ghu w Scottish Borders, gdzie pewien naukowiec po wyjściu z krypty, gdzie przez siedemset lat leżało szesnaście ofiar czarnej śmierci, postradał zmysły i rzucił się na swoich kolegów.

- Czytałam coś o tym w gazetach.

- Inspektorat Naukowo-Medyczny obawiał się, że stan naukowca może mieć jakiś związek z zawartością krypty.

- A miał?

- W krypcie jest tylko kupa kurzu i kości, co bardzo wszystkich rozczarowało. A gość, o którym mówimy, miał wielkiego pecha, bo w kurzu znajdowały się też duże ilości trujących zarodników grzybów. Wciągnął je z powietrzem do płuc i skończyło się poważnym zatruciem mykotoksynami. Nie wiadomo, czy w ogóle się wyliże. Ale panika już minęła, Wydział Zdrowia Publicznego zdezynfekuje kryptę i na tym śledztwo się zakończy. Widzisz, przesadzasz z tymi zagrożeniami w mojej pracy.

- Uhm - mruknęła Tally wcale nieprzekonana. - I co dalej?

- Wrócę do Londynu, przygotuję raport na temat wydarzeń w Dryburghu i zobaczę, co dla mnie szykuje John Mac-millan.

- Coś ekscytującego.

- Raczej przyjemnego i nudnego - odparł Steven ze słodkim uśmiechem.

- No dobrze, Dunbar. Nie przeginaj.

- A co u ciebie?

- Haruję jak wół w niedoinwestowanej namiastce szpitala, gdzie brakuje rąk do pracy, za to nie brakuje urzędasów. I gdzie zarząd... choć w ich przypadku takie określenie brzmi jak dowcip... bardziej interesuje się odhaczaniem odpowiednich kratek w formularzach niż leczeniem chorych dzieci.

- Czyli nic się nie zmieniło.

- Brytyjska służba zdrowia, która podobno budzi zazdrość całego świata, jest równie popieprzona jak nasz system bankowy. Tyle że ludzie jeszcze tego nie zauważyli.

- A zatem czas na zmiany - stwierdził Steven. - Co powiesz na to, żeby zostać pełnoetatową mamą dziewięcioletniej dziewczynki?

Tally wbiła w niego wzrok.

- Steven, bądź poważny. Już o tym rozmawialiśmy. Mam swoją pracę, to dla mnie ważne. Uwielbiam medycynę, kocham dzieci. Nienawidzę tylko tego parszywego systemu.

Kiwnął głową.

- Przepraszam. Wierz mi, doskonale cię rozumiem.

- Naprawdę? - Przyjrzała się uważnie, czy Steven mówi szczerze.

- Tak - zapewnił. - Ale prawdą jest również, że cię kocham... i to bezwarunkowo.

110

111

Tally już miała coś odpowiedzieć, gdy zadzwonił telefon. Steven przeprosił, ale powiedział, że musi odebrać. Wyłączenie służbowej komórki nie wchodziło w grę. Wyszedł z sali, żeby porozmawiać w małym barze przylegającym do restauracji, gdzie akurat nikogo nie było. Przysiadł na wysokim stołku, podpierając się stopą o podłogę.

- Doktor Dunbar? Mówi Cassie Motram.

Steven przypomniał sobie, że dał Cassie wizytówkę i prosił, by zadzwoniła, jeśli przypomni się jej coś

istotnego.

- Witam, doktor Motram. Czym mogę służyć?

- Oglądał pan dziś wiadomości telewizyjne, doktorze?

- Większą część dnia spędziłem w drodze. A było coś interesującego?

- Niech pan sam oceni. Mnie to się wydało bardzo dziwne. Proszę dać mi znać, co pan o tym sądzi, kiedy pan obejrzy.

I na tym rozmowa się skończyła. Steven wpatrywał się w telefon z lekkim zakłopotaniem.

- Jakież problemy? - zapytała Tally, kiedy wrócił do stolika.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Dzwoniła Cassie Motram, żona tego gościa, który się zatruł w krypcie. Jest lekarzem. Pytała, czy oglądałem dziś wiadomości w telewizji.

- Co nam umknęło?

- Nie wyjaśniła.

Tally popatrzyła zdziwiona.

- Niesamowite.

Podano przystawki i oboje próbowali wrócić do normalnej rozmowy, ale nie mogli zapomnieć o dziwnym telefonie.

- Chcesz wrócić do domu? - zapytała Tally w połowie głównego dania, kiedy zauważyła, że Steven kolejny raz się zamyśla.

Starął się, jak mógł, by zapewnić ją, że nie ma pośpiechu, a w wiadomościach pewnie nie było nic ważnego.

- A jeśli podali coś o wybuchu epidemii czarnej śmierci na terenie Scottish Borders... - zasugerowała.

- O mój Boże. A moglibyśmy wrócić? Tally się uśmiechnęła.

- W filmie kryminalnym mielibyśmy chyba teraz scenę, w której ci zarzucam, że poświęcasz więcej czasu pracy niż mnie, i wychodzę z wielkim hukiem... ale skoro dziś i tak nocujesz u mnie, to dlaczego nie?

- Świetnie.

- Ale uważaj, Dunbar, jeśli to tylko wyrafinowana sztuczka, żeby wcześniej zaciągnąć mnie do łóżka... to śpisz na sofie.

Do domu wrócili o wpół do dziesiątej. Steven włączył telewizor i przerzucił na Sky News. Czekał na najnowsze wiadomości, a Tally parzyła kawę.

- Jest coś? - zapytała, wracając z tacą. Postawiła ją na ławie przed sofą.

- Na razie nic. Poklepała dłonią sofę.

- Nie będzie ci tu tak źle...

Steven już miał odpowiedzieć, ale nagle zamarł ze wzrokiem wbitym w ekran, gdzie pojawił się nagłówek: „Rodzina zmarłego marine domaga się wyjaśnień”. Materiał mówił o rodzinie żołnierza ze szkockiego oddziału marines - Michaela Kelly, który zginął w Afganistanie. Bliscy uważali, że nie powiedziano im całej prawdy o śmierci syna. Twierdzili, że mają informacje, że został wysłany z powrotem do Wielkiej Brytanii na tajną misję i że okoliczności jego śmierci otacza mgła tajemnicy. Żądali wyjaśnień.

112

8 - W proch się obrócisz

113

Materiał się skończył, ale Steven nadal gapił się w telewizor.

Tally nie mogła uwierzyć.

- I to wszystko? - wykrzyknęła. - Co to, do diabła, ma wspólnego z czarną śmiercią i wykopaliskami w Dryburghu?

- Doskonałe pytanie, pani doktor - odparł Steven, błędząc gdzieś myślami. W końcu oderwał oczy od ekranu i popatrzył na Tally. - Cassie Motram powiedziała mi, że jej mąż widział w telewizji informację o śmierci tego żołnierza i wydawało mu się, że to dawca szpiku kostnego, którego badał jako konsultant. Potem dowiedzieli się, że chłopak został ranny w Afganistanie tego samego dnia, kiedy John Motram przyjmował dawcę w Londynie, więc uznali, że to pomyłka. Ale w tej sytuacji...

- Więc jeśli rodzina mówi prawdę, to marine mógł być

dawcą?

- Na to wygląda.

Tally zostawiła Stevena sam na sam z jego myślami. Wróciła z dwoma kieliszkami brandy i podała mu jeden.

- Wiesz, czego ci teraz trzeba moim zdaniem?

- Czego?

- Żebyś zaciągnął mnie wcześniej do łóżka.

21

Nadal coś cię gryzie - zauważyła Tally, kiedy siedzieli razem przy śniadaniu. Słońce wpadało przez okno w kuchni, tworząc oazę światła.

- Myślałem, że to już koniec dochodzenia, ale nie - odparł Steven. - Ktoś robi ze mnie durnia.

114

- W jakim sensie? Mówiłeś przecież, że wszystko jest proste.

- Tak mi się wydawało. I tak miałem myśleć. Ale właśnie zrozumiałem, co mi nie dawało spokoju od wyjazdu do Scottish Borders. Nie zgadza się czas.

Tally patrzyła nierozumiejącym wzrokiem.

- Jaki czas? Czyj?

- MI-5.

Otworzyła szeroko oczy.

- Chyba czegoś nie rozumiem - powiedziała ze zdumieniem. - Co, u licha, ma z tym wspólnego MI-5?

- Kiedy Motramowi odbiło i zakładano, że to może być związane z wejściem do krypty w Dryburghu, John Macmillan wspomniał, że sprawą interesuje się Porton Down.

- Ta jednostka obrony mikrobiologicznej? Steven przytaknął.

- I to miało sens. Można było się tego spodziewać w tych okolicznościach. Bałem się nawet, że przyjadą tam i nie wpuszczą nikogo innego, ale ludzie z Wydziału Zdrowia Publicznego okazali się szybsi. Kiedy zadzwoniłem, już zdążyli wejść do krypty i pobrać próbki. Dotarłem na miejsce, a ci z Porton jeszcze się nie pojawili. Przyjechał za to agent MI-5 oddelegowany do opieki nad nimi. Powiedział, że spodziewa się ludzi z Porton następnego dnia rano. Dopiero gdy wyjeżdżałem, ich furgonetka właśnie parkowała.

- No i?

- To była zasłona dymna - wyjaśnił Steven. - Doskonale wiedzieli, że stan Motrama nie ma nic wspólnego z żadnym mikroblem z krypty. Przyjechali tylko po to, żeby mi się pokazać.

- O Boże - westchnęła Tally. - Zamierzasz znowu skrzyżować miecze z MI-5?

115

- Nie żebym robił to specjalnie - zaznaczył Steven. - Ale nie zamierzam na razie kończyć tego śledztwa.

Tally nagle zauważyła, że jeśli się nie pośpieszy, spóźni się do pracy. Zaczęła się miotać, mamrocząc, co

ma do zrobienia w szpitalu. Zbierała swoje rzeczy, skakała na jednej nodze, zakładając but, w końcu pocałowała Stevena w policzek i wypadła z domu. Steven uśmiechnął się do ducha Tally i posprzątał po śniadaniu. Wciąż zastanawiał się, jak się zabrać do czegoś, co wyglądało na zupełnie nowe śledztwo, na które najpierw musi uzyskać zgodę Johna Macmillana. Ale jeśli ci z MI-5 i Porton Down nie spieszyli się, żeby zbadać, co doprowadziło Johna Motrama do takiego stanu... to dlatego, że już wiedzieli.

- Nie dopatrujesz się w tym przypadku zbyt wielu znaczeń? - zapytał John Macmillan. - Może po prostu ludzie z Porton Down tym razem ruszali się jak muchy w smole.

- Porton i MI-5 mieliby się ociągać, gdy w grę może wchodzić nowy zabójczy czynnik?! - krzyknął Steven.

- Nie sądzę. Zanim przyjechali, Wydział Zdrowia Publicznego zdążył już przebadać kryptę, pobrać próbki, naradzić się z personelem ze szpitala i wykryć, co spowodowało chorobę Motrama. Gdyby służby bezpieczeństwa naprawdę uważały, że kryje się tam coś nowego i wrednego...

- Wydział Zdrowia Publicznego nie zostałby nawet dopuszczony w pobliże - przyznał Macmillan.

- Na nasz użytek odegrali przedstawienie, że przyjeżdżają po próbki.

- Ale po co?

Steven zamilkł na chwilę.

- Całą drogę do Londynu o tym myślałem - zaczął powoli i z rozmysłem. - Jedyne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do

116

głowy to, że MI-5 wiedziało dokładnie, co się stało Johnowi Motramowi. Może nawet to oni maczali w tym palce, z udziałem Porton Down lub bez niego.

Macmillan miał minę człowieka, który właśnie usłyszał bardzo złe wieści.

- Ale po co robiliby coś takiego?

- Czy ja wiem? Może mocno się mylę, ale teraz jestem przekonany, że choroba Motrama ma więcej wspólnego ze zmarłym żołnierzem i przeszczepem szpiku niż z rozłożonymi zwłokami ze średniowiecznego grobowca w Szkocji.

- Co wiadomo o tym marinerze, którym tak nagle się zainteresowałeś?

- Na razie nic. Uznałem, że powinienem najpierw z panem porozmawiać i zapytać o pana zdanie.

- Słowem chciałbyś się zająć tą sprawą - domyślił się Macmillan bez większego entuzjazmu.

- Tak, choćby dlatego, że MI-5 i Porton zamierzali z nas zrobić durniów.

- To niewystarczający powód - uciął Macmillan. Steven spróbował jeszcze raz:

- Cassandra Motram to bardzo miła kobieta, ciężko pracująca lekarka, której mąż, też chwalony przez wielu, przyzwoity człowiek i błyskotliwy naukowiec, ociera się właśnie o śmierć. Myślę, że MI-5 coś knuje albo wie, czyja to sprawka.

- Tak już lepiej - odparł Macmillan. - Znacznie lepiej. Powiem Jean, żeby znalazła co może na temat tego zmarłego żołnierza. A ty w tym czasie dowiedz się czegoś o przeszczepie, przy którym doradzał Motram.

- Już mnie nie ma.

Kiedy Steven wyszedł z ministerstwa spraw wewnętrznych, świeciło słońce, więc postanowił wrócić do domu

117

piechotą bulwarem nadrzecznym. Na chwilę przysiadł na ławce, żeby popatrzeć na ruch na Tamizie. Zamierzał później zadzwonić do Cassie Motram i wypytać ją bardziej szczegółowo o kontakty męża z londyńskim szpitalem, ale na razie skupił się na toksycznych zarodnikach i na tym, w jaki sposób zatruty naukowiec. Jeśli MI-5 rzeczywiście wie więcej, niż mówi, to rośnie prawdopodobieństwo, że naukowiec został zatruty celowo.

Przed Motramem w krypcie nie było nikogo, więc nie można było tam podrzucić zarodników. Zatem zatrucie musiało nastąpić, zanim wszedł do grobowca. To by wyjaśniało, dlaczego Kenneth Glass i jego ludzie nie znaleźli trujących zarodników w próbkach powietrza z krypty. Po prostu nigdy ich tam nie było.

A jeśli tak, to ten, kto zaatakował badacza, musiał podać toksynę o konkretnej porze, tak by zmylić wszystkich, że objawy wywołało coś, co znajdowało się w krypcie, coś, co potem laboratorium wykryje w kurzu z grobowca. To z pewnością ograniczało grono podejrzanych do trzech kolegów Motrama: dwóch pracowników firmy geodezyjnej i Alana Blackstone'a, obserwatora z ramienia Szkockiego Urzędu Ochrony Zabytków.

Lista kandydatów nie napawała Stevena otuchą, ale przypomniał sobie, że tego ranka przy wykopalisku kręcili się jeszcze inni. Tony Fielding mówił, że ludzie z Inspektoratu Sanitarno-Epidemiologicznego byli już na miejscu, jeszcze zanim zaczęło się kopanie. Co więcej, cała czwórka biorąca udział w otwarciu krypty tuż przed pracą dostała zastrzyki. Zastrzyki.

Steven zadzwonił do Kennetha Glassa.

- Cześć, Steven - powitał go Glass przekonany, że Dunbar dzwoni, żeby dowiedzieć się o rezultaty monitoringu

118

krypty. - Możesz odetchnąć z ulgą, wszystkie próbki z Dry_burgha wciąż są negatywne.

- Dzięki, Kenneth, ale ja w innej sprawie. Tego ranka kiedy otwarto kryptę w Dryburghu, wysłaliście tam jednego z waszych lekarzy. Przeprowadził ludzi prowadzących wykopaliska i dał im zastrzyki przeciwężcowe.

- Naprawdę? Pierwsze słyszę. Masz jego nazwisko? Steven poczuł, że krew mu tężeje.

- Niestety nie. Ale spróbuję je zdobyć.

- Nie, w porządku. Popytam tutaj i oddzwonię. Steven uświadomił sobie, że nie zna też nazwisk ludzi z Inspektoratu Sanitarno-Epidemiologicznego, ale może Motram wspominał o nich żonie. Zapyta o to Cassie później, Kie" dy do niej zadzwoni.

Zabręczała komórka i z góry wiedział, że to będą złe wieści.

- Cześć - odezwał się znów Glass. - Nikt tutaj nic nie wie o żadnych zastrzykach przeciwtężcowych dla ludzi z Dry burgha. Co więcej, my wtedy jeszcze w ogóle nie słyszeliśmy o pracach wykopaliskowych w opactwie.

- Dzięki - odparł Steven. - Tego się obawiałem. Rozłączył się i zadrżał, myśląc o swoim odkryciu. Niewyklu-

zione, a wręcz prawdopodobne, że w opactwie w Dryburghu pojawił się ktoś, kto podał się za lekarza z Wydziału Zdrowia Publicznego i wstrzyknął Johnowi Motramowi mykotoksynę, która ugotowała mu mózg. To doskonale wyjaśniało brak Zarodników w próbkach powietrza i hipotezę „dużej dawki”. Ale celem był tylko John Motram. U trzech pozostałych zastrzyki nie wywołały żadnych objawów chorobowych. Zaatakowano Motrama, bo wiedział coś o żołnierzu zabitym w Afganistanie?

To zupełnie zmieniało sprawę. Uznał, że telefon do Cassie Motram to za mało. Pojedzie na północ i porozmawia z nią

119

osobiście. Musi też znów pogadać z Tonym Fieldingiem i dowiedzieć się wszystkiego o tych ludziach z Inspektoratu Sanitarno-Epidemiologicznego i Wydziału Zdrowia Publicznego, a raczej o ludziach, którzy się podawali za pracowników tych instytucji. Zadzwoni do Cassie, by powiadomić ją o swoim przyjeździe, a potem pojedzie do Borders General porozmawiać z Fieldingiem.

Steven doszedł do mieszkania, nie przestając o tym wszystkim myśleć. Nie znał się na mykotoksynach, ale na pewno znał Porton Down. Ktoś gdzieś podjął decyzję, by nie zabijać Motrama, tylko zrobić mu papkę z mózgu.

- Cóż za troskliwość, łajdaki - mruknął. Nasypał kawy do pojemnika i włączył ekspres.

22

Przed wyjazdem na północ zabrał z ministerstwa teczkę z informacjami o zmarłym marinerze. Jean Roberts przeproszała, że są mało szczegółowe, ale zdążyła tylko zdobyć oficjalny komunikat ministerstwa obrony i dorzucić to, co udało jej się znaleźć w gazetach. Johna Macmillana nie było w gabinecie, więc Steven nie mógł mu opowiedzieć o fałszywym przedstawicielu Wydziału Zdrowia Publicznego i o tym, co wydedukował. Powiedział Jean, że zadzwoni do niego później.

Droga na północ przebiegła gładko, zatrzymał się tylko raz na kawę na stacji benzynowej. Przejrzał wtedy cienką teczkę na temat Michaela Kelly'ego. Pod dom pani Motram zjechał tuż po pierwszej. Cassie oznajmiła, że przygotowała kanapki, gdyby okazało się, że nie zjadł nigdzie obiadu. Steven się

uśmiechnął, uznał, że to bardzo w stylu Cassie Motram. Był wdzięczny za kanapki.

Cassie poprosiła, żeby usiadł w małej oranżerii na tyłach domu, wychodzącej na wiejski ogród jak z obrazka. Sama poszła po kanapki, krzycząc z kuchni, że liczyła, iż porozmawiają w ogrodzie.

- Tak sobie pomyślałam, kiedy rano zobaczyłam słońce... - Postawiła na stole talerz pełen kanapek. - Ale to był optymizm na wyrost. Chciałabym, żeby zima już się skończyła, zawsze mi się za bardzo dłuży. Cóż, na rozmowę w ogrodzie jeszcze za wcześnie, zdecydowanie za zimno. Ale do rzeczy, doktorze Dunbar. Co pan myśli o tej wiadomości z telewizji?

- Z tego powodu tu przyjechałem - zaznaczył Steven. - Kiedy zobaczyłem ten materiał i przypomniałem sobie, jak mówiła pani, że według Johna dawca i zmarły marine to jedna i ta sama osoba, rozdzwoniły mi się dzwonki alarmowe. Za dużo w tym zbiegów okoliczności. Musi mi pani opowiedzieć wszystko, co pani pamięta o tym wyjeździe męża do Londynu i przeszczepie, przy którym pomagał: jak do tego doszło, nazwiska zaangażowanych osób, wszyścusięńko. Każdy drobiazg może się liczyć.

Cassie miała poważną minę.

- Sądzi pan, że to może mieć coś wspólnego z tym, co przydarzyło się Johnowi?

- Owszem.

- Więc nie z wykopaliskiem?

- Moim zdaniem nie.

- W takim razie o co chodzi?

- Właśnie to chcę ustalić. Zacznijmy od samego początku.

Cassie upiła łyk herbaty.

120

121

- Kiedy Balliol College poinformował Johna o listach, z których wynikało, że dobrze zakonserwowane ciała ofiar czarnej śmierci leżą w ukrytej krypcie w Dryburghu, mężowi zaświeciły się oczy. Ale nie miał pieniędzy, żeby przeprowadzić wykopaliska. Dowiedział się, że nie wznowią mu grantu na badania historyczne. Jednak dziekan Balliol zapewnił go, że może liczyć na pieniądze z nowego źródła, z fundacji Hotspur. John musiał się tylko zgodzić, by w każdej chwili być gotowy na wezwanie do konsultacji. Oczywiście się zgodził, bo uznał, że dzięki temu może uratować swoje badania i ma szansę rozstrzygnąć dyskusję na temat przyczyn czarnej śmierci. Podpisał gdzie trzeba, a kilka tygodni później wezwano go do

Londynu, do prywatnego szpitala Świętego Rafała w South Kensington.

Steven zapisał nazwę.

- Kto do niego dzwonił?

- Jakaś kancelaria prawna z Londynu reprezentująca fundację Hotspur.

- Ma pani jeszcze ten list?

Cassie wyszła i po chwili wróciła z listem.

- Najwyraźniej osoba lub osoby kryjące się za fundacją Hotspur są bardzo skryte, więc by chronić swoją prywatność, wykorzystują kancelarię prawną, która wszystko załatwia w ich imieniu. Dziekan Balliol College powiedział Johnowi, że jego zdaniem to pewnie jakiś miliarder pokutujący za dawne grzechy.

Steven się uśmiechnął.

- Ostatnio takich akurat nie brakuje. Zwykle pojawiają się na listach do zaszczytów.

- W szpitalu, w sali konferencyjnej, John zastał też innych ludzi. Sami wielcy specjaliści... Zdaje się, że wspominał o sześciu osobach, ale nie jestem pewna.

- Jakieś nazwiska?

- Przykro mi, nie wymienił żadnego. Ale mężczyzna prowadzący zebranie, który tłumaczył im, po co się tam znaleźli, nazywał się Laurence Samson. Z Harley Street oczywiście.

- I wszyscy zgromadzili się tam, by wziąć udział w terapii pacjenta, którego czeka przeszczep szpiku kostnego?

- Tak. Pacjent ma zaawansowaną białaczkę. W akcie rozpaczy postanowiono spróbować wymienić mu szpik kostny. John musiał zbadać dawcę pod kątem zgodności. Powiedział mi, że wszystko otacza niezwykła aura tajemnicy. O pacjencie można mówić tylko pacjent X, choć chodziły słuchy, że jest wręcz bajecznie bogaty. Dawcę nazywano po prostu dawcą. Konsultantom nie pozwolono rozmawiać ze sobą o tej sprawie, chyba że to okaże się niezbędne zawodowo, ale i wtedy nie wolno było wymieniać żadnych nazwisk. Każdy, kto zlekceważyłby te reguły, musiał się liczyć z dotkliwymi konsekwencjami finansowymi, choć John w ogóle nie zrozumiał, po co te pogróżki. Swoją rolę w badaniu dawcy uważał za bardzo prostą. Według niego takie podstawowe badania robi każdy szpital. Nie pojmował, dlaczego on, a właściwie jego uniwersytet, dostaje tyle pieniędzy za odrobinę rutynowej pracy. Zdaje się, że doszliśmy do wniosku, że pacjent kupuje wszystko co najlepsze, bo po prostu go na to stać.

- Czy słusznie się domyślam, że John nie widział pacjenta, jedynie dawcę?

- Owszem.

- I nie znał nazwiska dawcy?

- Nie. Młody mężczyzna ze szkockim akcentem. I tyle.

- Który bardzo przypominał marine z telewizji - dodał Steven.

- John był pewien, że to ten chłopak, którego badał w Londynie, ale pan Laurence przekonał go, że się pomylił.

122

123

Z dat wynikało, że to niemożliwe. Ale kiedy wczoraj zobaczyłam ten reportaż...

- A więc John opowiedział o swoim podejrzeniu Lauren-ce'owi Samsonowi? - Steven uznał, że to ważny punkt.

Cassie przytaknęła.

- Upierał się, że to jedna i ta sama osoba. Zadzwoił do pana Laurence'a niemal od razu po wiadomości o śmierci żołnierza. Pan Laurence zapewnił go, że się pomylił. - Dołała kawy Stevenowi. - A więc kto kłamie? - zapytała w końcu.

- I dlaczego?

Steven postanowił na razie nie mówić Cassie o swoich podejrzeniach co do fałszywego lekarza z Wydziału Zdrowia Publicznego, który mógł świadomie wstrzyknąć Johnowi truciznę, ale powiedział jej coś o zmarłym marine.

- Jeśli ten żołnierz istotnie był dawcą badanym przez doktora Motrama w Londynie, to nazywa się Michael Kelly i pochodzi z Glasgow. W oficjalnym raporcie napisano, że dostał odłamkiem w południowym Afganistanie, w prowincji Helmand. Uznano, że rana nie jest zbyt poważna, ale wdało się zakażenie i nie reagowało na żadne środki. Chłopak zmarł na sepsę w szpitalu wojskowym w Camp Bastion, gdzie trafił z mniejszego polowego szpitala. Zwłoki sprowadzono do Wielkiej Brytanii na pogrzeb z pełnymi honorami.

Cassie wyglądała na zakłopotaną.

- W takim razie o co konkretnie chodzi tej rodzinie?

- Rodzice Michaela Kelly'ego poskarżyli się posłowi szkockiego parlamentu, że nie mają pełnej informacji na temat śmierci swojego syna. Twierdzą, że niedługo przed śmiercią potajemnie przywieziono go do Wielkiej Brytanii, a nie powiedziano im dlaczego. Skarżą się też na brak informacji o wypadku, w którym rzekomo został ranny ich syn. Szkocki parlamentarzysta postanowił pomóc rodzinie Kellych i prze-

kazał swoje obawy ministerstwu obrony... a nie jest to instytucja lubiana w Szkocji. Jak widać, stara się też zainteresować sprawą rozmaite media.

Cassie bezradnie pokręciła głową.

- A więc to możliwe, że ten młody człowiek był dawcą. Boże, zupełnie nie rozumiem, co się, u licha, dzieje.

- To właśnie postaram się ustalić - zapewnił Steven i wstał. - Jeśli przypomni sobie pani jeszcze cokolwiek, proszę dzwonić.

Jadąc na północny zachód do szpitala Borders General, Steven zastanawiał się nad tym, co powiedziała mu pani Motram, i próbował odnieść to jakoś do tego, co już wiedział lub podejrzewał. Jeśli Johna Motrama rzeczywiście zaatakowano, trudno było zrozumieć motyw, zwłaszcza jeśli maczał w tym palce MI-5. Możliwe zatem, że zabrano się do Motrama, by nie pisał ani słowa na temat czegoś, co się wiąże z tajemniczym przeszczepem. Ale co to takiego? Steven nie miał bladego pojęcia. Motram wygadał się jednak, że jego zdaniem dawca i zmarły marine to jedna i ta sama osoba. Czy tym podejrzeniem wypowiedzianym na głos przypieczętował swój los?

23

- Nie sądziłem, że jeszcze się spotkamy - odezwał się Tony Fielding, kiedy Steven zajrzał do sali.

- Przejeżdżałem w pobliżu, więc pomyślałem, że wpadnę zobaczyć, jak się pan czuje - wyjaśnił Dunbar. - Jak noga?

124

125

- Lekarze mówią, że dobrze się goi. Niesamowite, co dziś można zrobić za pomocą śrub. Pojutrze wychodzę do domu. A teraz niech pan powie, po co pan naprawdę przyjechał, doktorze.

Steven się uśmiechnął.

- Chcę zapytać o ludzi z Inspektoratu Sanitarno-Epidemiologicznego i Wydziału Zdrowia Publicznego, którzy przyszli do was w Dryburghu.

- A konkretnie?

- Nazwiska... jak wyglądali. Fielding wydawał się wstrząśnięty.

- A co, nie byli tymi, za których się podawali?

- Powiedzmy, że mam kłopot, żeby do nich dotrzeć - odparł Steven.

- Jezu - mruknął Fielding, nieświadomie pocierając ramię na wspomnienie o zastrzyku. - Ale dlaczego?

- To właśnie próbuję ustalić.

- Bunce... Norman Bunce, tak się nazywał ten z Inspektoratu Sanitarno-Epidemiologicznego. Biały,

niecałe metr siedemdziesiąt, mocno przerzedzone, brązowe włosy, garnitur, walizka, notatnik. Wiecznie z czegoś niezadowolony i miał taką szczerzą twarz. Wydawał mi się... bardzo wiarygodny.

Steven spisał wszystkie szczegóły.

- Ile razy widzieliście się z tym Bunce'em?

- Dwa razy, najpierw przyszedł do nas sam i zakomunikował, że musimy zdobyć zezwolenie. Potem widzieliśmy go tego ranka, kiedy zaczęliśmy kopać. Pojawił się z dwoma kumplami, żeby sprawdzić nasz sprzęt.

- Jak wyglądali?

- Takie byki. Pamiętam, że bardziej mi przypominali goryli niż inspektorów od bezpieczeństwa. Biali, ponad metr

osiemdziesiąt. Nie mówili za dużo, ale mieli angielski akcent, tak jak Bunce.

- Coś jeszcze?

Fielding wzruszył ramionami.

- W zasadzie nie, nie przyglądałem im się zbyt. Steven kiwnął głową.

- A lekarz z Wydziału Zdrowia Publicznego?

- Doktor Morris - odparł Fielding. - Doktor Simon Morris. Biały, wygadany, z metr osiemdziesiąt pięć, dobrze zbudowany, krótkie ciemne włosy, duże zakola, brodawka na... lewym policzku.

Steven uniósł brwi zaskoczony tą obserwacją.

- Kiedy wypytywał mnie o stan zdrowia, zastanawiałem się, jak goli się dookoła tej brodawki - wyjaśnił Fielding.

Steven się uśmiechnął.

- Jakie to były pytania?

- Rutynowe: czy przechodziłem jakieś poważne choroby, czy mam nadciśnienie, czy palę, piję... no wie pan.

Steven kiwnął głową.

- A potem dał panu zastrzyk...

- Przeciwtężcowy.

- Jakieś powikłania?

- Nie... Dobry Boże, to stąd te kłopoty Johna? Przez ten zastrzyk?

Steven podniósł rękę.

- Jeszcze za wcześnie na takie wnioski, ale byłbym bardzo wdzięczny, gdyby na razie zatrzymał pan to wszystko dla siebie.

Fielding przytaknął.

- Nie ma sprawy - odparł kwaśno. - Mówiąc szczerze, najchętniej wymazałbym z pamięci całe to cholerne zdarze-

nie.

126

127

Steven gestem dał znak, że go rozumie.

- Do wesela się zagoi.

Steven postanowił odwiedzić rodzinę zmarłego marine, ale było już za późno na podróż do Glasgow. W pierwszym odruchu pomyślał, że zatrzyma się gdzieś w pobliskim St Boswells albo Melrose, ale potem przypomniał sobie, że do Dryburgha ma tylko kawałek. Jeśli znów przenocuje w hotelu przy opactwie, może uda mu się wypytać personel o fałszywego lekarza. Do Wielkanocy zostały zaledwie dwa tygodnie, ale opłaciło się zaryzykować i liczyć na wolne miejsca w hotelu. Dostał nawet ten sam pokój co poprzednio.

- Miło pana znowu widzieć, doktorze - powitała go recepcjonistka.

Zapytał, czy pamięta Simona Morrisa. Dziewczyna zamilkła zakłopotana, po czym odezwała się, jakby recytowała wyuczoną formułkę:

- Niestety nie wolno mi rozmawiać na temat innych gości, doktorze.

Steven się uśmiechnął i pokazał jej legitymację.

- Spokojnie. Nie złamie pani żadnych reguł - zapewnił.

Dziewczyna wyraźnie odetchnęła z ulgą, że nie postąpi wbrew regulaminowi firmy.

- Co chce pan wiedzieć?

- Pamięta go pani?

- Lekarz z Wydziału Zdrowia Publicznego. Jedyny gość w tym roku, który płacił gotówką. Zgubił karty kredytowe.

- A to pech - mruknął Steven, myśląc: sprytne posunięcie. Gotówka nie zostawia śladów.

128

- Przyjechał tu, żeby zbadać ludzi pracujących przy wykopach w opactwie. Daliśmy mu mały pokoik na parterze.

Steven kiwnął głową.

- Zostawił jakiś adres, wyjeżdżając? Recepcjonistka zaprzeczyła.

- W księdze wpisał tylko nazwę instytucji.

- I pewnie niczego nie zapomniał zabrać? Kolejne zaprzeczenie.

- Mógłbym zobaczyć ten pokój, w którym przyjmował pacjentów?

Dziewczyna uśmiechnęła się i wyszła zza kontuaru.

- Nie jest to gabinet lekarski - wyjaśniła. - Na ten dzień uprzątnęliśmy dla niego magazyn pościelowy na parterze.

W magazynku znów pojawiła się pościel.

- Mam nadzieję, że posprzątał po sobie. I nie zostawił porzrzuconych strzykawek ani igieł...

- Zachował się bardzo porządnie - powiedziała dziewczyna. - Posprzątał wszystko. I dobrze, bo ja nie znoszę igieł i takich rzeczy.

- Prawdziwy zawodowiec - mruknął Steven, choć nie miał na myśli zawodu lekarza.

Poszedł na górę i zadzwonił pod domowy numer Macmilla-na, od razu przepaszając, że niepokoi go po godzinach pracy.

- Lepsze to niż milczenie - odparł Macmillan. - Nie cierpię trwać w niewiedzy. Jean mówiła mi, że wpadłeś na jakiś trop w sprawie tego wykopaliska w Dryburghu.

Steven opowiedział mu o fałszywym lekarzu, który dał zastrzyki czterem uczestnikom prac w ruinach.

- Jesteś pewien, że to ktoś podstawiony?

- Na sto procent. Wydział Zdrowia Publicznego nie ma o nim pojęcia, sprawdziłem. - Steven dodał też, że mężczyzna zapłacił za hotel gotówką.

9 - W proch się obrócisz

129

- Więc uważasz, że to on jest odpowiedzialny za to, co przydarzyło się Johnowi Motramowi - powiedział

powoli Macmillan, jakby głośno snując rozważania.

- Tak myślę - odparł Steven. - Pozostałym trzem nic się po zastrzyku nie stało. Motramowi po prostu podano coś innego.

- Czyli że polowano właśnie na niego.

- Chyba chcieli go z jakiegoś powodu uciszyć.

- Dziwny sposób na uciszanie.

- Ale sprytny - zauważył Steven. - Gdyby nie to, że laboratorium nie znalazło zarodników w powietrzu...

- Dobrze się spisałeś - pochwalił go Macmillan.

- Sęk w tym, że na coś takiego raczej nie wpadłaby żadna prywatna instytucja. To sposób działania służb wywiadowczych, nie sądzi pan?

Usłyszał, jak Macmillan wolno wypuszcza powietrze.

- Cholera. Jeszcze tego nam brakowało.

- Dowiedział się pan czegoś więcej o tym zmarłym marine? - zapytał Steven.

- Ministerstwo obrony trzyma się oficjalnej wersji. Według nich wszystko inne to czysta fantazja. Bardzo współczują rodzicom chłopaka, ale zdaniem resortu ich sugestie to bzdury i nonsens. Podkreślają też mocno, że parlamentarzysta, który wypowiedział się w sprawie państwa Kellych, należy do Szkockiej Partii Nationalistycznej. Słowem wykorzystuje okazję, by zaszkodzić Partii Pracy w Westminsterze.

- Hm - mruknął Steven. - A jednak jakoś nie wyobrażam sobie, by rodzice Kelly'ego wymyślili sobie tę historię, a pan? Wiemy, dlaczego twierdzą, że ich syn wrócił przed śmiercią do kraju?

- Nikt z moich rozmówców nie miał pojęcia - odparł Macmillan.

- Jutro wybieram się do Kellych - oznajmił Steven. Spróbuję się dowiedzieć.

- A żona Motrama wniosła coś nowego?

- Niewiele. Badania Motrama finansowała fundacja Hotspur. W zamian musiał przebadać dawcę szpiku kostnego dla anonimowego pacjenta z zaawansowaną białaczką- Przeszczep nadzorował niejaki Laurence Samson, lekarz z Harley Street. Operację przeprowadzano w prywatnym szpitalu Świętego Rafała w South Kensington. Jakiś czas po badaniu Motram zadzwonił do Sams ona i powiedział, że jego zdaniem ten dawca to marine, który zginął w Afganistanie. Samson zapewniał go, że to pomyłka.

- A potem ktoś usmażył Motramowi synapsy w mózgu... Coś tu mocno śmierdzi.

Mieszkania na osiedlu Barony na wschodnim krańcu Glasgow były równie ponure i przygnębiające jak cała okolica. Steven spodziewał się najgorszego, kiedy podał adres taksówkarzowi, a ten spojrzął na niego dziwnie i upewnił się, czy rzeczywiście chce tam jechać.

- A dlaczego pan pyta? Taksówkarz zmierzył go wzrokiem.

- Skórzana kurtka za trzysta funciaków, markowe dzinsy, rolex. Nie jesteś stąd, kolego. Oni to od razu zauważą •• Jak tylko wysiądziesz z taryfy, pomyślą, że zjawił się Mikołaj...

- Niech mnie pan wysadzi na obrzeżach dzielnicy - Poprosił Steven. - Przejdę spokojniejszymi ulicami.

130

131

Uznał, że jeden kompromis wystarczy - nie wybrał się tu samochodem. Bardziej podobał mu się taki jak teraz... z kołami.

- Powodzenia - powiedział taryfiarz ze znaczącym uśmiechem, kiedy Steven dał mu porządny napiwek.

Takie miejsca jak to można znaleźć w każdym brytyjskim mieście, pewnie nawet wszędzie na świecie, myślał Steven, omijając grupę małych tarasujących chodnik. Powszechnie opisywano je jako biedne dzielnice, ale nie chodziło tylko o brak pieniędzy - brakowało tu optymizmu, szacunku do samego siebie, entuzjazmu, nadziei. Bywały wyjątki - bo zawsze są jakieś wyjątki, ludzie, którzy starają się ze wszystkich sił mimo przeciwności losu - ale ostatecznie i tak wygrać śmiecie, bo śmiecie wygrywają zawsze. Leniwy, lekkomyślny, zniechęcony do świata margines depcze i niszczy ziarno nadziei, by dżicz mogła trwać wiecznie.

Nie zdziwił się, kiedy odkrył, że winda w bloku Kellych jest zepsuta. Może to i lepiej, biorąc pod uwagę smród moczu na parterze. Ruszył schodami, lawirując między porzucanymi pudełkami po hamburgerach i puszkami po piwie. Zatrzymał się na trzecim podeście, żeby sprawdzić widok za oknem. No tak, Michael Kelly nie mógł się wahać, czy pójść do wojska. Steven odszukał drzwi do mieszkania Kellych i wcisnął dzwonek. Nad guzikiem na kartoniku wypisano długopisem „Kelly”, ale od wilgoci litery zaczęły się rozmywać.

Drzwi otworzyła kobieta, ale natychmiast chciała je zamknąć.

- Nie mamy nic więcej do powiedzenia prasie - wyrecytowała. - Niech pan sobie idzie.

Steven zatrzymał drzwi dłonią, uśmiechając się uprzejmie, by gest nie wypadł napastliwie.

- Nie jestem z prasy, pani Kelly. Nazywam się Steven Dunbar. Próbuje ustalić prawdę o śmierci pani syna.

May Kelly nadal patrzyła podejrzliwie.

- Skąd mam wiedzieć, że pan nie kłamie? Jedną ręką wyjął legitymację i pokazał kobiecie.

- Tu jest napisane, żeś pan lekarz.

- Tak, ale pracuję jako śledczy. I naprawdę staram się wyjaśnić okoliczności śmierci Michaela.

May Kelly skapitulowała.

- Niech pan wejdzie.

Wprowadziła go do małego salonu i pokazała, żeby usiadł.

- Mąż w pracy?

- Śpi.

- Śpi?

- Jest na zwolnieniu.

- Mam nadzieję, że nic poważnego?

- Dwaj kibice Rangersów dali mu wycisk. Steven się skrzywił.

- Czyli jest za Celtic?

Doskonale wiedział, jak bardzo nienawidzą się kibice dwóch największych klubów piłkarskich w Glasgow. Jego żona pochodziła z tego miasta.

May przytaknęła.

- Tak jak wszyscy w tej okolicy. Wychodził z pubu w koszulce Celticów, a ci naskoczyli na niego i spuścili mu manto.

Steven pokręcił głową.

- Przykro mi. Pewnie się pani domyśla, o co chcę zapytać.

- O to samo co inni. Skąd mamy informację, że śmierć Michaela nie wyglądała tak, jak się ją przedstawia.

Steven przytaknął.

132

133

- Mniej więcej. Przede wszystkim, skąd to przekonanie, że syn wrócił do kraju na „tajną misję”, jak to określiły gazety?

- Tego nie mogę powiedzieć. Człowiek, który nam to zdradził, miałby wielkie kłopoty. Ale niech mi pan wierzy, dobrze wiedział, o czym mówi.

Steven już otwierał usta, żeby coś odpowiedzieć, kiedy drzwi do pokoju się otworzyły i stanął w nich Brian Kelly w koszulce Celticów i gaciach. Wypełnił sobą całą framugę.

- Zabroniłem ci przecież gadać z tymi pismakami - skarcił May.

- On nie jest z gazety. Prowadzi śledztwo.

- Ta, akurat śledztwo - odburknął Brian. Na mocno posiniaczonej twarzy gniew wyglądał jeszcze bardziej gwałtownie.

Gospodarz chciał złapać Stevena, ale ten spokojnie wstał z fotela, unikając chwytu, i zablokował napastnikowi rękę. Bardzo powoli i delikatnie opuścił Briana na fotel, na którym przed chwilą sam siedział.

- Nazywam się Steven Dunbar, pracuję w Inspektoracie Naukowo-Medycznym. Chciałbym zadać państwu kilka pytań, panie Kelly.

Brian złowrogo popatrzył na żonę.

- Zrób nam herbaty, dobrze? - powiedział w końcu z nutą rezygnacji.

May wyszła z pokoju, a Steven usiadł naprzeciw Kelly'ego i uważnie przyjrzał się jego twarzy.

- Boże, nieźle pana ktoś urządził.

- Ci dranie od Rangersów. - Kelly dotknął siniaków. - Pewnie tak jak inni chcesz się pan dowiedzieć, kto puścił farbę o kłamstwach tych bubków z ministerstwa obrony? Zapomnij pan, nie piśniemy ani słowem.

134

- Dzięki temu mógłbym dowiedzieć się więcej o śmierci państwa syna.

- Nie ma mowy - uciął Kelly. - Wszyscy wiedzą tyle, ile trzeba, żeby odpowiedzieć na nasze pytania, ale ich bardziej interesuje to, żeby dopaść gościa, który na nich doniósł.

- Cóż, zdaje się, że tylko on wie, jak było naprawdę - odparł Steven. - Równie dobrze mogliście wymyślić to wszystko.

- Ty draniu - warknął Kelly.

- Nieważne. Pańska żona już mnie uprzedziła, że nie powiecie mi nic na temat informatora, więc muszę uszanować tę decyzję.

Kelly popatrzył na Stevena, a Dunbar ku swojemu zaskoczeniu dostrzegł w jego oczach strach.

- Obiecaliśmy - odezwał się Brian. - Obiecaliśmy temu człowiekowi, że nikomu nie powiemy...

- Oczywiście. - Steven wyczuł, że myśli w głowie Kelly'ego buzują. - Ale? - zachęcił.

- Ci dranie od Rangersów też o to pytali - wymamrotał Brian.

Steven znieruchomiał.

- Co? - wykrzyknął. - Mężczyźni, którzy na pana napadli, chcieli się dowiedzieć, od kogo słyszeliście, że ze śmiercią Michaela było coś nie tak?

Kelly milczał i patrzył w podłogę.

- Czy to znaczy, że im pan powiedział?

- Musiałem. Skopali mnie jak worek.

- Więc mleko i tak się rozlało. Kelly wyglądał na zawstydzonego.

- To był kumpel Michaela. Jim Leslie.

- Też z marines? Kelly potwierdził.

135

- Prosił, żebyśmy nikomu nie mówili, że to on do nas przyszedł. Strasznie się wkurzył tym, co się przydarzyło Michaelowi.

- A co konkretnie przydarzyło się Michaelowi? - wypytywał delikatnie Steven.

- Mick został wezwany do kraju, ale nie wiedział czemu. Michael mu wyjaśnił, że to tajemnica. A potem Jim dowiedział się, że Michael wrócił do Afganistanu i leży w szpitalu polowym. Że dostał odłamkiem, a w ranę wdało się zakażenie. Ale nikt nic nie słyszał o tym wypadku. Jim pojechał zobaczyć się z Michaeliem... i go zobaczył, ale za późno.

- Za późno?

- Po śmierci Michaela pozwolili mu się z nim pożegnać. Steven musiał mieć absolutną pewność co do faktów.

- A więc Jim Leslie widział zwłoki państwa syna w Afganistanie?

- No przecież mówię - obruszył się Kelly. - A teraz wpadnie w wielkie kłopoty, bo wszystko wypaplałem.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, raczej nie miał pan wyboru, panie Kelly - stwierdził Steven, ale nie było to specjalnie pocieszające.

May wróciła z trzema kubkami herbaty i trzema ciastkami czekoladowymi na okrągłej metalowej tacy z widokiem Wielkiego Kanału w Wenecji. Obrzuciła podejrzliwym spojrzeniem po kolei obu mężczyzn, jakby próbowała się zorientować, co się stało. Jedli ciastka i pili herbatę w krępującej ciszy. W końcu przerwał ją Steven:

- Cóż, przykro mi, że nie mogą mi państwo pomóc w dochodzeniu, ale oczywiście to rozumiem. - W oczach Briana Kelly'ego widział samą wdzięczność. - I bardzo mi przykro z powodu państwa tragedii.

25

Steven wyszedł z bloku. Zamierzał dojść do jakiejś głównej drogi i złapać autobus albo taksówkę do centrum, cokolwiek trafi się najpierw. Był jak jeleń w betonowym lesie. Musiał zachować ostrożność, bo zewsząd czuł spojrzenia myśliwych. Trzech wyrostków stojących w bramie wyglądało, jakby zastanawiali się, czy nie zaopiekować się jego portfelem i telefonem. Miał ponad metr osiemdziesiąt i wysportowaną sylwetkę, dlatego się jeszcze wahali. Nie zwalniał jednak kroku, bo spodziewał się, że mogą wezwać posiłki. Zauważył, że jeden z nich rozmawia przez komórkę ukrytą pod kapturem.

W końcu dotarł do głównej drogi bez przeszkód. Wkrótce wszedł do zielono-żółtego autobusu. Zajął miejsce na górnym pokładzie i w czasie piętnastominutowej podróży do miasta rozmyślał nad tym, co powiedział mu Brian Kelly. Niepokojące było to, że Kelly został pobity nie z powodu klubowej rywalizacji czy sekciarskiej bigoterii. Napastnicy chcieli dowiedzieć się, od kogo dostał cynk o śmierci syna. A to oznaczało, że Jamesowi Lesliemu groziło poważne niebezpieczeństwo. Steven postanowił zawiadomić Inspektorat, gdy tylko znajdzie się w jakimś mniej publicznym miejscu. Były też plusy tej wizyty - miał już pewność, że Michael Kelly zmarł w Afganistanie. Jim Leslie widział tam jego zwłoki, co wykluczało opcję, że śmierć Kelly'ego nastąpiła w kraju. Nawet jeśli John Motram się nie mylił i to Kelly był dawcą - a wiele na to wskazywało - od razu po zabiegu musiał wrócić do Afganistanu.

Ale co dalej? Po prostu pech? Został zabity, kiedy tylko wysiadł z samolotu? Nie zdążył wrócić do jednostki. Poza tym, jak twierdzi Leslie, nikt nie wiedział o żadnym wypadku, w którym Kelly rzekomo odniósł rany. A Leslie widział

136

137

w Camp Bastion zwłoki Kelly'ego... zwłoki Kelly'ego... zwłoki Kelly'ego.

Mgiełka wątpliwości powróciła. Może jednak nie należy wykreślać hipotezy, że Michael Kelly zmarł w Wielkiej Brytanii. Może do Afganistanu wróciły jego zwłoki.

Coraz bardziej interesował go ten przeszczep szpiku w Londynie. Jak to się stało, że dawcą został marine służący w Afganistanie? Kim jest pacjent? Musi mieć nie tylko pieniądze, żeby utrzymać wszystko w tajemnicy. Steven zaczął podejrzewać to samo co Motram. Jeśli pacjent to członek którejś z rządzących rodzin znad Zatoki Perskiej, stawka poszłaby mocno w górę. Przecież Wielka Brytania i Stany Zjednoczone do oporu korzystały z ich wsparcia. Mogła to być nawet jakaś silna postać z któregoś z niezbyt przyjaznych rządów, zmuszona szukać pomocy medycznej w Londynie w sekrecie przed opozycją z własnego kraju. I kiedyś na pewno przyjdzie jej spłacić ten dług wdzięczności wobec Brytyjczyków. Ale zaawansowanej białaczki w fazie, w której trzeba robić przeszczep szpiku, nie da się ot tak po prostu ukryć...

Steven wysiadł z autobusu i znalazł ustronne miejsce, by zadzwonić do Inspektoratu. Poprosił, by natychmiast sprawdzono w ministerstwie obrony, gdzie i w jakim stanie jest James Leslie z 45. Jednostki Komandosów Bojowej Grupy Północnej służącej w prowincji Helmand. Liczył na to, że samo zainteresowanie ze strony Inspektoratu sprawi, że ktoś dwa razy się zastanowi, zanim podniesie rękę na Lesliego.

Steven zjadł kanapkę i popił piwem w śródmiejskim pubie. Wracając na parking, zadzwonił do Tally. Włączyła się poczta głosowa. Nic nowego. Lekarze z publicznych szpitali rzadko mieli czas odbierać telefony. Nagrał się, że skończył pracę w Szkocji i może wpaść do niej w drodze powrotnej.

138

Poprosił, żeby zostawiła mu wiadomość, jeśli jej to nie odpowiada.

Jakieś trzy godziny później zatrzymał się na stacji benzynowej, by zatankować i odpocząć. Wyszło słońce, więc przeszedł się wokół parkingu. Z miejsca, gdzie płot wokół stacji graniczył z polem, zadzwonił do Johna Macmillana. Opowiedział mu o pobiciu Briana Kelly'ego.

- To wyjaśnia twój wcześniejszy telefon - mruknął Macmillan. - Oficer dyżurny poinformował mnie, że chciałeś się dowiedzieć w ministerstwie obrony, gdzie jest marine James Leslie. Właśnie dostaliśmy wiadomość...

- Szybko poszło. - Ale krótka pauza na końcu zdania Macmillana sprawiła, że Steven dostał gęziej skórki. - I?

- Marine Leslie zginął wczoraj w wypadku samochodowym. Wrócił do kraju na urlop okolicznościowy. Jego dziewczyna niedawno poroniła. Jechał, żeby wsiąść na pokład HMS „Condor” w Arbroath, gdzie mieści się baza 45. Jednostki Komandosów.

- Ale przecież oni są w Afganistanie - przerwał mu Steven.

- Ich zmiana kończy się w kwietniu - odparł Macmillan. - Ktoś chyba stwierdził, że nie ma sensu wysyłać chłopaka z powrotem do Helmand, skoro cała jednostka wraca w przyszłym miesiącu.

- Więc wysłali go do Arbroath.

- Wczoraj około trzeciej po południu wypadł z drogi między Dundee i Arbroath. Policja szuka świadków.

Stevenem aż zatrzęsło z gniewu.

- Muszę chyba prosić o czerwony alarm w tej sprawie.

- Zgoda - odparł Macmillan bez dyskusji.

Czerwony alarm zmieniał status sprawy prowadzonej przez Stevena. Nie było to już wstępne dochodzenie, ale pełnoprawne śledztwo Inspektoratu Naukowo-Medycznego.

Dunbar mógł też liczyć na całkowite wsparcie ministerstwa spraw wewnętrznych. Miał prawo żądać współpracy policji, jeśli zajdzie taka konieczność. Zyskiwał również dostęp do wielu innych narzędzi - od szybkiej wypłaty gotówki po naukowe analizy ekspertów. Dostawał dyżurnego oficera w Inspektoracie do wyłącznej dyspozycji - właściwie nawet trzech, bo dyżurny musiał być na wezwanie przez całą dobę. Mógł nosić broń. W przeciwieństwie do zhierarchizowanych instytucji w Inspektoracie śledczym wolno było prowadzić dochodzenie tak, jak chcieli. Wszelkie sporne kwestie rozpatrywano dopiero po zakończeniu śledztwa.

- Co dalej? - zapytał Macmillan.

- Trop pierwszy. Zamierzam zapytać Laurence'a Samsona i ludzi ze szpitala Świętego Rafała, co się, do cholery, dzieje.

- A jeśli to nic nie da?

- Pojadę do Afganistanu. Kluczem do wszystkiego jest Michael Kelly. Muszę wiedzieć, gdzie i kiedy zmarł.

- I dlaczego?

- Do tego też dojdę.

- Jak tam urocza Szkocja? - zapytała Tally z uśmiechem, kiedy zapukał do niej tuż przed ósmą.

- Nie taka znowu urocza - odparł. - Zgłosiłem czerwony alarm.

Tally przestała nalewać drinki i odwróciła do Stevena głowę.

- Zdaje się, że wcześniej mówiłeś o nudnych przesłuchaniach?

- Mam jednego naukowca z ugotowanym mózgiem, a teraz dwóch martwych marines - mruknął niepewnie, wiedząc, że sobie nieźle grabi.

- A co czeka ciebie, Steven? Ugotowanie mózgu czy tylko zwykła śmierć?

- Postuchaj, wiem, jak się czułaś, kiedy poprzednio...

- Naprawdę? Naprawdę wiesz?

- Tally, zrozum, nie szukam guza... po prostu tak czasem wychodzi.

- Może tak właśnie powiedzą na nabożeństwie żałobnym, po tym jak wyciągną twoje zwłoki ze spalonego albo podziurawionego kulami samochodu. Ja będę stała dzielnie cała w czerni i słuchała, jak wdzięczny naród dziękuje ci za służbę... Cholera jasna, nie ma mowy!

Nastała pełna napięcia cisza. Tally walczyła ze łzami.

- Czemu policja nie może się tym zająć? - zapytała.

- Nie wiedzieliby, od czego zacząć. Poza tym sprawa dotyczy wojska... - wyjaśnił nieprzekonująco Steven.

- A żandarmeria wojskowa?

- W tym śledztwie są wątki medyczne, które...

- Które rozumie tylko Steven Dunbar - przerwała mu Tally.

- Niech ci będzie - powiedział cicho.

Tally wbiła w niego wzrok i wpatrywała się przez całą wieczność.

- Kocham cię, Tally - zaczął.

- Ja ciebie też kocham. Ale nie wyobrażam sobie takiego życia. Wyjdź już, proszę.

Steven wrócił do Londynu.

26

Po powrocie do domu szukał pocieszenia w dżinie z tonikiem. Było późno, padał ze zmęczenia, czuł się przybity. Bez

140

141

namysłu odrzucał wszelkie sugestie własnego sumienia, że tylko użala się nad sobą. Dolewał sobie dżinu i wracał na fotel przy oknie, by patrzeć na gwiazdy na bezchmurnym niebie - oczywiście te, które widać przez smog. I znów to samo. Wyglądało na to, że kolejny romans za chwilę roztrzaska się

o skałę jego pracy.

Może Tally przemyśli sprawę, a może i nie - ale to koniec. Pewnie powinien zajrzeć w głąb duszy, poanalizować, zastanowić się nad sobą - przecież pechowcom zawsze się to radzi... Nie, dżin jest lepszy. Ból ustępował, świat zaczynał się pokrywać lekką mgiełką, tak przyjemną, że nawet cierpko się uśmiechnął, kiedy stwierdził, że teraz przynajmniej nie musi mówić Tally, że jedzie do Afganistanu.

Następnego ranka spał do późna, potem spędził dłuższą chwilę pod prysznicem i wypił trzy filiżanki mocnej kawy, zanim w ogóle zaczął się zastanawiać, co począć z tak pięknie rozpoczętym dniem. W końcu zadzwonił do Jean Roberts

i poprosił, by umówiła go na spotkanie w szpitalu Świętego Rafała z doktorem Samsonem.

- Jak bardzo mam nalegać? - zapytała Jean.

- Na początku bądź miła, ale jak to nie pomoże, powiedz, że zobaczymy się na policji.

- Przypomnij mi, żebym nigdy nie zabierała ci zabawek -mruknęła Jean.

- Przepraszam, Jean. Miałem kiepską noc.

Steven został umówiony na spotkanie z sekretarzem szpitala na drugą po południu. Zjawił się pięć minut przed czasem. Poproszono go, by zaczekał w pokoju z widokiem. Nie było sensu przeglądać licznych luksusowych magazynów, skoro miał okazję podziwiać przez panoramiczne okno przyszpitalny ogród i chłonąć zapach wiosennych kwiatów z czterech

flakonów rozstawionych w pokoju. Z ukrytych głośników sączyła się ledwie słyszalna symfonia Pastoralna Beethovena. Idealnie ustawiony poziom głośności. Pewnie jak wszystko w tym szpitalu.

- Pan Sneddon prosi, panie doktorze - odezwała się uśmiechnięta dziewczyna w nieskazitelnie białej sukience.

Zaprowadziła Stevena do gabinetu, gdzie mężczyzna w garniturze prosto z Savile Row powitał go tak, jakby czekał na jego wizytę od tygodni. Machnął ręką na legitymację, którą wyjął Steven.

- Panie doktorze, jestem pewien, że ma pan święte prawo tu być. W czym możemy panu pomóc?

- Potrzebuję informacji. Chcę się dowiedzieć wszystkiego o przeszczepie sprzed kilku tygodni, przy którym konsultacji udzielał doktor John Motram.

- Czy mógłby pan podać dokładniejszą datę? - Sneddon otworzył kalendarz.

- Ósmy marca - powiedział Steven krótko, nie do końca przekonany o ewidentnym braku pamięci Sneddona.

- A zatem sprawdzimy. - Mężczyzna poprawił na nosie okulary bez oprawek. - No tak, oczywiście, teraz sobie przypominam. Doktor Motram badał u nas potencjalnego dawcę do przeszczepu szpiku. Pacjent cierpiał na zaawansowaną białaczkę...

- Tak, to wszystko wiem - przerwał mu Steven.

- A więc? - Sneddon zrobił zdziwioną minę.

- Chcę znać dane dawcy, pacjenta i wynik operacji. Sneddon doskonale odegrał rolę człowieka do głębi wstrząśniętego.

- Przepraszam - zaczął, udając, że się jąka. - Ale nie możemy ujawniać takich informacji. To absolutnie nie wchodzi w rachubę.

142

143

Steven z kolei doskonale odegrał rolę człowieka, który nie jest nic a nic zaskoczony.

- Panie Sneddon, mogę wezwać wsparcie z ministerstwa spraw wewnętrznych. Te informacje są mi niezbędne.

- Doktorze, ten szpital... ta instytucja... ta firma opiera się na fundamencie, jakim jest całkowita dyskrecja. To ważniejsze niż nasi lekarze, pielęgniarki, sale operacyjne i poza-biegowe. Bez tego po prostu nie przetrwamy.

- Mam prawo żądać odpowiedzi na moje pytania - upierał się Steven.

Dobroduszość zniknęła gdzieś z oczu Snedдона, a jej miejsce zajął lodowaty chłód.

- Nie sądzę - odparł. - O ile nie prowadzi pan śledztwa w sprawie morderstwa, chyba nie muszę niczego panu mówić.

Steven w duchu przyznał Sneddonowi rację i przez chwilę zastanawiał się, co robić dalej. Nie spodziewał się, że facet cokolwiek mu ujawni. Przyszedł tu tylko, żeby go nastraszyć.

- Doktor Motram leży ciężko chory - powiedział.

- Tak, słyszałem. - Sneddon bez trudu nasycił głos troską i niepokojem. - Z tego co mi wiadomo, przeżył załamanie nerwowe. Współczuję.

- Nie, to nie było załamanie nerwowe. Został otruty, co w pewien sposób wiąże się z jego pracą przy waszej operacji.

Teraz Sneddon zaprezentował „zdumienie odbierające głos”.

- Chyba nie mówi pan poważnie - uniósł się.

- Owszem, mówię poważnie - odparł Steven.

- Ale przecież prowadził wykopaliska w grobowcu sprzed stuleci - zaprotestował Sneddon. - Sugerowano nawet, że to czarna śmierć. Skąd tu niby związek z tym, co wykonywał w naszym szpitalu?

Steven puścił to pytanie mimo uszu.

- Dawca, którego badał tu doktor Motram, był żołnierzem z oddziału królewskich marines. I już nie żyje.

- Och, to po prostu idiotyczna pomyłka - wykrzyknął Sneddon, jakby poczuł ulgę, że uda mu się wyjaśnić stare nieporozumienie. - Pan Laurence wyjaśnił to doktorowi Motra-mowi.

- Ale doktor mu nie uwierzył - odparł Steven i wstał. - Ja też nie.

Sneddon stracił rezon i wyglądał na bardzo zakłopotanego.

- Cóż, w takim razie powinien pan osobiście porozmawiać z Laurence'em - oznajmił i zaczął układać papiery na biurku niczym prezenter na koniec wiadomości telewizyjnych.

- Właśnie się do niego wybieram - odparł Steven uprzejmie.

Wyszedł bardzo zadowolony z efektu straszenia. Założyłby się o każde pieniądze, że sekretarz szpitala właśnie dzwoni do Samsona.

Spotkanie z Laurence'em miał umówione dopiero o czwartej po południu, więc kupił sobie kanapkę i napój, a potem wolno przespacerował się po parku, gdzie podzielił się jedzeniem z kaczkami. Kontakt z prostymi stworzeniami, które miały jeden cel: przeżyć, działał bardzo kojąco. Kaczki nie rozwinęły systemu zagmatwanych pojęć, takich jak dyskrecja czy honor, nie wiedziały co to hipokryzja i kłamstwo albo oszustwo i dwulicowość. Zdał sobie sprawę, że jak na ironię, mimo tych wielu warstw składających się na socjopsychologię człowieka, wszystko to było podszyte popędami równie pro stymi jak u tych kaczek. Warto przy tym pamiętać, że kiedy

144

10 - W proch się obrócisz

145

zaczynasz straszyć innych... Jeśli wejdiesz mi w drogę, to cię z niej zepchnę...

Czekając przed gabinetem Laurence'a Samsona przy Harley Street, Steven nie mógł nie zauważyć, że znajduje się w przybytku medycyny, ale jego buntownicza natura musiała mu przypomnieć, że kiedyś przy tej słynnej ulicy przyjmowali pacjentów ludzie, którzy nie mieli zbyt wielkiego pojęcia o leczeniu. Ale tak jak u znachorów z samego serca Afryki, tak i tu przetrwała aura mistyki.

- Doktorze Dunbar, przepraszam za tych kilka minut spóźnienia.

Steven uśmiechnął się do Samsona.

- Nic nie szkodzi. Pan Sneddon zapewne uprzedził pana o celu mojej wizyty.

W oczach Samsona błysnęła irytacja, ale tylko przez sekundę.

- Nie, a powinien?

Steven wyjaśnił, czego się chce dowiedzieć, i uzyskał tę samą odpowiedź co od Snedдона. Postanowił rzucić na stół ostatni atut.

- Doktor John Motram może umrzeć, a pewien marine już zginął przedwczesną śmiercią. Właściwie zmarło dwóch młodych żołnierzy, choć tego drugiego na razie zostawmy. -Steven wypatrywał zaskoczenia w oczach Samsona i je znalazł. Mówił więc dalej: - Powoływanie się na dyskrecję też ma swoje granice i może szybko przerodzić się w utrudnianie bardzo poważnego śledztwa kryminalnego. - Sądząc po minie Samsona, naprawdę udało się go nastraszyć. - Dziękuję, że poświęcił mi pan czas, panie Laurence.

146

Ostro działasz - powiedział Macmillan, kiedy Steven się z nim skontaktował.

- Skąd pan wie?

- Telefony grzeją mi się do czerwoności od rozmów z ludźmi, którzy chcieliby, żebyś przestał robić to, co robisz.

- Dzwonił ktoś interesujący?

- Wysoko postawieni goście. Ale...

- Ale co?

- Sam nie wiem... Powinienem już przywyknąć do takich rzeczy, ale tym razem wygląda to jakoś inaczej. Nie mogę niczego wymacać. Zwykle jestem w stanie wytropić główne źródło nacisków, a teraz nie.

- Może wkurzyłem wszystkich po równo - zażartował Steven.

Macmillan pozwolił sobie parsknąć śmiechem.

- Mówię poważnie, uważaj na siebie - dodał po chwili.

- Oczywiście.

- A przy okazji, jak się miewa doktor Simmons?

- Pewnie dobrze.

- Och...

- Porozmawiamy innym razem.

- Jasne... Nadal wybierasz się w bardziej słoneczne okolice?

- Rozmawiałem już z kumplami z Hereford. Muszą coś zrobić w dolinie Sangin na północy prowincji Helmand. Tam właśnie prowadzi działania 45. Jednostka Komandosów. Za biorę się z nimi. Dadzą mi wyposażenie i jakiś pojazd. A potem oni pójdą swoją drogą, a ja swoją. Chcę zacząć od szpi-tala polowego, gdzie podobno leczono Michaela Kelly'ego zanim trafił do Camp Bastion.

- Wiesz przecież, że załatwilibyśmy to wszystko oficjalnymi kanałami - przypomniał Macmillan.

- Wolę po swojemu - odparł Steven. - Oficjalne kanały mogą przeciekać, a z tego co pan mówi, paru wysoko postawionych facetów nie jest zbyt szczęśliwych, więc wolę im nie wychodzić pod łufę. Regiment

z Hereford na szczęście nigdzie nie publikuje swoich planów podróży.

- A jak już sprawdzisz szpital polowy?

- Zobaczymy. Legitymacja Inspektoratu powinna pomóc uzyskać większość odpowiedzi, chyba że mamy do czynienia z jakąś ściemą na naprawdę ogromną skalę. Jeśli tak będzie, dam znać.

- Nie zapomnij telefonu satelitarnego.

- Już spakowałem.

- Trzymaj się, Steven.

Powrót do bazy SAS w Hereford był dla Stevena jak wieczór wspomnień. Nie pierwszy raz korzystał z uprzejmości starych kumpli jako przedstawiciel Inspektoratu, ale ostatnio robił to ponad trzy lata temu. Jako ekszołnierzysta regimentu nie mógł oczywiście brać udziału w odprawach drużyny i dobrze wiedział, że nie powinien ich wypytywać o misję. Sam też nie opowiadał o swoim zadaniu, ale byłych i obecnych żołnierzy jednostki wciąż łączyła cenna więź. Jak to określił jeden z dawnych kumpli: nie sposób poczuć, co to życie, póki człowiek nie otrze się o śmierć. Podstawę tej szczególnej więzi stanowiły takie właśnie wspólne doświadczenia. Stevenowi zrobiło się miło, kiedy dowiedział się od młodego żołnierza ściągniętego z 2. jednostki spadochronowej - sam podążał podobną drogą - że w Hereford jest sławny i nadal o nim dobrze tam myślą.

148

Lot do Afganistanu przebiegł według dobrze znanego mu schematu. Przez pierwszą godzinę wszystkim na pokładzie buzowała adrenalina. Żartom i śmiechom nie było końca. Ale po jakimś czasie rozmowy cichły i na krótko atmosfera w samolocie całkowicie przeczyła twierdzeniu Johna Donne'a -każdy człowiek na pokładzie stawał się wyspą.

Steven też zatopił się w myślach. Zerknął na zegarek -Jenny pewnie już w szkole, pewnie maluje jakieś zwierzątko. Lubiła mu dawać swoje obrazki w prezencie, kiedy ją odwiedzał. Kto wie, może właśnie kłóci się z innym dzieckiem o kolory. Czerwone słonie i zielone tygrysy w świetle Jenny były na porządku dziennym. „To, że ich nie widziałeś, wcale nie znaczy, że ich nie ma”, twierdziła. Uparta mała kobietka.

Tally jest na dyżurze w szpitalu, stara się ze wszystkich sił wyleczyć chore dzieci. Ma poranny obchód, czyta karty choroby, odbiera wyniki badań, rozmawia o kolejnych pacjentach z kolegami i pielęgniarkami. Zastanawiał się, czy wciąż się na niego złości, czy po kilku dniach zmięknie i rozważy sprawę ponownie. Czy da mu drugą szansę? Myśl o pogodzeniu się z Tally była w tej chwili jak wizja rajy. Raju utraconego? Boże, proszę, nie.

Kiedy zamknął oczy, przypomniał sobie wspólne wakacje w szkockich górach, w domku. Tylko oni, całkowicie pochłonięci sobą, nie chcieli być gdziekolwiek indziej. Czas stał w miejscu i... Steven nagle uświadomił sobie, że Tally nie wie, dokąd wyjechał. Gdyby wiedziała... jak to mawiają dziennikarze i nikt poza nimi?... zapłonęłaby z wściekłości. O właśnie. Znów zamknął oczy i postarał się zasnąć.

Pożegnał się z towarzyszami podróży. Patrzył na ich land-rovery sunące przez pustynię i poczuł chwilowe ukłucie żalu,

149

że nie jedzie z nimi. Nie żeby brakowało mu tego okropnego ściskania w dołku, kiedy rusza się w groźne nieznanne, ale brakowało mu towarzyszy. Jechali rozprawić się z talibami. Kiedy ich pojazdy zniknęły za horyzontem, zaczął się zbierać w stronę 179. szpitala polowego, gdzie podobno trafił Michael Kelly z zakażeniem w ranie.

Steven spojrzął na mapę i wprowadził punkt wyjściowy do GPS-a. Od szpitala dzieliło go tylko czterdzieści kilometrów, ale teren był nierówny. Po raz drugi sprawdził poziom paliwa i oleju. Dodał sobie otuchy, poklepując spore zapasy wody pitnej zgromadzone w land-roverze. Miał nadzieję, że automatyczny karabin i amunicja do niego okażą się niepotrzebne.

Przed drogą zatrzymał się jeszcze na chwilę, by zerknąć na okolicę. W Afganistanie nie był po raz pierwszy. Wcześniej trafił tu z jednostką służb specjalnych na misję zwiadowczą kilka lat po tym, jak Rosjanie skapitulowali w potyczkach z mudżahedinami i wycofali się z kraju, który powszechnie uważano za ich Wietnam. Piasek o konsystencji talku i spiczaste góry budziły wspomnienia, nie zawsze dobre.

Steven, choć cywil, doskonale wiedział, jak funkcjonuje wojsko. Bez kłopotu przekonał wartę w 179. szpitalu polowym, że ma prawo tu przebywać. Kiedy zażądał spotkania z dowódcą, majorem Tomem Lewisem, zaprowadzono go bez szemrania.

Lewis, krępy facet po czterdziestce, a może już przed pięćdziesiątką, o cerze, której wyraźnie nie służyło tutejsze słońce, przez dłuższą chwilę oglądał legitymację Stevena.

- Cóż, niewiele mi to mówi, doktorze - wyznał z uśmiechem. - Gdzie konkretnie ma pan bazę?

- Przy ministerstwie spraw wewnętrznych.

- Trochę daleko od domu, co? - Lewis zrobił zdziwioną minę.

- Właściwie to samo można powiedzieć o panu - odparł Steven.

- Słuszna uwaga - przyznał major z uśmiechem. - W prawdziwym świecie jestem ortopedą ze szpitala Cardiff General.

- Niezbadane są ścieżki losu.

- W czym mogę panu pomóc?

- Czy mówi panu coś nazwisko Kelly?

- Oczywiście. Czytamy tu gazety.

- Z tego co wiem, przywieziono go do pańskiego szpitala. Lewis przytaknął.

- Marine Michael Kelly trafił tu w polowej karetce. Z zakażoną raną. Kiedy do nas dotarł, infekcja była już dość zaawansowana.

- Zaawansowana? - powtórzył Steven. - A gdzie Kelly był wcześniej?

- Nikt tego nie wyjaśniał - oznajmił Lewis. - Poinformowano mnie, że marine Kelly dostał lekko odłamkiem, ale zlekceważył obrażenia, bo uważał je za niegroźne. Na nieszczęście wdało się zakażenie i musiał zwrócić się o pomoc lekarską. Właśnie wtedy przywieziono go tutaj, ale musiało go mocno boleć już od jakiegoś czasu.

- Czy to nie wydało się panu dziwne? Lewis wzruszył ramionami.

- Zdaje się, że bardziej niepokoił mnie jego stan.

- Nie zapytał go pan o to?

- Podaliśmy mu silną dawkę środków nasennych.

- Co potem?

150

151

- Po krótkim badaniu uznałem, że jeśli ma kiedykolwiek wyzdrowieć, musi trafić do lepiej wyposażonego szpitala niż to nasze obozowisko. Poleciłem więc zawieźć go do Camp Bastion.

- Rozumiem. - Steven się zamyślił. - Czy badał pan Kel-ly'ego osobiście?

- Tak. - Lewis pokiwał głową.

- Ta rana po odłamku... gdzie konkretnie dostał? Lewis wziął głęboki wdech.

- Tak naprawdę trudno było stwierdzić. Zakażenie mocno zmieniło mu ciało, ale wyglądało na to, że epicentrum stanu zapalnego jest gdzieś od górnej części ud przez całe podbrzusze.

Steven podziękował za pomoc i zapytał, jak długo zajmie mu droga do Camp Bastion.

- Dojedzie pan przez zmrokiem.

Rozmiary Camp Bastion zadziwiły Stevena. Zdawało się, że obóz ciągnie się kilometrami. Stanowił wielki sztuczny dom dla bardzo dużej wojskowej społeczności. Część medyczna mieściła się tu w zwykłych budynkach, a nie w namiotach. Po szpitalu oprowadził go dowódca, podpułkownik James McCready, Szkot, wyraźnie dumny z osiągnięć swoich i kolegów na tej pustyni.

- Możemy tu wykonywać większość operacji poza chirurgią plastyczną - powiedział. - A pan w czym się specjalizuje, doktorze?

- Medycyna polowa - odparł Steven. McCready aż uniół brwi ze zdziwienia.
 - A więc był pan w wojsku? Steven przytaknął.
 - Przez dobrych kilka lat.
 - Więc pewnie dobrze pan to wszystko zna?
 - Właściwie nie - odparł Steven trochę skrępowany. Rozmowa rozwijała się w niepożądanym kierunku. - Nie służyłem w żadnej jednostce medycznej...
 - W takim razie gdzie, jeśli wolno zapytać?
 - Druga spadochronowa i SAS.
 - Aha, więc pewnie widywał pan dziwnie ucięte kciuki. -Ku uldze Stevena McCready nie drążył tematu. - Co konkretnie chce pan wiedzieć o żołnierzu Kellym?
 - Podobno przyjęliście go tutaj?
 - Tak - potwierdził podpułkownik. - W ranę po odłamku wdało się zakażenie. Odesłał go do nas 179. szpital polowy. Przyjęliśmy chłopaka i robiliśmy co się dało, żeby go ustabilizować. Dostawał antybiotyki, ale mimo naszych wysiłków zmarł dwa dni później.
 - Dlaczego?
- Bezpośredniość tego pytania sprawiła, że McCready z przesadą wyraził zaskoczenie.
- Bo tak bywa, doktorze. Zakażenie nie reagowało na terapię. Okazało się odporne na wszelkie antybiotyki, jakich próbowaliśmy
 - Rozpoznał pan, co to za infekcja?
 - Mamy tu doskonałe laboratorium - odparł McCready z dumą. - To było zakażenie bakterią Staphylococcus aureus. Marine Kelly zmarł przez gronkowca złocistego.
 - Pułkowniku, to może się wydawać nieistotne, ale czy widział pan tę ranę, w którą wdało się zakażenie?
 - Właściwie nie - odparł McCready. - Powiedziano mi, że jest bardzo powierzchowna, a Kelly z niewiadomych powodów nie zadbał, by od razu pójść z tym do lekarza. I niestety, zapłacił za to najwyższą cenę.

Steven kiwnął głową. Nadal wydawał się spokojny i zamyślony, ale pod czaszką aż mu kipiało. Michael Kelly i.slnInii

152

153

zmarł w Afganistanie, ale nie od żadnej rany po odłamku, tylko z powodu MRSA - zakażenia gronkowcem złocistym -po tym jak został dawcą szpiku w Londynie. Szpik kostny pobrano mu zapewne szeroką igłą z kości biodrowej. „Rana po odłamku” to ślad po punkcji, gdzie wdało się zakażenie. Zamiast leczyć chłopaka w Londynie, przewieziono go aż do Afganistanu i tu zmarł. A do tego wszystkiego dorobiono kłamstwo o ranie odniesionej w akcji.

28

Wszystko w porządku, doktorze? - zapytał McCready, bo Steven zamilkł na długą chwilę.

Dunbar skinął głową i uśmiechnął z rezygnacją.

- Ależ dziwnie się te losy plotą.

Pułkownik speszony uśmiechnął się półgębkiem.

- A ta ekipa karetki, która przywiozła Kelly'ego? - pytał dalej Steven. - Co może mi pan o nich powiedzieć?

McCready zmarszczył czoło i pokręcił głową.

- Bardziej interesują nas ofiary niż żołnierze, którzy je przywożą.

- Ale to byli żołnierze?

Tym razem Szkot wyglądał na poirytowanego.

- Nie widziałem ich osobiście, ale zakładam, że tak. Gdyby to byli księgowi, podejrzewam, że ktoś by mnie o tym poinformował.

Przepraszam - mruknął Steven. - Więc nikt nie zauważył nic pi podejrzanego w związku z nimi?

Nie

154

- Macie państwo laboratoryjne kultury bakterii, od których zmarł marine Kelly?

- Oczywiście - zapewnił McCready. - Mówiłem przecież, że dysponujemy tu doskonałym wyposażeniem. A czemu pan pyta?

- Chciałbym zabrać próbkę do Wielkiej Brytanii. McCready zrobił się podejrzliwy.

- A coś się stało? - zapytał, nagle z wyraźniejszym szkockim akcentem. - To jakaś kontrola naszego postępowania w przypadku Kelly'ego?

- Nie, skądże. Czy to taki problem, żeby dostał kulturę bakterii, które zabiły Michaela Kelly'ego?

- Chyba nie. - Wzruszenie ramionami. - Poproszę w laboratorium, żeby wyhodowali je dla pana. Będą gotowe na rano. Coś jeszcze?

- Byłbym wdzięczny, gdybym mógł gdzieś przenocować -dodał Steven. - Nie miałem czasu, żeby coś sobie załatwić.

Pułkownik zmierzył Stevena wzrokiem, jakby patrzył na żywą zagadkę.

- Nie ma sprawy. A niech mi pan powie... gdzie właściwie mieści się ten Inspektorat Naukowo-Medyczny w strukturach armii?

- Nie mieści się - odparł stanowczo Steven. McCready zachował kamienną twarz, aż w końcu na usta wypełził mu uśmiezek.

- Coś mi mówi, że jeśli zacznę zadawać kolejne pytania, to mogą mi się nie spodobać odpowiedzi i czeka mnie masa papierkowej roboty.

- Moim zdaniem lepiej iść na zimne piwo - zaproponował Steven.

Po chwili wahania podpułkownik nieśmiało kiwnął głową, co zapoczątkowało bardzo miły wieczór w oficerskiej mesie

155

i dobrze przespaną noc. Następnego dnia rano Stevenowi udało się złapać okazję do Wielkiej Brytanii - samolot RAF-u akurat wracał do Brize Norton. W plecaku Steven wiózł w bezpiecznym opakowaniu małą szklaną fiolkę z kulturą zabójczych mikroorganizmów.

- Jak tam cmentarzysko imperiów? - zapytał John Mac-millan, kiedy Steven pojawił się u niego w gabinecie.

- Niegościnnie jak zwykle. Ale warto było pojechać. Są postępy.

Macmillan popatrzył na słońce sączące się do pokoju.

- Jestem ci winien co najmniej lunch. Przejdźmy się do mojego klubu, najlepiej przez park.

Po drodze Steven opowiedział Macmillanowi, co odkrył.

- A więc wojsko nie brało udziału w żadnych machlojkach?

- Nie. Robili, co mogli, kiedy Kelly pojawił się u nich, ale nikomu nie przyszło do głowy pytać, jak tam się znalazł.

- Ale przecież wojsko musiało brać jakiś udział w wyborze Kelly'ego na dawcę do tego cholernego przeszczepu - rozważał na głos Macmillan.

- A jeśli nie oni oficjalnie... to ktoś, kto miał dostęp do wojskowej dokumentacji medycznej - przytaknął Steven.

- Ciekawe, czemu nie sięgnęli do cywilnych akt? Steven zastanawiał się przez chwilę.
- Może były nie dość szczegółowe... a pacjent miał na przykład bardzo rzadką grupę krwi i pasował tylko Michael Kelly?
- Niewykluczone. Czy żona Motrama wspominała coś na ten temat?
- Nie - przyznał Steven. - A nawet powiedziała, że zdaniem jej męża całe te konsultacje to czysta rutyna. Pieniądze

156

za nic, jak stwierdził. Nie rozumiał, po co chcieli tak drobiazgowy raport.

Macmillan skinął głową.

- Wiesz, co mnie najbardziej martwi? Ten ktoś, kto miał dostęp do wojskowej kartoteki lekarskiej, musiał też zajmować odpowiednio wysoką pozycję, by wykorzystać tę wiedzę. To nie jakiś zwykły urzędnik.
- Słusznie - zgodził się Steven. - I mnie też to martwi. Może to jeden z tych wysoko postawionych gości, którym nie podoba się, że wtykam nos w nie swoje sprawy?
- Tak czy siak, wężymy dalej.

Steven uśmiechnął się, słysząc postanowienie Macmillana.

- Zastanawiał się pan jeszcze, komu może to przeszkadzać? - zapytał.
- Ciągłe jakoś nie potrafię nikogo przyszpilić - odparł Macmillan. - To na pewno inni ludzie niż zwykle. Nie resort obrony, choć, jak mówiliśmy przed chwilą, ten ktoś musiał mieć dostęp do wojskowych kartotek. Gdyby to był jakiś kolega z naszego ministerstwa, pewnie też rozpoznałbym jego rękę. Ministerstwo zdrowia? Tu nie jestem pewien, ale sporo rzeczy mi do nich nie pasuje.
- MI-5? - podsunął Steven, przypominając sobie obecność Ricksena w Dryburghu.
- Wątpię - powiedział Macmillan. - To nie w ich stylu, choć podejrzewam, że wiedzą więcej, niż mówią. Ale im więcej protestów, tym przeciwnik będzie się bardziej odśaniał.
- Zawsze to jakieś pocieszenie - zażartował Steven.

Macmillan się uśmiechnął. Zdawał sobie sprawę, że to Steven będzie narażony na bezpośrednie kontakty z tym przeciwnikiem.

157

Przy lunchu nie rozmawiali o śledztwie. Skupili się na innych tematach, od zmian klimatycznych po plotki o skandalu, jaki szykował się w związku z wydatkami parlamentarzystów. Kiedy jednak doszli do kawy i brandy, wrócili do spraw służbowych.

- Moim zdaniem - odezwał się Steven - odwiezienie Michaela Kelly'ego do Afganistanu z rozwiniętą infekcją MRSA jest równoznaczne z morderstwem. Gdyby leczono go tutaj, mógłby przeżyć.

Macmillan przytaknął.

- To było absurdalne posunięcie.

- Ale może nie tylko on zaraził się gronkowcem w szpitalu Świętego Rafała. - Steven nagle dostrzegł nowy trop w śledztwie. - Jeśli zdarzyły się tam podobne przypadki, moglibyśmy porównać w laboratorium tutejsze szczepy gronkowca z tymi, które przywiozłem z Afganistanu. Jeśli w badaniach DNA okażą się identyczne, to będzie dowód, że Michael zaraził się w szpitalu Świętego Rafała, i rozpoczniemy śledztwo w sprawie morderstwa. A wtedy szpital musi ujawnić szczegóły operacji.

- Doskonale - pochwalił go Macmillan. - Jedyne potencjalny problem, to że u Świętego Rafała nie przyznają się do problemów z gronkowcem.

- Hm.

Pojawił się kelner ze srebrnym dzbankiem. Kiedy dolewał im kawę, zapadła cisza. Po chwili kelner odszedł.

- Powiedz mi, co twoim zdaniem robi prywatny szpital, kiedy przydarzy mu się zakażenie pacjenta gronkowcem? - spytał Macmillan ostrożnie, ale z błyskiem w oku.

Steven się uśmiechnął.

- Przenosi go - odparł. - Do najbliższego szpitala publicznego.

158

- Rozpuszczę dyskretnie wici w okolicznych szpitalach - obiecał Macmillan.

- Ale i tak musimy się dowiedzieć, czemu Michael Kelly był taki wyjątkowy - stwierdził Steven. - A nie dowiemy się tego ani w Świętym Rafale, ani od Laurence'a Samsona.

- Moglibyśmy zażądać więcej danych od wojska - zaproponował Macmillan. - Ale jeśli to zrobimy...

- Zaalarmujemy przeciwnika i podamy mu na tacy nasz trop.

- Przydałby się inny sposób.

- Żona Johna Motrama powiedziała mi, że mąż przeprowadzał badania próbek dawcy we własnym laboratorium na północy... Gdybyśmy do nich dotarli, może nasze laboratorium coś by wymyśliło.

- Warto spróbować.

29

Steven wrócił do mieszkania i znalazł za drzwiami kopertę. Nie było na niej znaczka, tylko jego nazwisko - pięknie wykaligrafowane fioletowym tuszem. List wrzuciła sąsiadka, Cynthia Clements, prawniczka z londyńskiego City. Informowała członków wspólnoty, że pani Greenaway, przewodnicząca wspólnoty mieszkańców Marlborough Court, trafiła do szpitala. Byłoby miło, gdyby wszyscy się złożyli i wysłali pani Greenaway kwiaty. Steven wsadził do koperty dziesięć funtów i położył ją na półce w przedpokoju, by wychodząc, zabrać i wrzucić ją do skrzynki panny Clements. Na sekretarce nie było żadnych nowych nagrań. Zielone zero na wyświetlaczu

159

sprawiło, że czuł wielką pustkę w brzuchu. Z każdym dniem coraz bardziej tracił wiarę, że Tally jeszcze się do niego odezwie.

Zadzwoił do Cassie Motram. W domu nikt nie odbierał, więc wystukał numer przychodni. Dowiedział się, że doktor Motram wróciła do pracy i właśnie przyjmuje pacjenta. Recepcjonistka obiecała przekazać wiadomość, kiedy tylko pani doktor będzie wolna. Cassie oddzwoniła po dziesięciu minutach.

- Znów w kieracie - zauważył Steven.

- Moi pacjenci uznali, że jednak nie zarażą się ode mnie czarną śmiercią - wyjaśniła Cassie. - Teraz niepokoi ich już zupełnie co innego, konkretnie świńska grypa.

- Świetna wiadomość.

- Społeczeństwo zawsze musi mieć powód do paniki. Zapytał o próbki dawcy, które mąż analizował we własnym laboratorium na Uniwersytecie Newcastle.

- Myśli pani, że wciąż tam są?

- Bardzo możliwe. Nie sądzę, by ktoś je wyrzucił, chyba że John po zakończeniu badań. Ale sprzątanie po sobie nie jest jego mocną stroną. Pewnie leżą gdzieś w jakiejś lodówce w laboratorium.

- Świetnie. Chciałem się upewnić, czy warto tam jutro rano polecieć i się rozejrzeć.

- Wolno zapytać po co?

- Próbuję ustalić, czym takim szczególnym wyróżniał się dawca, którego pan Motram badał w Londynie. Myślę, że chłopak jest kluczem do wszystkiego. Próbki od samego pacjenta byłyby równie dobre, ale nie sądzę, by je doktorom udostępnili.

Cassie zaprzeczyła.

- Dostarczyli mu szczegółowe wyniki badań laboratoryjnych, żeby porównał ze swoimi.

160

- Czy były równie wszechstronne jak te, które miał dostarczyć pani mąż? - zapytał Steven z głupia frant.

- Właściwie nie - odparła Cassie. - Pamiętam, jak John skomentował, że są tam istotne szczegóły, ale nic więcej. Tymczasem jego poproszono o wykonanie wszelkiego rodzaju analiz. Nie rozumiał, po co komu aż taki zestaw.

- Interesujące - stwierdził Dunbar. - Pewnie nie ma pani ostatecznego raportu?

- Nie, ale może znajdzie go pan w laboratorium Johna. Oho, widzę, że stara pani Jackson zaczyna się denerwować w poczekalni. Zaczęła narzekać w recepcji, że każe jej za długo czekać. Muszę kończyć.

- Przepraszam, że oderwałem panią od pracy - powiedział Steven.

- Powodzenia jutro.

Rano Steven poleciał British Airways do Newcastle i taksówką pokonał dziewięć kilometrów między lotniskiem a miastem. Jean Roberts umówiła go z szefem Wydziału Biologii Komórkowej, ale podróż przebiegła tak gładko, że do zaplanowanego spotkania miał jeszcze półtorej godziny. Wykorzystał ten czas, by przejść się w pogodny poranek, a spacer zakończył niespieszną kawą w kafejce z widokiem na most nad rzeką Tyne.

Zawsze lubił patrzeć z bliska na wielkie symboliczne rzeczy - budynki, mosty albo cuda natury, szczególnie zachwycał się górami. Ta bliskość dawała mu poczucie, że wyrwał się z szeregow oglądaczy życia i przynajmniej próbował wziąć w nim udział. Przed powrotem na uniwersytet zauważył, że tego ranka Tyne nie była spowita mgłą.

- Są jakieś wieści, czy doktor Motram wróci? - zapytała uśmiechnięta kobieta, która przywitała się z nim i przedstawiła

11 - W proch się obrócisz

161

jako profesor Mary Lyons. Niska, tuż przed sześćdziesiątką. Białe włosy, kiedyś blond, i zmarszczki na policzkach dowodzące, że często się uśmiecha. Pod ciemnozielonym dwuczęściowym kostiumem miała jedwabną bluzkę z żółtym kwiatowym wzorkiem.

- Obawiam się, że nie wróci.

- Cóż to za niezwykła tragedia. Taki miły człowiek i jeden z naszych najlepszych naukowców. Wszystkim go brakuje... choć niektórym bardziej z samolubstwa, nie oszukujmy się.

Steven spojrział pytająco.

- Praca Johna na temat wirusowych receptorów komórkowych to jedna z głównych przyczyn naszej wysokiej pozycji w rankingu badaczy. W najnowszym zestawieniu zostaliśmy sklasyfikowani na czwartym miejscu - wyjaśniła Lyons. - To się liczy przy ściąganiu grantów i studentów.

- Rozumiem.

- A więc co pana sprowadza, doktorze?

Steven wytłumaczył, że szuka próbek dawcy szpiku. Lyons pokiwała głową.

- Nie widzę problemu. Może Louise Avery będzie w stanie panu pomóc. Asystowała Johnowi przy badaniach. W czasie... niedyspozycji Johna współpracuje z inną grupą. - Lyons podniosła słuchawkę i wystukała trzycyfrowy numer.

Kilka minut później do gabinetu weszła wysoka szczupła dziewczyna z brązowymi włosami związanymi w kucyk. Miała na sobie biały kitel laboratoryjny. Lyons wytłumaczyła, o co chodzi, a asystentka odparła: „Nie ma sprawy”, z północno-wschodnim akcentem. Kiedy szli korytarzem, dziewczyna zapytała o to samo co Mary Lyons. Ale i ją Steven musiał rozczarować.

- Wielka szkoda. - Otworzyła drzwi laboratorium. - Brakuje mi Johna. Bywał przezabawny.

Steven nie potrafił sobie wyobrazić, że mężczyzna, którego widział w izolatce w szpitalu Borders General, mógł być przezabawny.

- Powiedział mi, że jeśli nie odnowią mu grantu, rzuci naukę i zostanie stylistą paznokci dla gwiazd - powiedziała dziewczyna.

Steven uśmiechnął się szeroko - po pierwsze określenie „stylista paznokci dla gwiazd” wypowiedziane z akcentem z Newcastle brzmiało komicznie, po drugie poczuł sympatię do autora tych słów. Niektórzy naukowcy traktowali siebie śmiertelnie poważnie. Motram wyraźnie nie należał do tego grona.

- A odnowili mu ten grant? - zapytał.

- Nie, nie dostał funduszy na badania historyczne, a to jego pasja. Ale zdołał pozyskać pieniądze od jakiejś fundacji Hotspur. Coś się kończy, coś zaczyna, jak to mówią.

Steven kiwnął głową, zgadzając się z tą szkocką filozofią.

- Jeśli John nie wywalił tych próbek, to będą tutaj. - Louise otworzyła górną połowę dużej lodówki.

- Pracowała pani nad nimi? - zapytał Steven, bo nagle dotarło do niego, że przecież dziewczyna może znać informacje, których szukał. Ale ta nadzieja okazała się płonna.

- Nie. John mówił, że sam musi to zrobić. Nie mógł tego nikomu zlecić.

- I pewnie nie widziała pani wyników? Znow pokręciła głową.

- Nie było powodu. Nie miało to nic wspólnego z naszą pracą. Sprawdzał potencjalnego dawcę szpiku kostnego, ale to chyba pan wie.

162

163

Steven przytaknął.

- Ma pan szczęście - oznajmiła dziewczyna, wyjmując druciany stojaczek z lodówki. Umieszczono w nim kilka plastikowych próbek różnych kształtów i wielkości. Louise parsknęła śmiechem. - Lepiej już nie mógł tego opisać. - Podniosła stojaczek.

Steven przeczytał etykietę: „Dawca szpiku kostnego”. Louise przyniosła małe pudełko z polistyrenu i trochę suchego lodu.

Steven patrzył, jak asystentka pakuje próbki.

- Od dawna pracuje pani z Johnem?

- Od kiedy skończyłam licencjat. Już osiem lat.

- Kawał czasu. Jakież dalsze plany?

- Zastanawiam się nad magisterką, jeśli John się zgodzi. Mogłabym studiować zaocznie i nadal tu pracować. A potem,

kto wie?

- Doktorat?

- Może.

W czasie tej grzecznościowej rozmowy Stevenowi zakiełkował w głowie pewien plan.

- O badaniach na temat biologii receptorów wie pani chyba tyle co John - powiedział.

Louise się uśmiechnęła.

- Obserwowanie tego, co widać, to jedna rzecz, ale doszukiwanie się tego, czego nie widać, to zupełnie inna para kaloszy.

- To znaczy? - Stevena zaintrygowała ta odpowiedź.

- Ludzie sądzą, że badania polegają na znajdowaniu odpowiedzi. Wcale nie. Bardziej chodzi o zadawanie pytań, właściwych pytań. Z setek pytań, jakie można zadać, tylko jedno lub dwa okazują się tymi właściwymi. A inne... pozwalają badaczom zachować pracę.

164

Steven był pod wrażeniem.

- Proszę zaczekać - powiedział, kiedy już zamknęła pudełko. Zamierzał zabrać próbki do Londynu i przekazać je do jednego z laboratoriów, w których Inspektorat zamawiał analizy. Do tej pory nie mieli z tym żadnych problemów i nie sądził, że tym razem byłoby inaczej. Ale paranoja, jaka pojawiła się wraz ze

świadomością, że ktoś z establishmentu nie chce tego śledztwa, sprawiła, że Steven stał się niezwykle ostrożny. - A co by pani powiedziała, gdyby mój Inspektorat wynajął panią do analizy tych próbek?

- Nie wiem, co na to profesor Lyons.

- A gdyby się zgodziła?

- No to jasne, czemu nie. Co konkretnie miałabym zrobić?

- Muszę się dowiedzieć wszystkiego na temat dawcy tych próbek.

- Chwileczkę, John wspomniał mimochodem, że dawca idealnie pasuje do pacjenta - powiedziała Louise.

- Ale czy to akurat pana najbardziej interesuje? Zaraz, zaraz... - Otworzyła szufladę biurka i grzebała w niej kilka sekund. W końcu wyjęła kartkę i podała Stevenowi. - Oto szczegółowe dane na temat pacjenta. Pamiętam, że John stwierdził, że są zbyt przeciętne, by uznawać je za ściśle tajne.

- Dziękuję. Mogę je zatrzymać? - Kiedy przytaknęła, mówił dalej: - Musimy wszystko szczegółowo posprawdzać. Proszę podzielić proszę, te próbki na dwie części. Zlecę naszemu laboratorium w Londynie wykonanie drugiej analizy. Co pani na to?

Louise się uśmiechnęła.

- Banda mięczaków z południa na pewno mnie nie wystraszy.

165

30

Steven wrócił do Londynu z pudełkiem próbek w walizce. Jeśli nie zajdzie nic nieprzewidzianego, dostarczy je do laboratorium jeszcze tego samego dnia. Samolot wylądował o czasie na Heathrow - najmniej lubianym przez niego londyńskim lotnisku. Steven zaczął przeciskać się przez mrowie ludzi, by złapać pociąg Heathrow Express do miasta, kiedy nagle zatrzymało go dwóch mężczyzn legitymujących się dokumentami Wydziału Specjalnego. Towarzyszyło im dwóch uzbrojonych policjantów z lotniska. Steven pokazał im swoją legitymację, ale to nic nie dało.

- Wiemy, kim pan jest, doktorze, ale mamy swoje rozkazy. Proszę z nami.

Zaprowadzili Stevena do pokoju przesłuchań, gdzie jeden z agentów zabrał mu walizkę i otworzył, a następnie wyjął paczkę z próbkami.

- Co wy, do cholery, wyprawiacie? - krzyknął Steven. - Jestem śledczym z Inspektoratu Naukowo-Medycznego. Prowadzę dochodzenie i mam pełne wsparcie ministerstwa spraw wewnętrznych. Zabierać te łapy.

- Przykro mi, proszę pana, dostaliśmy polecenie, żeby tymczasowo zatrzymać pana i ten przedmiot.

- Jakie polecenie? Agent podniósł pudełko.

- Dotyczące zawartości tego, proszę pana.

- Tu są próbki biologiczne - odezwał się Steven tak spokojnie, jak mógł w tych okolicznościach. - Niezbędne do mojego obecnego śledztwa. Trzeba je jeszcze dziś dostarczyć do laboratorium, inaczej stracą swoją wartość. - To akurat nie do końca prawda, w suchym lodzie próbki mogły poleżeć dzień lub dwa, ale Steven nie miał nastroju na takie niuanse.

- Dajcie mi to, pokażę wam, co jest w środku.

Agent odsunął pudełko, by Dunbar nie mógł po nie sięgnąć.

- Niestety to niemożliwe. Wydział Specjalny sam przeprowadzi badanie zawartości.

- W takim razie koncertowo spieprzy oficjalne śledztwo Inspektoratu Naukowo-Medycznego - warknął Steven, tracąc cierpliwość. - A jeśli do tego dojdzie, dopilnuję, żebyście obydwaj aż do emerytury robili pogadanki o bezpieczeństwie na drodze w szkołach na Hebrydach Zewnętrznych.

- Mamy swoje rozkazy - powtórzył agent i wyszedł z sali, zabierając pudełko.

Drugi został.

- I co teraz? - wycedził Steven przez zaciśnięte zęby.

- Obawiam się, że na razie musi pan zostać w tym pomieszczeniu.

- Świetnie - prychnął Steven. - Mogę przynajmniej zadzwonić?

Agent kiwnął głową, a Steven wybrał numer Johna Mac-millana.

- Zatrzymali mnie na Heathrow. Wydział Specjalny skonfiskował próbki, które przywożłem z północy.

- Co takiego? - krzyknął Macmillan. - Nie powiedziałaś im, kim jesteś?

Steven powstrzymał się przed: oczywiście, kurwa, że powiedziałem.

- Nie zrobiło to na nich wrażenia - odparł.

- No to jeszcze zobaczymy - wzburzył się Macmillan. - Odezwę się.

Steven przesiedział półtorej godziny w pokoju przesłuchań na Heathrow. W końcu zobaczył jakiś ruch za drzwiami.

166

167

John Macmillan zjawił się osobiście, by nadzorować jego uwolnienie.

- Czuję się, jakby ojciec wpłacał za mnie kaucję - odezwał się Steven.

Wsiedli do czarnej limuzyny z szoferem, czekającej przed terminalem na podwójnej żółtej linii.

- No i co się stało? - zapytał Steven.

- Nie mam pojęcia. Wydział Specjalny przeprosza za tę „pożałowania godną pomyłkę”, ale w tym jest coś więcej. Dobrze o tym wiem- - Wyglądał na poważnie zmartwionego. - To nie była żadna pomyłka. Coś się dzieje. To część jakiejś większej akcji. Stoją za tym wpływowi ludzie władzy.

Steven ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć: „A to ci nowina”.

- Robią to jednak inaczej niż zwykle - ciągnął Macmillan. - Odbierają długi wdzięczności, wykorzystują kontakty jeszcze z uczelni, dzwonią do starych kumpli. Dlatego nie mogłem wykryć, kto tak naprawdę szkodzi twojemu śledztwu. Pierwsze skrzypce gra nie jakiś konkretny wydział czy instytucja, tylko ludzie na bardzo wysokich stanowiskach, którzy proszą o przysługę kolegów z najróżniejszych wydziałów.

- Od wojska po Wydział Specjalny - dopowiedział Steven. - Czy w ramach przeprosin zwrócili nasze próbki?

- Powinny już być w drodze - odparł Macmillan. - Poprosiłem, żeby odwieźli je prosto do ministerstwa.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zastanawiał się Steven, kiedy znów zwolnili w gęstym ruchu. - Zatrzymują mnie na lotnisku, zabierają próbki, a teraz wmawiają nam, że to pomyłka. Jaka pomyłka? Wzięli mnie za kogoś innego? Przecież doskonale zdawali sobie sprawę, kim jestem... Przypadkowe przeszukanie? Dokładnie wiedzieli, czego szukać.

Macmillan kiwnął głową.

- Wyraźnie widać, że się orientowali, gdzie byłeś, co tam robiłeś, i że wylądujesz na Heathrow. Ktoś mógł ci założyć podsłuch w telefonie.

- Albo w telefonie Cassie Motram. Tylko z nią rozmawiałem o podróży do Newcastle po próbki.

- Kiedy tylko wrócimy, każę technikom sprawdzić oba telefony - powiedział Macmillan.

- Skoro więc tak bardzo chcieli tych próbek... dlaczego teraz mówią, że to wielka pomyłka, i je oddają?

- Pochlebiałoby mi to dlatego, że podniosłem raban -stwierdził Macmillan. - Powiedziałem im, że radzę nie przeszkadzać moim śledczym działającym w imieniu ministerstwa spraw wewnętrznych, bo w Wydziale Specjalnym zwolnienia posypią się jak liście z drzew w wietrzny jesienny dzień.

- To pewnie dlatego. A nie dowiedział się pan, dokąd zamierzali zabrać próbki?

- Odniosłem wrażenie, że nie mają bladego pojęcia, co jest w tym pudełku - odparł Macmillan. - Podejrzewam, że ktoś poprosił kogoś, żeby cię zatrzymać, zabrać ci próbówki i gdzieś je dostarczyć...

- Przysługa między ludźmi na wysokim szczeblu - mruknął Steven.

- Otóż to, ale im się nie udało. Odzyskamy nasze próbki. Przy odrobinie szczęścia już na nas czekają. - Macmillan wysiadał z samochodu przed ministerstwem.

Portier poinformował, że próbki dostarczono jakiś kwadrans wcześniej. Macmillan poprosił Stevena, żeby zobaczył, czy próbowano otwierać pudełko.

- Raczej nie. - Steven obejrzał je pobieżnie ze wszystkich stron. Wiedział jednak, że ktoś bez trudu mógłby zapakować próbówki po raz drugi. Leżały w prostym polistyrenowym pudełku oklejonym brązową taśmą klejącą. - Ale pewności nie mam.

168

169

- Może powinieneś sprawdzić zawartość, zanim poproszę Jean, żeby zadzwoniła po kuriera - zaproponował Mac-millan.

Steven otworzył pudełko w gabinecie Jean Roberts i zajrzał do środka. Wszystko wydawało się w najlepszym porządku - podniósł próbówkę i sprawdził, że jest w niej krew.

Kurier motocyklowy przybył w ciągu dziesięciu minut i dostał polecenie, by jak najszybciej dostarczyć przesyłkę do laboratorium, z którym współpracuje Inspektorat. Steven dołączył szczegółowe dane pacjenta, uzyskane od Louise Avery. Jean zadzwoniła do laboratorium z informacją o przesyłce i zleciła jak najbardziej szczegółową analizę próbek dawcy.

- Kolejny dzień ciężkiej pracy za nami - westchnął Mac-millan, siadając w fotelu. Wcześniej nalał sherry, podał kieliszek Stevenowi. Upił łyk ze swojego. - Jak sądzisz, co stwierdzi laboratorium?

- Trudno zgadnąć. Wszystko to wydaje mi się bardzo dziwaczne. Ale musi być coś, czego nie chcę ujawnić na temat dawcy. Co takiego próbują ukryć?

- Tożsamość pacjenta? - podpowiedział niepewnie Mac-millan.

- Niemożliwe, żeby chodziło tylko o to - wykrzyknął Steven.

- Amatorszczyzna - stwierdził Macmillan, a Steven uniósł brwi ze zdziwienia. - Właśnie tak, amatorszczyzna. Potężni ludzie, którzy nie mają pojęcia, co robią, naciskają na innych, którzy wprawdzie wiedzą, co robią, ale nie wiedzą dlaczego, bo to tajemnica. - W ostatnie słowo włożył taki ładunek niesmaku, że Steven aż się uśmiechnął.

- Oczywiście może się okazać, że czegoś jeszcze nie dostrzegliśmy. Czegoś, co nam w ogóle nie przyszło do głowy.

- Owszem - przyznał Macmillan.

- Czy kwerenda po okolicznych szpitalach dała jakieś rezultaty? Czy któryś z nich przyjmował pacjentów z MRSA ze szpitala Świętego Rafała?

Macmillan zaśmiał się gorzko.

- Jedna rzecz mi umknęła - wyjaśnił. - Powiniennem przewidzieć, że żaden szpital się nie przyzna, że przyjął do siebie pacjenta z gronkowcem. Trafiłem na ścianę. Ale rozumiem ich stanowisko. Wyobrażam sobie, co zrobiłaby prasa, gdyby to zwierzyła.

- „Obrzydliwi bogacze podrzucają swoje zarazki do publicznych szpitali” - zakpił Steven.

- Myślę, że drogą oficjalną nie zdobędziemy takich informacji - uznał Macmillan. - Trzeba za tym pochodzić nieoficjalnie i...

- ...znaleźć gadatliwą pielęgniarkę albo wkurzoną salową - wszedł mu w słowo Steven.

Macmillan kiwnął głową. Zadzwoił telefon. Laboratorium potwierdziło, że otrzymało próbki. Zgodnie ze zleceniem zajmą się tym natychmiast.

- Może potrzebny nam plan B - rozważał Steven. Kiedy Macmillan uniósł brwi, dodał: - Co zrobimy, kiedy laboratorium powie: grupa krwi A2, RH dodatni, stopień dopasowania tkankowego idealny, kropka?

- Przyjrzymy się temu, co napisano drobnym druczkiem, wszystkim dodatkowym testom, o które poproszono Motra-ma. Coś musimy znaleźć.

170

171

31

Steven posiedział kilka minut nad rzeką, po czym ruszył w stronę domu. Ani słowem nie wspomniał szefowi o drugiej analizie próbek, którą zamówił, i miał z tego powodu lekkie wyrzuty sumienia. Wiele zawdzięczał Macmillanowi i powierzyłby mu życie, ale na szczytach władzy działo się coś dziwnego i nie wiadomo, czy te problemy nie dotkną też ich instytucji. To było jak rak - każdy dostrzega zmiany, ale nikt nie wie, gdzie czai się właściwy guz.

Już raz spróbowano powstrzymać Inspektorat przed zbadaniem próbek. Nie chciał, by to się powtórzyło. Prośba, by Louise Avery przeanalizowała krew dawcy, była nieplanowana i spontaniczna, więc nie wspominał o niej w żadnej rozmowie - ani bezpośrednio, ani przez telefon. I niech tak zostanie. Przypomniał sobie stare porzekadło: dwie osoby są w stanie dochować tajemnicy tylko wtedy, jeśli jedna z nich nie żyje.

Wciąż nad tym rozmyślał, kiedy zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszał głos Macmillana, więc wyrzuty sumienia wróciły.

- Jean mówi mi, że technicy skończyli sprawdzać linie telefoniczne. Twój telefon jest w porządku, ale przy aparacie pani Motram ktoś majstrował. Ich zdaniem jakiś zawodowiec.

- Może lepiej nic z tym nie robić - zaproponował Steven. - Na wypadek gdybyśmy chcieli powcisnąć trochę kitu naszym przeciwnikom.

- To samo mi przyszło do głowy - zgodził się Macmillan. - Poprosiłem, żeby na razie tego nie ruszali.

Może to przez te wieści o podsłuchu na linii Cassie. Steven wzmógł czujność podczas drogi powrotnej i zaczął sobie wmawiać, że to tylko wyobraźnia,

ale miał wrażenie, że ktoś go śledzi. Kiedy przeszedł przez ostatnią ulicę, jakieś sto metrów za sobą zauważył człowieka w ciemnym garniturze i natychmiast uzmysłowił sobie, że widział go kilka minut wcześniej, kiedy wstał z ławki nad rzeką.

Po kolejnych stu metrach Steven przystanął, zrobił pół obrotu i udawał, że szuka czegoś w teczce, a tak naprawdę kątem oka obserwował, co robi jego cień. Stał za nim, ale kiedy „poszukiwania” Stevena zaczęły się przedłużać, skręcił w boczną uliczkę i zniknął. Steven odprężył się, lekko zażenowany, że dał się ponieść wyobraźni. Uznał, że chyba jest za bardzo zestresowany. Zbliżał się do skrzyżowania w uliczkę, przy której mieszkał. Uśmiechnął się pod nosem na myśl o własnej naiwności. Ale uśmiech zniknął w mgnieniu oka, kiedy Steven poczuł niesiony wiatrem zapach wody po goleniu - znajomy zapach. Szedł dalej, ale kiedy tylko skręcił w prawo, ukrył się w bramie i czekał.

Bramę minęła ciemna sylwetka mężczyzny. Zanim prześladowca zorientował się, co się dzieje, Steven wykręcił mu rękę i przycisnął go policzkiem do ściany.

- Obyś miał jakieś dobre wytłumaczenie, Ricksen - syknął. - Bardzo dobre.

- Na litość boską, Dunbar - wystękał agent MI-5. - Chcę ci pomóc. Chcę tylko pogadać.

- Śledzisz mnie od ministerstwa. Mogłeś do mnie podejść ze sto razy. Ale nie, ty depczesz mi po piętach przez ostatnich dziesięć minut, a potem czaisz się w cichej uliczce...

- Bo wolałem, żeby nikt nie widział, że z tobą gadam - jęknął Ricksen.

Steven powoli go puścił, wciąż niepewny, co będzie dalej. Patrzył czujnie, jak agent MI-5 otrzępuje się z kurzu.

- No, mów - ponaglił.

173

- Dzieje się coś, co mi się nie podoba - zaczął Ricksen. - Właściwie nie tylko mnie, wielu innym też, łącznie z moim szefem, ale z powodów, których nie do końca rozumiem, nie jest w stanie nic z tym zrobić.

- Zamieniam się w słuch.

- Wrócił pewien były agent MI-5. Zachowuje się, jakby przyjęli go z powrotem do służby, choć ktoś mnie zapewnił, że tak nie jest. Tymczasem niektórzy ludzie tańczą jak im zagra i nic na to nie można poradzić. Krążą plotki, że dostał polecenie, by mieć na ciebie oko... a może nie tylko...

- Dlaczego?

Ricksen wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nikt nie wie. Ale zawsze dobrze ze sobą żyliśmy. Postanowiłem cię ostrzec. Przysięgam, że oficjalnie Piątka nie ma z tym nic wspólnego, choć to może wyglądać inaczej.

- Co to za człowiek?

- Monk. James Monk - odparł Ricksen. - Służył u nas trzy lata, w końcu wyrzucili go za... jak to ładnie określono: nadmierny entuzjazm w wykonywaniu pracy. Za dużo „przypadkowych” śmierci. Ludzie, których miał obserwować jako potencjalnych wrogów, często „odbierali sobie życie gdzieś w lesie”, rozumiesz?

- Jeśli nie potrafisz rozwiązać problemu, to go zlikwiduj.

- Otóż to.

- Psychol?

- Może, a przynajmniej osobowość patologiczna. Ale pochodzi z „dobrej” rodziny. Tatuś ma kawał Berkshire. Podobno to nie teriery tatusia obrywały liskom łapki na polowaniach... Gdyby Monk był z innego środowiska, na pewno już dawno założyliby mu kaftan, ale tatuś jakoś przepychał go przez podstawówkę i Oksford, aż synalek trafił do Tajnej

174

Służby Jej Królewskiej Mości, gdzie mu się spodobało... póki się go nie pozbyliśmy jak śmierdzącego jaja.

- A teraz wrócił.

- Tak jak mówię: oficjalnie nie. Steven przytaknął.

- Dzięki. Wiszę ci drinka. Jak wygląda ten Monk? Metr osiemdziesiąt pięć, dobrze zbudowany, z brodawką na lewym policzku?

- To on. Natknąłeś się na niego?

- Osobiście nie. Jeszcze nie.

- Trzymaj się - powiedział Ricksen.

- Ty też. Chcesz dobrą radę? Zmień wodę po goleniu.
- Co? - krzyknął Ricksen. - Moja kobieta ją uwielbia. Sama mi ją kupiła.
- W takim razie jest chyba z KGB. Równie dobrze mógłbyś sobie namalować na tyłku tarczę strzelniczą.
- To matka moich dzieci - zaprotestował Ricksen.
- Cóż, może to kwestia ilości - droczył się Steven. - Pół litra to jednak ciut za dużo.
- Zaczynam żałować, że cię zaczepiłem.
- Cieszę się, że to zrobiłeś, poważnie - zapewnił go Steven. - Dzięki. - Ruszył w swoją stronę.
- Ty, nie powiesz mi, o co w ogóle chodzi?
- Sam nie wiem. To tajemnica.

Steven wziął prysznic i przebrał się w dżinsy i adidas. W powietrzu czuć było chłód, więc włożył sweter, a na sweter dżinsową kurtkę. Tak ubrany zjechał windą do garażu.

Najpierw zamierzał pojechać do restauracji Jade Garden, gdzie bywał co miesiąc. Dość regularnie odwiedzał różne restauracje, bo chciał zjeść coś smacznego i jakoś urozmaicić swoją dietę, opierającą się głównie na gotowych daniach

175

z supermarketu. Nie nauczył się gotować i nie zamierzał tego zmieniać.

Chen Feng, właścicielka Jade Garden, zauważyła, że jest doktorem, kiedy po raz pierwszy płacił kartą kredytową. Od tego czasu niezmiennie pytała go o swój stan zdrowia i zdrowie rodziny. Ponieważ Steven ją lubił, udzielał jej bardzo ogólnych porad. Efektem były dodatkowe dania na stole, które nie pojawiały się na rachunku. Miły prosty układ między dwojgiem ludzi - jeszcze nie przyjaciół, ale już nie obcych. Co istotne, ludzi, którzy darzą się sympatią.

Wracając do samochodu po kolacji, Steven zastanawiał się, jak spędzić resztę wieczoru. Mógł położyć się wcześniej spać, ale wątpił, czy zaśnie - był zbyt spięty, zwłaszcza po tym, co usłyszał od Ricksena. Świadomość, że jest się czymś celem i to nie wiadomo dlaczego, zawsze budziła niepokój. Śledztwo na razie stało w miejscu, bo laboratorium jeszcze nie zakończyło analizy. Stwierdził jednak, że zamiast czekać z założonymi rękoma, może powęszyć po szpitalach, czy nie trafił gdzieś pacjent z gronkowcem ze Świętego Rafała.

Po chwili zmienił plany. Skoro i tak musi się oprzeć na plotkarskich źródłach, a nie na oficjalnych, które Macmilla-nowi nic nie dały, równie dobrze może spróbować nawiązać kontakt z kimś, kto pracuje w samym Świętym Rafale.

Pojechał do szpitala i zaczął krążyć po okolicy, szukając jakichś barów, gdzie ewentualnie gaszą pragnienie pracownicy luksusowej kliniki. Winiarnia Różowy Maskonur mieściła się najbliżej, ale Steven miał wątpliwości co do nazwy. Uznał, że to pewnie bar dla gejów, więc postanowił na razie pojechać dalej i rozejrzeć się za jakimś bardziej uniwersalnym miejscem.

Całkiem obiecująco wyglądał bar U Rene. Steven zaparkował dwie ulice dalej i wrócił. Wszedł do środka i zamówił

przy barze butelkę czeskiego piwa. Lokal był mały i pełny w połowie. Głównie pary, choć w głębi siedziało czterech biznesmenów z teczkami upchniętymi między stopami. Pewni siebie niczym mafiosi wymieniali się opowieściami o własnej waleczności w biznesowej dżungli. Przy barze grzało stołki kilku samotników. Jeden z nich czytał popołudniówkę, konkretnie rubrykę z ogłoszeniami mieszkań do wynajęcia. Z kolei młoda kobieta wpatrywała się ze skupieniem w ekran komórki.

Steven wypatrywał jakiegokolwiek sygnału, że to pielęgniarzka po dyżurze - zdrowotnych butów na płaskich obcasach, czarnych pończoch, kawałka białego stroju wystającego spod płaszcza - ale niczego takiego nie znalazł. Posiedział ze dwadzieścia minut przy piwie, w końcu wstał i wyszedł. Wahał się, czy nie pojeździ jeszcze trochę po okolicy, ale zaczął powątpiewać, czy to coś da. Wokół większości szpitali znajdowało się wiele pubów, gdzie często wpadali pracownicy, ale nie wokół Świętego Rafała. Szpital mieścił się w lepszej, wyjątkowej dzielnicy - tu nie było żadnych pubów. W drodze do samochodu uznał jednak, że ostatecznie czemu nie spróbować szczęścia w Różowym Maskonurze.

Miał dobre przeczucie co do klienteli. Doszedł do tego wniosku, kiedy barman obejrzał go od stóp do głów.

- Jesteś nowy. Steven się uśmiechnął.

- Dziś przyjechałem.

- I co cię sprowadza do Maskonura? - zapytał barman, choć sądząc po uśmiechu w jego oczach, znał odpowiedź.

- Szpital Świętego Rafała - odparł Steven. - Będę tam pracował.

- Jako pielęgniarz? Dunbar przytaknął.

176

12 - W proch się obrócisz

177

- Skoro dopiero przyjechałeś, to pewnie jeszcze nikogo nie znasz?

- Zgadza się, zupełnie sam w wielkim mieście.

- Robbie pracuje w Świętym Rafale - stwierdził barman, jakby właśnie go olśniło.

Odwrócił się, żeby rzucić okiem na gości. Siedzieli tu wyłącznie mężczyźni, głównie w parach, choć przy jednym stoliku bawiła się sześciuosobowa grupka w śmiesznych czapeczkach. Pewnie świętowali urodziny.

- Robbie! Robbie! - zawołał barman. - Chodź no tutaj i przywitaj się z... - Spojrzał pytająco na Stevena.

- Steve.

- Chodź i przywitaj się ze Steve 'em.

Od jednego ze stolików z parami wstał niski, pulchny facet i podszedł do baru. Barman przedstawił ich sobie i zrelacjonował opowieść Stevena.

- Zapraszamy do nas - powiedział Robbie. - Kiedy nikogo tu się nie zna, można uschnąć z samotności. - Poprowadził Stevena do stolika i przedstawił mu niejakiego Clive'a. Dodał, że to jego partner. - Więc łapy przy sobie. - I pacnął dłonią w powietrze.

Dunbar przywitał się z wysokim przystojnym mężczyzną.

- A więc jesteś pielęgniarzem - zagaił Robbie, kiedy już usiedli. - Clive też był pielęgniarzem, ale w końcu wzbiał się w niebo i teraz popycha wózki.

- Jestem stewardem w British Airways - wyjaśnił Clive.

- Nie wiedziałem, że w Rafale ma się pojawić ktoś nowy - powiedział Robbie. - Pewnie przyjęli cię za lwonę.

- Lwonę? - zdziwił się Steven.

- Pielęgniarka z Polski. - Robbie dotknął nosa z boku i odezwał się konspiracyjnym szeptem: - Odesłano ją do domu w niesławie.

178

- Naprawdę? - Steven chciał za wszelką cenę podtrzymać rozmowę. Starał się wyglądać na głodnego skandalu, bo Robbie najwyraźniej miał ochotę podzielić się tą opowieścią. Steven wyobrażał sobie, że chodzi pewnie o potajemny seks w schowku na pościel.

- Naprawdę nie powinienem... - szepnął Robbie. - Ale skoro i tak już u nas pracujesz...

Steven pochylił się w jego stronę.

- MRSA - oznajmił Robbie, przeciągając każdą literę. Steven wprost nie mógł uwierzyć we własne szczęście.

Chciał uściskać faceta, co w tych okolicznościach wcale nie wyglądałoby dziwnie.

- No nie, chyba żartujesz - jęknął tylko.

Robbie pokręcił głową, wyraźnie zadowolony z reakcji słuchacza.

- Była nosicielką. Zaraziła trzy osoby, zanim odkryto, że to ona jest źródłem problemów.

- Biedactwo - powiedział Steven, licząc, że za bardzo nie szarżuje. - To koszmar żyć z czymś takim. Po prostu sobie nie wyobrażam. Nie pracowała chyba na czarno, co?

- Nie! - krzyknął Robbie i wymienił zszokowane spojrzenia z Clive'em. - Rafał to ekstraklasa, chłopie. Najlepszy personel, najlepsze pensje. Wszystko z najwyższej półki. Iwona była w pełni wykwalifikowaną i cholernie dobrą pielęgniarką, nie bójmy się tych słów. To, że miała gronkowca... no cóż, zdarza się. Bóg jeden wie dlaczego.

- I co, problem został rozwiązany? - zapytał Steven.

- I to bez wybuchu skandalu. Na szczęście. Gazety by nas rozszarpały, gdyby tylko coś wywęszyły.

- No tak, cholerne pismaki, hipokryci - zgodził się Steven.

- A ty gdzie ostatnio pracowałeś? - zapytał Clive, taksując Stevena wzrokiem, z którego nic nie dało się wyczytać.

179

- W Glasgow - odparł Dunbar po chwili wahania. Nagle uświadomił sobie, że nie wymyślił żadnej przykrywki operacyjnej. - Szpital Zachodni.

- Niełatwe miasto - stwierdził Clive.

- Dlatego tu jestem - wyjaśnił Steven z nadzieją, że nie przesadza zbyt z gejskimi aluzjami. Zaczął podejrzewać, że Clive ma wobec niego jakieś wątpliwości.

- Spodoba ci się w Rafale, Steve - zapewnił go Robbie.

- Co oznacza skrót MRSA, Steve? - zapytał nagle Clive. Zdumiony Robbie wydawał się zakłopotany zachowaniem

partnera.

- A co to, Milionerzy w pubie? - wykrzyknął.

- To skrót od: metycykliooporny Staphylococcus aureus - odpowiedział Dunbar spokojnie. - Choć wielu ludzi spoza branży sądzi, że MRSA rozwija się jako wielooporny Staphylococcus aureus.

Clive się uśmiechnął.

- Dobra odpowiedź. Przepraszam cię, Steve. - Odwrócił się do Robbiego i dodał: - Chciałem sprawdzić,

czy to nie ktoś z gazet.

Robbie zrobił oczy jak spodki.

- Nie jesteś pismakiem, co, Steve? - zapytał dla pewności.

- Nie. Nie jestem.

Steven postawił nowym znajomym kolejkę i niedługo potem zaczął się zbierać do wyjścia, wymawiając się zmęczeniem po długiej podróży ze Szkocji.

- W takim razie do zobaczenia w Rafale - pożegnał go Robbie.

- Dzięki za ciepłe przyjęcie. - Steven wstał od stołu, kiwnął głową do Clive'a i Robbiego. Idąc do drzwi, pomachał też

barmanowi.

- Do rychłego zobaczenia - odparł barman, polerując szklankę. Oczywiście mówił więcej niż ustami.

32

Steven wrócił do domu i zadzwonił do dyżurnego z Inspektoratu Naukowo-Medycznego.

- Potrzebuję natychmiast pewnych informacji:

Szpital Świętego Rafała zatrudniał do niedawna pielęgniarkę z Polski. Niejaką Iwonę. Legalnie, więc nie powinno być kłopotów z namierzeniem dziewczyny, ale nie pytaj bezpośrednio w szpitalu. Chcę wiedzieć, jak ma na nazwisko, jak długo pracowała w Świętym Rafale, dlaczego oficjalnie ją zwolniono i czy z tym zwolnieniem miało coś wspólnego laboratorium Wydziału Zdrowia Publicznego. Jeśli będziesz musiał, bądź kogo trzeba.

- Robi się.

Dyżurny obudził Stevena tuż po czwartej nad ranem. Zażartował nawet, że stosuje się dokładnie do polecenia.

- Bardzo śmieszne - wymamrotał Steven. - Czego się dowiedziałeś?

- Iwona Tłoczyńska pracowała w tym szpitalu przez cztery i pół miesiąca: od grudnia zeszłego roku do początku kwietnia. Miała doskonałe referencje. Instrumentariuszka. Zbierała świetne opinie, póki nie pojawił się pewien problem. W ramach dochodzenia w sprawie zakażenia pooperacyjnego przebadano cały personel. Okazało się, że Iwona nie może pracować na sali operacyjnej. Postanowiła więc wrócić do rodzinnego Gdańska, podobno z sowitą odprawą.

181

- Doskonale - pochwalił go Steven. - Wiesz, kto prowadził badania?

- Kiedy zdarzył się pierwszy przypadek, zajęła się tym mała szpitalna pracownia, ale później zadanie przekazano prywatnemu laboratorium mikrobiologicznemu, które pracuje na zlecenie dla Świętego Rafała. Potwierdzili, że to MRSA, i zgodnie z procedurami przekazali subkultury do Wydziału Zdrowia Publicznego i do laboratorium porównawczego w Colindale na północy Londynu.

- Jesteś geniuszem - wykrzyknął Steven.

- Matka zawsze mi to powtarzała.

Wiedząc, że ludzie, których dyżurny pobudził w nocy, mogą skarżyć się kolegom na brutalne przerwanie snu i w ten sposób ostrzec przeciwnika, Steven stawił się w laboratorium w Colindale przed dziewiątą rano i czekał na kogoś z personelu. Kiedy się przedstawił i pokazał swoje pełnomocnictwo, wystarczył niecały kwadrans, by technicy dali mu szklaną probówkę z bakterią gronkowca wyizolowaną z krwi pielęgniarki Iwony Tłoczyńskiej. Po kolejnych dwudziestu minutach próbówka trafiła do laboratorium współpracującego z Inspektorem Naukowo-Medycznym. Mieli porównać jej zawartość ze szczepem MRSA przywiezionym z Afganistanu.

Steven dotarł do ministerstwa jeszcze przed Johnem Mac-millanem. Wkrótce szef też się zjawił. Spojrzał na Stevena.

- Dunbar, wyglądasz na zadowolonego z siebie. To do ciebie niepodobne - powiedział, potem go minął i wszedł do gabinetu.

Steven i Jean Roberts wymienili się rozbawionymi spojrzeniami.

182

- Niech wejdzie - rozległ się głos z małego głośniczka na biurku Jean.

Steven zrelacjonował wydarzenia poprzedniego wieczoru i pochwalił oficera dyżurnego za jego detektywistyczne działania w nocy.

- Różowy Maskonur mówisz... - mruknął Macmillan, przeglądając papiery na biurku. - A więc to tam spędzasz wieczory...

- Nie spędzam... - zaczął Steven i dopiero wtedy dostrzegł uśmiech na twarzy szefa. - Poszedłem tropem pewnego pomysłu.

- Który okazał się cholernie dobry. Świetna robota. Choć ci z laboratorium pewnie będą innego zdania. Całą noc analizowali próbki dawcy przywiezione ze Szkocji, a teraz mają kolejne zadanie. Z tego co słyszałem, wyniki analizy próbek dawcy powinniśmy dostać około południa.

Steven zerknął na zegarek.

- W takim razie skoczę na kawę i rozprostuję nogi. Do zobaczenia.

Przespacerował się ulubioną trasą przez St James' Park, ciesząc oko pierwszymi oznakami wiosny.

Zastanawiał się, co też przyniesie mu ten rok. Uwielbiał wiosnę, czas, kiedy wszystko się odradzało, kiedy pojawiała się nadzieja. Jesień przygnębiała go aż do bólu, a zima była zbyt lodowata i sterylna, by coś do niej poczuć. Lato często przynosiło rozczarowania, za to wiosna, pełna optymizmu, stanowiła uwerturę do całego roku.

Znów zaczął rozmyślać o tożsamości pacjenta X i czy można poświęcić tyle istnień ludzkich, by utrzymać taką tajemnicę. Kto, u licha, jest tak ważny, by odebrać lub zrujnować życie

tylu osobom tylko po to, by zataić wiadomość o jego białaczce?

183

Nikt, doszedł do wniosku. Ale najwyraźniej niektórzy uważali inaczej - ludzie władzy, ludzie o wielkich wpływach, nietykalni. Wiedział, że tacy istnieją, bo znał już niejedną podobny przypadek. Kiedy patrzył, jak winowajcy się upiekło, czuł gniew i frustrację, ale roztrząsanie sprawy „nie leżało w interesie publicznym”, a dalsze śledztwo zwykle „nie leżało w interesie państwa”. Byłoby miło, gdyby choć tym razem ten, kto to zrobił, został pociągnięty do odpowiedzialności. Kto wie, może wyniki analizy krwi Michaela Kelly'ego będą pierwszym krokiem w tę stronę.

Macmillan miał już raport na biurku, kiedy Steven wrócił do ministerstwa. Zdjął okulary i oparł się wygodnie w fotelu.

- Chyba tego właśnie się obawialiśmy - powiedział. - Michael Kelly: grupa krwi A, Rh dodatnie, niemal idealne dopasowanie tkankowe do pacjenta X.

- Cholera.

- Cóż - westchnął Macmillan. - Zdaje się, że trzeba zaczynać wszystko od nowa, co?

- Nie rozumiem. Kelly musiał mieć coś szczególnego. A taką grupę krwi ma w tym kraju chyba co drugi człowiek spotkany na ulicy.

- Jest jeszcze kwestia dopasowania tkankowego - przypomniał Macmillan.

- Owszem - przyznał Steven. - Ale mimo to nie trzeba przekopywać archiwów medycznych całego kraju, żeby trafić na człowieka o podobnym profilu. - Podniósł raport z laboratorium. - Dawców szpiku kostnego jest o wiele więcej niż dawców organów. Co innego gdyby szukali dla pacjenta X dawcy serca, wątroby... A oni próbowali ocalić kogoś z nieuleczalną białaczką... kogoś, czyją tożsamość trzeba chronić za wszelką cenę. Dlaczego? Wciąż brakuje nam tu jakiegoś klocka...

- Którego odnalezienie powierzam komuś tak zdolnemu jak ty - zakończył Macmillan i wstał z fotela. - Mam spotkanie.

- Mogę zatrzymać ten raport?

- Oczywiście.

Steven wrócił do domu i przez całe popołudnie bezskutecznie próbował dociec, co wyróżniało Michaela Kelly'ego. Czytał raport w tę i w tę, ale nic z tego nie wynikało - Kelly pod żadnym względem nie był wyjątkowy. Ot, zwykły żołnierz z bardzo popularną grupą krwi i typem tkanek, który zaraził się MRSA po oddaniu szpiku kostnego. Próby zatuszowania tego, co się stało, i powodu śmierci chłopaka były - by użyć słów Macmillana - amatorszczyzną. Ale należało pamiętać, że każdy, kto choćby trochę zainteresował się Kellym albo okolicznościami jego śmierci, narażał swoje życie...

Te rozmyślenia nie prowadziły do niczego, więc aby je przerwać, Steven zadzwonił do Louise z uniwersytetu w Newcastle, by zapytać, jak jej idą analizy.

- Powinam skończyć pojutrze - oznajmiła. - Wysłać raport e-mailem?

Steven zawahał się. Pojutrze jest piątek... Pod wpływem chwili postanowił, że pojedzie do Szkocji i spędzi weekend z Jenny.

- Nie - odparł. - Jeśli to nie problem, wpadnę do laboratorium.

- Kawał drogi - zauważyła Louise.

Steven opowiedział jej o swoich planach na weekend, potem porozmawiali trochę o Jenny i o tym, gdzie i dlaczego tam mieszka.

184

185

- To uroczy zakątek kraju - powiedziała Louise. - Wręcz wymarzony na spędzenie dzieciństwa. Moi rodzice mają tam letni domek... w pobliżu Southerness.

- Znam to miejsce. Plaże ciągnące się bez końca...

- Piękne, prawda? - Louise ucieszyła się, że znalazła kogoś, kto jak ona zachwycę się tą częścią Szkocji, tak często pomijaną w przewodnikach turystycznych. - Uwielbialiśmy z bratem jeździć tam wakacje. Właściwie, skoro już o tym mowa, to może sama wybiorę się tam na weekend. Pierwszy raz w tym roku. Lubię otwierać domek po zimie, to jak podnoszenie wieka szkatułki ze wspomnieniami z dzieciństwa. Dla rodziców jest jeszcze za wcześnie, pewnie będą woleli poczekać, aż się trochę ociepli. Już nie są tacy młodzi.

- Miło mi, że zaplanowałem pani weekend, tak jak i sobie - zażartował Steven. - Do zobaczenia w piątek.

33

Pędząc porsche po autostradzie M1 w piątkowy poranek, Steven wiedział, że to nie będzie tak miły i odprężający weekend, na jaki miał nadzieję. W pewnym sensie uciekał od śledztwa, które za chwilę utknie w martwym punkcie, bo nie widział żadnego nowego tropu. Analiza Louise najprawdopodobniej okaże się czystą formalnością, potwierdzeniem wyników z laboratorium z Londynu, więc odebranie raportu będzie tylko dopełnieniem procedury. Nie zbliży się przez to ani na krok do wyjaśnienia, co

takiego szczególnego wyróżniała Michaela.

Jedynym postępowaniem może być tylko badanie szczepu MRSA pobranego od polskiej pielęgniarki. Jeśli się potwier-

dzi, że Michael Kelly został zarażony gronkowcem w Świętym Rafale, to może uda się zmusić szpital do ujawnienia tożsamości pacjenta X.

Steven nie potrafił jednak wzbudzić w sobie entuzjazmu na myśl o takim obrocie rzeczy. Nie tego chciał się dowiedzieć. Ujawnienie tożsamości pacjenta X tylko rozjuszy tych, którzy chcieli za wszelką cenę utrzymać ją w tajemnicy. Za śmiercią Michaela i jego kumpla Jima kryło się coś więcej, a w tych warunkach istniało poważne ryzyko, że nigdy nie zostanie to wyjaśnione, podobnie jak motyw koszmarnego otrucia Johna Motrama.

Steven starał się jechać tak, żeby zdążyć zaprosić Louise Avery na lunch, by podziękować za analizę próbek. Oczywiście Inspektorat Naukowo-Medyczny oficjalnie zapłaci za jej pracę, ale jak zwykle przy płatnościach tego typu, uniwersytet oddawał personelowi naukowemu tylko część pieniędzy, trochę jak napiwek dla kelnera w kiepskiej restauracji. Louise się go spodziewała, więc Steven nie przedstawił się w recepcji, tylko poszedł prosto do laboratorium Motrama i zapukał w szklane drzwi. Nikt nie otworzył.

Zerknął na zegarek z obawą, że Louise już wyszła na lunch, ale była dopiero dwunasta. Przypomniał sobie, jak Mary Lyons mówiła, że pod nieobecność Johna Motrama Louise współpracuje z inną grupą. Może dlatego nie ma jej w tym laboratorium. Wrócił do recepcji, by zasięgnąć języka.

- Dziś ma wolne - odparł portier o wyglądzie wojskowego, rozkładając pocztę do przegródek za kontuarem. - Dłuższy weekend.

- Jest pan pewien? Mieliśmy się spotkać.

- Pewnie zapomniała.

- A czy profesor Lyons jest dzisiaj? Od razu zaznaczam, że nie byłem umówiony.

186

187

Portier obrzucił Stevena kwaśnym spojrzeniem i podniósł słuchawkę.

- Nazwisko?

- Dunbar, Inspektorat Naukowo-Medyczny.

Kiedy tylko Steven wszedł do gabinetu profesor Lyons i zobaczył jej zaskoczone spojrzenie, od razu wiedział, że coś jest nie tak.

- Doktor Dunbar, a to dopiero niespodzianka.

- Uprzedzałem Louise, że dzisiaj wpadnę. Po raport.

- Tak, ale pański kolega przyjechał do niej wczoraj... Dała mu raport. - Zdziwienie przerodziło się w zmieszanie, a w końcu w przerażenie, kiedy pani dziekan zobaczyła reakcję Stevena. - To nie był pański kolega, prawda? - zapytała powoli, wyraźnie błędąc.

Pokręcił głową. Czuł, jak żołądek wywraca mu się do góry nogami.

- Pracuję sam.

- O mój Boże. - Mary Lyons objęła głowę dłońmi i masowała skronie. - Wczoraj rano zadzwonił do mnie jakiś człowiek, przedstawił się jako pracownik waszego Inspektoratu. Chciał sprawdzić, czy wszystkie próbki doktora Motrama zostały zwrócone do Londynu. Powiedziałam, że tak, oczywiście poza tymi, które analizuje Louise. Zazaczyłam, że dziś rano przyjedzie pan po raport.

Steven poczuł się dziwnie bezradny.

- I co on na to?

- Stwierdził, że jest jakiś przełom w sprawie, i zapytał, czy mógłby wziąć wyniki dzień wcześniej. Louise poinformowała, że powinna skończyć późnym popołudniem i że raport będzie gotowy do odbioru po wpół do piątej. Zjawił się za dziesięć piąta i Louise przekazała mu raport i resztki próbek.

188

Sądziłyśmy, że to już koniec tej sprawy... ale najwyraźniej się myliłyśmy. Przepraszam.

- Czy jest dziś Louise? - zapytał Steven. Początkowe przerażenie tym, co się stało, trochę ustąpiło, bo uznał, że przeciwnik w zasadzie nic nie osiągnie tym ruchem. Owszem, położyli łapę na próbkach, ale Inspektorat ma drugą ich połowę i tamci dobrze o tym wiedzą. No i Inspektorat trzymał już w garści wyniki z laboratorium z Londynu.

- Nie - odparła Mary Lyons. - Wczoraj musiała sporo popracować nad tym raportem, więc kazałam jej wziąć wolne. Słyszałam, że wybiera się na weekend do letniego domku rodziców w Dumfries i Galloway, więc zaproponowałam, żeby wydłużyła sobie ten weekend... - Głos jej się urwał. - Chyba zrobiłam coś strasznego, prawda? Po telefonie nawet nie wylegitymowałam tego człowieka. Wszystko to wydawało się takie... wiarygodne.

- Proszę się nie obwiniać - uspokoił ją Steven. - Nie mogła pani tego przewidzieć.

Był zły na samego siebie, że też tego nie przewidział. Przeciwnik dowiedział się o próbkach na uniwersytecie w Newcastle z podsłuchu na linii żony Motrama - rozmawiali przecież o tym z Cassie. Po prostu ci dranie starannie wszystko sprawdzali i im się powiodło.

- Widziała pani tego mężczyznę? - zapytał.

- O tak. Pomyślałam, że powinnam być przy przekazywaniu raportu. Poczekalam z Louise na niego, a

potem trochę pogawędziliśmy. Nazywa się Morris, doktor Simon Morris. Wysoki, dobrze zbudowany...

- Z brodawką na lewym policzku - dokończył Steven. Zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

- A więc zna go pan? Rzeczywiście pracuje w pana Instytucie?

189

Pokręcił głową.

- Nie, ale to długa historia - odparł. - O czym rozmawiali z Louise w związku z raportem?

Mary Lyons wzruszyła ramionami.

- O ile pamiętam, ogólnie badany niemal doskonale nadawał się na dawcę dla pacjenta.

To było do przewidzenia. Steven znów zaczął zachodzić w głowę, czemu, u licha, Monk pędził na północ, by sprzątnąć mu przed nosa próbki i zobaczyć wyniki, które Inspektorat już zna. Zwłaszcza że nie ma w nich niczego interesującego, dodał w myślach.

- Chwileczkę, Louise chyba jednak o czymś wspomniała.

- Naprawdę? O czym? - Steven chwycił się tego jak tonący brzytwy.

Mary Lyons spojrzała na niego przepaszająco.

- Niestety nie wiem. Louise wskazała Morrisowi coś w swoim raporcie, co jej zdaniem wydawało się dość niezwykle. Ze swojego miejsca nie widziałam dokładnie. Doktor Morris zlekceważył uwagę Louise, twierdząc, że to nie ma znaczenia dla przeszczepu, a ona chyba się z nim zgodziła, więc nie pytałam.

Steven kiwnął głową. Odnosił wrażenie, że cały świat sprzysiągł się przeciwko niemu, ale pocieszała go myśl, że Louise - kiedy tylko wróci z weekendu - opowie mu osobiście, co takiego „niezwykłego” dostrzegła. Już miał wstać, kiedy nagle ze ściśnięciem w dołku zdał sobie sprawę, że jeśli to coś jednak jest istotne, to James Monk wie, że Louise to zauważyła. I dlatego teraz może jej grozić wielkie niebezpieczeństwo.

- Czy w rozmowie wspominaliście państwo o weekendowych planach Louise? - zapytał niby od niechcena.

- Hm... chyba tak - odparła Mary Lyons. - Tak, na pewno. Pamiętam, że Louise powiedziała, że liczy na ładną po-

godę, żeby pospacerować nad morzem albo nawet popływać kajakiem... Pomyślałam wtedy, że trochę na to za wcześnie.

Steven czuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Tylko obecność szacownej pani profesor powstrzymała go przed rzuceniem wiązanki przekleństw pod adresem wrednego losu.

- Czy wie pani, gdzie dokładnie Louise wybrała się na ten weekend? Mnie mówiła coś o Southernness. - W jego głosie zaczęło pobrzmiwać zdenerwowanie.

- Adresu nie znam... Nigdy nie był mi potrzebny... ale kiedyś chyba wymieniła nazwę tej wioski... niech pomyślę...

Steven trzymał nerwy na wodzy, licząc w głowie kolejne sekundy.

- Leeford. Tak, wioska nazywa się Leeford. I ma pan rację, to pod Southernness. Rozmawialiśmy o tamtejszej latarni morskiej.

Steven wstukał nazwę wioski do nawigacji satelitarnej w porsche i ruszył z piskiem opon na zachód, w stronę Dumfries i Galloway. Między Annan a Dumfries przez kilka minut włożył się trzydzieści na godzinę za koparką, a kiedy później na prostym odcinku przyspieszył do prawie stu czterdziestu, zatrzymała go drogowka. Jeden z policjantów obszedł samochód, a drugi zadawał rutynowe pytania. Steven zapewnił gliniarza, że doskonale wie, z jaką prędkością jechał, i dodał, że jako śledczy Inspektoratu Naukowo-Medycznego prowadzi właśnie dochodzenie z pełnym poparciem ministerstwa spraw wewnętrznych. Chciałby więc je kontynuować jak najszybciej. Pokazał legitymację i podał numer, pod którym ktoś potwierdzi jego słowa.

Ta odpowiedź nagle zmieniła zachowanie policjanta, który go legitymował, a także - po ostrzegawczym spojrzeniu - jego kolegi. Obaj zapragnęli służyć wszelką możliwą pomocą.

190

191

Zapytali, czy nie potrzebuje obstawy. Steven popatrzył na porsche* potem na policyjne volvo.

^ Nie, dziękuję - odparł. - Dajcie tylko znać kolegom, że prZeZ dzień lub dwa pokręcę się w okolicy.

Droga z Dumfries na wybrzeże Solway jeszcze bardziej spowolniła tempo Stevena. Nie dość, że wiła się jak wąż, to jeszcze panował na niej piątkowy szczyt. Ludzie dojeżdżający do pracy w Dumfries wracali do domów.

W pobliżu Solway ruch trochę zmalął i na krętej drodze wzdłuż wybrzeża Steven mógł dodać gazu. Jadąc wzdłuż wybrzeża, żałował, że nie ma więcej czasu, żeby podziwiać widoki. Chmury ustąpiły i nad cieśniną Solway połyskiwało wiecZorne słońce. Przypomniał sobie szczęśliwe chwile z Lisą podczas licznych weekendów w tej okolicy, jak zwiedzali zabytki, albo po prostu cieszyli się sobą na dzikich, pustych plażach.- Uwielbiał tutejsze plaże. Morze czasami cofało się na kilometr, zostawiając za sobą potężne połacie płaskiego piasku, który Jakby stykał się z horyzontem. Kiedy człowiek zмага się z życiowymi problemami, pobyt tutaj nadaje wszystkiemu właściwe proporcje. Zawsze dobrze sobie przypomnieć, jak jest się małym wobec natury.

Dziesięć minut później Steven zjechał z głównej drogi na Węższą dróżkę prowadzącą do wioski Leeford. Silnik porsche zaCzął gulgotać nieregularnie i żałośnie, bo Steven zwolnił do tempa piechura, by znaleźć

kogoś i zapytać o domek państwa

Avery-

Leeford okazało się niestety totalną dziurą - o ile zdążył się zorientować, to zaledwie kilka chat, które przycupnęły na klifie. Żadnego pubu ani mechanika samochodowego, ani nawet sklepu. Światło świeciło się tylko w nielicznych domkach. Wiele z nich miało pozamykane okiennice. Letnie

domki, pomyślał Steven. Na sezon jeszcze za wcześnie. Tak jak inne podobne miejsca, Leeford do lata będzie wymarłą wioską, póki słońce nie sprowadzi ludzi z miast. Przypomniał sobie, że Louise mówiła, że będzie tu po raz pierwszy w tym roku.

Minął znak wskazujący ścieżkę z klifu do zatoki. Zobaczył, że w oknach dalej świeci się światło. Zatrzymał samochód i poszedł tam. Wieczorna bryza niosła z dołu zapach morza. Domek, do którego szedł, miał ściany ozdobione muszelkami. Na trawniku od frontu leżał mały trójkołowy rowerek rzucony pod huśtawką z poprzecieranymi linkami. Steven zapukał do drzwi. Otworzyła mu trzydziestolatka. Przeprosił za najście.

- O rany, ktoś już dzisiaj pytał o drogę do domku Ave-rych - powiedziała z uśmiechem i akcentem, który zdradzał, że nie pochodzi stąd. - Louise robi dziś imprezę czy co? Myślałam, że to my otworzymy sezon w tym roku, ale się pomyliłam.

Steven zaniemówił. Wyglądało na to, że jego obawy się ziściły. Jeśli to Monk pytał o drogę, to znaczy, że potraktował Louise jako potencjalne zagrożenie i przyjechał... rozwiązać ten problem. Przez całą drogę Steven łudził się nadzieją, jak się okazało - na darmo. To było do przewidzenia. Sądząc po tym, co słyszał o Monku, facet nie należał do ludzi, którzy zostawiają niezłatwione sprawy.

- Nic panu nie jest? - zapytała kobieta, wyraźnie czując się nieswojo w niezrozumiałej dla siebie sytuacji. Mała córka gospodyni podeszła do drzwi i uczepiła się jej nogi. - Zoe, wracaj, proszę, do środka - poleciła.

- Nie, przepraszam - odparł Steven, wrywając się z zamyślenia. - Gdyby tylko mogła mi pani wskazać, gdzie stoi domek Averych.

192

13 - W proch się obrócisz

193

- Trzy domy dalej przy głównej ulicy po tej samej stronie co nasz. - Machnęła ręką w tamtym kierunku, a drugą zaczęła zamykać drzwi. - Ten z niebieskimi okiennicami.

34

Drzwi zatrzasnęły się, pochłaniając żółtą plamę światła. Steven uświadomił sobie, że słońce szybko staje się czerwonym wspomnieniem promieni na zachodzie nieba. Wrócił do głównej ulicy. Mała wioska najwyraźniej nie zasługiwała na latarnie, więc po ciemku nie potrafił stwierdzić, który z domów ma

niebieskie okiennice. Zwłaszcza że w żadnym z nich nie świeciło się światło. Nie było gdzie zaparkować - na kawałku ugoru po drugiej stronie drogi stały już trzy auta, ale nie wiedział, jakim jeździ Louise. Podszedł kawałek żwirową ścieżką i głośno załomotał do drzwi.

Zgodnie z przewidywaniami nikt nie otworzył. Steven nie zawracał sobie głowy kolejną próbą, tylko od razu poszedł na podwórze, gdzie było więcej światła. Tył domu stał wysoko nad plażą, od strony zachodniej, skąpany w czerwonej poświacie z nieba. Kolor światła spokojnie nadawałby się do ciemni fotograficznej, pomyślał Steven.

Zastukał do dzielonych tylnych drzwi, przypominających wrota do stajni, i zawołał Louise, ale znów nie doczekał się odpowiedzi. Już zaczął sobie wyobrażać, co zastanie w środku, ale starał się odganiać te obrazy, chwytając się nadziei, że może Louise zmieniła plany i nie przyjechała tu na weekend. Po lewej stronie zobaczył jednak otwarte okno i nadzieja zgasła.

194

Po chwili wahania nacisnął na klamkę - otwarte. Wszedł do środka, do małego pobielonego pomieszczenia gospodarczego. Na popękanych linoleum stała lodówka i pralka - stara, z plamami rdzy na przedniej ścianie, tam gdzie poodpryski-wał lakier. Znów zawołał Louise, ale zdał sobie sprawę, że tylko powtarza jej imię jak mantrę, by przywrócić choć trochę normalności w tej sytuacji, która lada chwila zmieni się w koszmar. Sunąc dłonią po ścianie, przeszedł w głąb domu. Kiedy trafił na włącznik światła, pstryknął. W salonie wszystko wydawało się w porządku. Ani śladu szamotaniny, na środku podłogi kartonowe pudełko z zakupami. Louise pewnie przyniosła je z samochodu, ale nie zdążyła zanieść go do kuchni i rozpakować. Szedł dalej, a przed każdymi drzwiami miał wizję, co może zastać za nimi.

Trzy razy czarny scenariusz się nie sprawdził. W końcu Steven dotarł do ostatniego pomieszczenia - łazienki. Przystanął, żeby przygotować się na widok zwłok wpatrujących się w niego z wanny pełnej wody. Strach zniknął w mgnieniu oka. Łazienka okazała się pusta; przyjemnie pachniała środkami czystości. Louise nie ma w domu... ale była.

Wyszedł do ogrodu na tyłach i spojrzął na cieśninę Solway. Starał się wczuć na chwilę w Monka. Nie podobało mu się to, co wymyślił. Monk to zawodowiec. Nie zamordowałby dziewczyny i nie zostawił jej ciała na podłodze albo w wannie. To natychmiast wywołałoby policyjną obławę i wściekłość prasy. Raczej upozorowałby jej śmierć na wypadek, tak jak zakamuflował atak na Johna Motrama i jak zapewne spreparował wypadek drogowy Jima Lesliego. Steven czuł, że istnieje okropnie duże prawdopodobieństwo, że Louise też przydarzył się „wypadek”. Kiedy stoi się w ogrodzie domku tuż nad klifem, nie trzeba być członkiem Mensy, żeby wymyślić, do czego mogło dojść.

195

Zszedł łagodnym zboczem do drewnianego płotu, który odgradzał ogródek Averych od stromej góry porośniętej dziką trawą. U stóp stoku, aż na sam dół klifu wiła się ścieżka. Serce zamarło mu, kiedy zobaczył, że fragment niekoszonej trawy dopiero co został przygnieciony - ktoś ciągnął po niej coś ciężkiego.

W gasnącym świetle dnia ostrożnie przełożył nogi przez płot i na czworakach zszedł po przygniecionej trawie do miejsca, gdzie dochodziła do kamiennej ścieżki. Niecałe pięć metrów po prawej, gdzie ścieżka ostro zakręcała, zobaczył złamaną drewnianą barierkę, chroniącą przed upadkiem w trzydziestometrową przepaść. Pękła... albo ktoś specjalnie ją zniszczył. Steven nie wątpił, że patrzy na miejsce, gdzie Louise miała „wypadek”.

Z ciężkim sercem pobiegł ścieżką aż na plażę i zobaczył to, co było nieuniknione - Louise Avery, ze złamanym karkiem i nienaturalnie powyginanymi nogami leżała z rozpostartymi rękoma na piasku. W otwartych oczach dziewczyny nie dostrzegł życia.

- Przepraszam - mruknął przygnieciony poczuciem winy. Gdyby tylko nie poprosił jej o badanie tych cholernych próbek. - Monk, ty sukinsynu - ryknął i uderzył pięścią w piasek: raz, drugi raz i trzeci. Kiedy w końcu zaczął oddychać spokojniej, wyjął komórkę i wezwał policję.

Godzinę później, kiedy skończył rozmawiać z policją, zadzwonił do Johna Macmillana i opowiedział mu, co się zdarzyło. Zaczął od swojej prośby, by Louise Avery wykonała dodatkową analizę próbek Michaela Kelly'ego, a zakończył na okolicznościach jej śmierci.

- Na Boga, to się zaczyna wymykać spod kontroli. - Mac-millan szybko przyswajał wiadomości i zadawał właściwe pytania. - Ile wie miejscowa policja?

- Kiedy się zjawili, podałem im wyłącznie suche fakty - wyjaśnił Steven. - Jeśli na nic innego nie trafią, uznają to pewnie za tragiczny wypadek: dziewczyna runęła ze szczytu klifu, bo nie zauważyła, że barierka jest pęknięta...

- Choć my wiemy, że to wcale nie był wypadek. Steven jęknął. Wciąż buzował w nim gniew.

- W takim razie, dlaczego ją zabił? - rozważał dalej Macmillan.

- Według profesor Lyons, która widziała, jak Monk odbiera raport, Louise zauważyła coś niezwykłego w swojej analizie i pokazała to Monkowi. Myślę, że tym wydała na siebie wyrok.

- Ale dostarczono nam badania tych próbek - zaprotestował Macmillan. - Londyńskie laboratorium nie znalazło w nich nic niezwykłego.

- Wiem - westchnął Steven. - Też nic z tego nie rozumiem.

- Zakładam, że wyniki analiz panny Avery niczym się nie różniły od tych naszych.

Steven się skrzywił.

- Nie czytałem raportu Louise - odparł. - Dała go Monkowi.

- I nie ma żadnej kopii? - zapytał zdumiony Macmillan.

- Wątpię. Większość uniwersytetów w takich przypadkach oddaje klientowi wszystkie materiały. Praca na zlecenie zawsze jest uważana za poufną, więc nikt nie trzyma kopii. To powszechna praktyka. Chryste,

powiniennem przewidzieć, że Monk sprawdzi, czy na uniwersytecie nie zostało więcej próbek. Ale ze mnie kretyn...

- Nie obwiniaj się - przerwał mu Macmillan. - Nikt z nas nie jest w stanie myśleć o wszystkim. Poza tym bardzo szybko oddali nam próbki po „pomyłce” na lotnisku. Więc jakie to ma znaczenie, czy na północy jeszcze są jakieś?

196

197

- Kolejne pytanie, na które nie znam odpowiedzi.

- Nadal zamierzasz zostać z córką na weekend? Steven westchnął.

- Nie, odwołam to spotkanie. Wrócę do Londynu, ale najpierw muszę powiedzieć szefowej wydziału, co się stało. Nie chcę, żeby dowiedziała się o tym z gazet. Policja powiadomi rodziców Louise.

- Odezwij się, kiedy już tu zładujesz. Trzeba porozmawiać o jeszcze jednej sprawie. Przyszedł raport dotyczący kultur MRSA. To ten sam szczep.

Steven powoli wypuścił powietrze z płuc. Bywały dni, kiedy potrafił oderwać się od pracy i przełączyć na tryb rodzinny, by pobyć z Jenny, ale to na pewno nie był jeden z tych dni. Gniew, frustracja i poczucie winy... wolał nikomu tego nie okazywać. Nie chciał wieźć do Glenvane mrocznego świata własnej pracy. Zadzwoił do Sue i przeprosił, że odwołuje przyjazd.

Sue jak zwykle okazała wyrozumiałość.

- Nie rób sobie wyrzutów, Steven. Skoro nie możesz, to nie możesz. Wszyscy wiemy, że na pewno masz ważny powód. I najlepiej, żebyśmy nie wiedzieli jaki - dodała.

- Dzięki, Sue. Zadzwoię do Jenny, kiedy... sytuacja trochę się uspokoi...

- Trzymaj się, Steven. Przekażę jej pozdrowienia od ciebie.

Steven w duchu podziękował niebiosom za taką szwagier-kę jak Sue i zaczął zastanawiać się, ile to razy dzwonił do niej, kiedy jego obowiązki zawodowe wymagały zbyt dużo poświęceń kosztem normalnego życia. Kiedy o tym pomyślał, musiał przyznać rację Tally. Jego próby lekceważenia zagrożeń czyhających w pracy były po prostu śmieszne. Niebezpieczeń-

stwo i śmierć zawsze czaiły się gdzieś na horyzoncie. W tej sytuacji trudno liczyć, że jakakolwiek kobieta zechce z nim zostać dłużej niż tylko na przelotny romans. Po tylu złych wiadomościach tego dnia ten wniosek dobił go zupełnie.

Tuż po dziewiątej wieczorem Steven siedział w samochodzie i rozważał, jak powiedzieć o wszystkim Mary Lyons. Miał numer na uniwersytet, ale pani profesor na pewno nie zjawi się rano w pracy, bo następnego dnia wypada sobota. Zdawał sobie sprawę, że mało kto figuruje dziś w książce telefonicznej,

ale jednak postanowił poszukać nazwiska Mary Lyons wśród abonentów z okolic Newcastle.

- Belvedere Road 37? - zapytała telefonistka.

- Tak - odparł Steven, bo usłyszał tylko jedną propozycję.

- Połączyć pana?

Mary Lyons odebrała i czystym głosem wyrecytowała swój numer. Steven stwierdził, że to uroczo staromodny zwyczaj, o całe niebo lepszy niż zwykłe „Słucham?”.

- Pani profesor, mówi Steven Dunbar. Niestety dzwonię z bardzo złymi wieściami.

- O Boże - jęknęła Mary Lyons. - Tego się obawiałam. Pewnie chodzi o Louise?

- Miała wypadek... śmiertelny. Spadła dziś z klifu w Lee-ford.

Usłyszał w słuchawce lekkie kaszlnięcie i długą ciszę.

- Doktorze Dunbar - odezwała się w końcu Mary Lyons. - Nie wierzę, że to wszystko, co chce mi pan powiedzieć. Śmierć Louise ma jakiś związek z mężczyzną, który wczoraj pojawił się na naszym wydziale, prawda?

Steven został trafiony w punkt.

- W pewnym sensie - przyznał. - Ale to skomplikowane...

- Gdybym nie zachowała się tak głupio...

198

199

- Nie, pani profesor, to w żadnym wypadku nie pani wina. - Steven starał się, żeby to zabrzmiało przekonująco, ale doskonale wiedział, jak się czuje Mary Lyons i że słowa nic tu nie pomogą. - To była seria niefortunnych zdarzeń, których nikt nie mógł przewidzieć.

- Rozumiem, że policja zbada ten „wypadek”?

- Władze zrobią wszystko, żeby dotrzeć do prawdy - zapewnił Steven, choć zdawał sobie sprawę, że mówi jak minister rządu na konferencji prasowej. - Obiecuję pani, że sprawiedliwości stanie się zadość.

- Po prostu nie wierzę, że do tego doszło... Biedni rodzice Louise...

- Policja ich zawiadomi. Pani profesor... rozumiem, że to okropny wstrząs dla pani, ale muszę o coś zapytać... Wspominała pani, że Louise znalazła coś dziwnego czy niezwykłego w wynikach badań i wskazała to człowiekowi, który przyszedł na wydział.

- Tak, ale oboje zgodnie stwierdzili, że to nie ma znaczenia dla planowanego przeszczepu.

- Wiem, że nie widziała pani, co to za anomalia, ale może padło w rozmowie coś na ten temat?
Cokolwiek, dla mnie wszystko się liczy.

- Przykro mi, nie pamiętam nic takiego. Po prostu napomknęli o tym przelotnie. Przepraszam...

- Nie szkodzi. - Steven wręcz namacalnie czuł żal pani profesor i zakłopotanie, że nie potrafi mu pomóc.

- Ale sam pan przecież może sprawdzić - dodała nagle Mary Lyons.

- Słucham?

- Coś sobie przypominałam. Kiedy poprosił pan Louise, żeby zbadała te próbki, zwróciła się do mnie o pozwolenie, a ja poleciłam jej zapisywać każdy szczegół, żeby była pod-

kładka dla władz uniwersytetu. Zlecenia zewnętrzne są obwarowane ścisłymi regułami, głównie ze względu na polisy ubezpieczeniowe uczelni. Założyłam jej katalog na serwerze wydziału, by tam odnotowywała i wyceniała to, co robi. Na koniec kazałam jej wrzucić do katalogu ostateczny raport. Miał pozostać w komputerze, póki klient nie dostanie i nie ureguluje rachunku.

- I sądzi pani, że Louise zamieściła tam plik, zanim przekazała wydruk temu człowiekowi?

- Bardzo możliwe.

- Ile osób o tym wie?

- Tylko ja i kierownik laboratorium.

- Cudownie. I nie wspominała pani o tym na spotkaniu z Louise i tym człowiekiem?

- Nie widziałam powodu. Choć kiedy nam dziękował, wychodząc, przypominałam mu, że dostanie rachunek.

Steven rozważał to przez chwilę, ale nie sądził, by taka informacja wzbudziła podejrzenia.

- Pani profesor, muszę zobaczyć ten raport. I tak na wszelki wypadek zaznaczam: nikt inny nie może się o tym dowiedzieć.

- To zrozumiałe. Kiedy chciałby pan przyjść?

- Jutro z samego rana?

- Dobrze. To sobota. Na uczelni nie będzie praktycznie nikogo, a już zwłaszcza w księgowości.

Steven pojechał do Dumfries i wynajął pokój w hotelu County. W barze zjadł późną kolację i wypił kilka dżinów z tonikiem. Potem spędził w pokoju niespokojną noc, targany poczuciem winy z powodu śmierci Louise Avery. Fale wyrzutów sumienia rozbijały się o skały surrealistycznych snów - połamane ciała leżały na czerwonych plażach pod czarnymi klifami i ciemnym niebem. Te koszmary zdusiły cały entuzjazm,

200

201

jaki powinien czuć, wiedząc, że śledztwo może niebawem ruszyć z kopyta. Wstał i wymeldował się z hotelu przed szóstą rano.

35

Czuł, że puls mu przyspiesza z niecierpliwości. Siedział w gabinecie Mary Lyons i patrzył, jak pani profesor stuka w klawiaturę komputera na biurku, logując się do wydziałowego serwera, by odnaleźć katalog Louise Avery. Poruszała palcami powoli i z rozmysłem. Co chwilę przenosiła wzrok z ekranu na klawiaturę. Steven stwierdził, że to kwestia wieku. Niezależnie od potencjału intelektualnego ludzie starszej daty często zachowują się, jakby nie pasowali do ery komputerów.

- Gotowe - oznajmiła. A po chwili ciszy dodała: - No tak... jest... wrzuciła ten plik.

Steven zamknął oczy i w duchu podziękował niebiosom. Wymienili nieśmiałe uśmiechy, bo obojgu wielki ciężar spadł z serca. Pani dziekan wcisnęła jeszcze kilka klawiszy - ostatni ze szczególnym namaszczeniem. Potem podeszła do drukarki w drugim końcu gabinetu i czekała, aż urządzenie zacznie pracować. Wróciła z kopią raportu.

- Mam nadzieję, że dzięki temu sprawiedliwości stanie się zadość. - Podała Stevenowi dokument.

Kiwnął głową i z wahaniem zaczął się zbierać do kolejnej prośby. Wahał się chyba za długo, bo Mary Lyons odezwała się pierwsza:

- Pewnie chce pan mnie teraz poprosić, żebym nie wspominała o tym nikomu... nawet policji?

- Wiem, że proszę o wiele, ale obiecuję, że nikt nie zatuszuje śmierci Louise. Sprawiedliwość zostanie wymierzona. Może trochę okrężną drogą, ale na pewno to się stanie.

Uścisnęli sobie ręce i Steven ruszył z powrotem do Londynu. Wcześniej zadzwonił do oficera dyżurnego Inspektoratu, żeby ten skontaktował się z Johnem Macmillanem i jak najszybciej umówił go na spotkanie. Macmillan często wyjeżdżał na weekend z żoną, ale zawsze zostawiał na wszelki wypadek jakiś numer kontaktowy.

- Jestem w drodze z Newcastle - poinformował dyżurnego.

- Coś jeszcze?

- Będzie nam potrzebna konsultacja naukowa.

- Z jakiego zakresu?

- Dobre pytanie. Chodzi o specjalistę od transplantacji.

- Zobaczą, kogo mamy - odparł dyżurny. Inspektorat Naukowo-Medyczny dysponował listą doradców, ekspertów w różnych dziedzinach. Dostawali za swoje usługi wynagrodzenie, ale przede wszystkim mogli się szcycić tym, że pracują jako rządowi konsultanci. - Zadzwoń do tego eksperta czy poczekać do spotkania z szefem?

- Najpierw porozmawiaj z Macmillanem i przekaz mu, że mi na tym zależy. Zobacz, co powie, i wtedy działaj dalej.

- Dobrze.

Steven dotarł do południowego końca MI, kiedy zadzwonił telefon. Przez zestaw głośnomówiący dowiedział się, że spotkanie odbędzie się o czwartej po południu w ministerstwie. Czy zdąży?

- Bez problemu.

Macmillan był już w ministerstwie, kiedy Steven zjawił się dziesięć minut przed umówioną godziną. Szef walczył

202

203

z ekspresem do kawy w gabinecie Jean Roberts. Steven zajął się kawą.

- Przyjdzie jakiś ekspert? - zapytał.

- Chirurg transplantolog - odparł Macmillan. - Jonathan Porter-Brown. Po co nam on?

- Żeby wskazał, co Louise uznała za niecodzienne w swoim raporcie. Jeśli znajdzie to coś, wtedy się dowiemy, dlaczego Monk ją zabił.

- A czemu nasze laboratorium tego nie znalazło?

- Miejmy nadzieję, że ekspert zdoła i to wyjaśnić. Jeszcze nie porównaliśmy obu raportów. Mogą się różnić.

Ekspres w końcu wypłuł z siebie gorący napój, a Jonathan Porter-Brown zjawił się w ministerstwie i został wprowadzony do gabinetu. Steven oderwał się od opróżniania szuflady z kawą, by uściskać rękę wysokiemu opalonemu mężczyźnie. Zdziwił się, kiedy poczuł wątły uścisk wilgotnej dłoni.

- Kawy? - zapytał. - Właśnie zdobywam sprawność ba-risty.

Porter-Brown się uśmiechnął.

- Jestem pod wrażeniem. Poproszę espresso.

Trzej mężczyźni przeszli do gabinetu Macmillana, gdzie szef Inspektoratu podziękował chirurgowi za błyskawiczne przybycie.

- Jeśli chodzi o współpracę z Inspektorem, to jestem prawnikiem - żartował lekarz. - Oczywiście wiedziałem, że figuruję na waszej liście, ale jeszcze nigdy mnie nie wzywano. Czym mogę służyć?

- Panie Porter-Brown, jest pan chirurgiem transplantologiem, jednym z najlepszych. Zależy nam na pana opinii na temat przeszczepu szpiku kostnego, którymi się zainteresowaliśmy. Chcielibyśmy, żeby przeczytał pan raporty laborato-

ryjne przygotowane na podstawie próbek pobranych od pacjenta i dawcy i powiedział nam, czy widzi pan w nich coś niezwykłego.

- Zapowiada się łatwa robota - stwierdził Porter-Brown. Uśmiechał się, ale Steven odnosił nieodparte wrażenie, że

chirurg jest zdenerwowany. Coś w jego mowie ciała zdradzało niepewność. To dziwne - Steven z doświadczenia wiedział, że w zawodzie chirurga wymaga się pewności siebie, czasem wręcz nadmiernej. Może chodziło o to, że ekspert został wezwany w trybie pilnym do ministerstwa spraw wewnętrznych. W końcu facet sam przyznał, że Inspektorat skorzystał z jego usług po raz pierwszy.

Macmillan podał mu raport z laboratorium na temat pacjenta X.

- To wyniki badań biorcy.

- Dobrze. - Transplantolog przeczytał wszystko i odparł: - Jeśli chodzi o pacjenta, nie widzę tu niczego szczególnego.

- A to dane na temat dawcy. - Macmillan wręczył mu bardziej szczegółowy raport przygotowany przez laboratorium współpracujące z Inspektorem.

- O rany - mruknął, przeglądając plik kartek. - Wszechstronne, nie ma co... Płaciliście od każdego badania? Brakuje tylko rozmiaru buta.

Macmillan uśmiechnął się, ale Steven wciąż dostrzegał oznaki nerwowości u Portera-Browna. Nad górną wargą chirurga pojawiła się wąska linia wilgoci.

- Mogę stwierdzić, że dawca jest niemal idealnie dopasowany do pacjenta - oznajmił w końcu, odkładając papiery.

- Nie zauważył pan niczego dziwnego? - dopytywał Macmillan.

204

205

- Jedyne, co mnie dziwi, to poziom szczegółowości analizy próbek dawcy. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co oznacza połowa tych symboli.

- Zamówiliśmy dogłębną analizę - odparł Macmillan.

- I taką z pewnością dostaliście, ale jako transplantolog powiem wam, że dla mnie liczyłaby się przede wszystkim grupa krwi i zgodność tkankowa, a w tym wypadku są one idealne.

Steven podał mu kopię raportu Louise.

- Czy zechciałby pan rzucić okiem jeszcze i na to? Lekarz wziął dokument.

- Pacjent czy dawca?

- Dawca - odpowiedział Steven.

Porter-Brown zaczął czytać, ale nagle przerwał, wziął poprzedni raport dotyczący dawcy i zaczął je porównywać. Zrobił zdumioną minę.

- To ta sama osoba. Bez dwóch zdań. To musi być ten sam dawca. O ile mnie wzrok nie myli, te wyniki są identyczne.

- Owszem - zgodził się Steven. - Tylko są z różnych laboratoriów.

- Aha, rozumiem. - Uśmiechnął się porozumiewawczo. - Sprawdzaliście jakość laboratoriów. - Steven i Macmillan uśmiechnęli się, ale nic nie powiedzieli, więc ekspert mówił dalej. - Cóż, panowie, mogę tylko powtórzyć, że dawca idealnie nadaje się dla tego pacjenta. Oba laboratoria są co do tego zgodne.

- I nie dostrzega pan nic niezwykłego? - nie dawał za wygraną Macmillan.

Steven zauważył, że Porter-Brown znów zrobił się nerwowy. W końcu chirurg wzruszył ramionami.

- Z mojego punktu widzenia nic a nic. Co do tych dodatkowych i... raczej zbędnych badań, niestety nie potrafię

się wypowiedzieć. Panowie, ja jestem tylko prostym chirurgiem.

- Dziękujemy, doktorze - odparł Macmillan z uśmiechem. - Jesteśmy panu ogromnie wdzięczni. I przepraszamy, że zakłóciliśmy weekend.

- Cieszę się, że mogłem pomóc. - Porter-Brown wstał. Uścisnęli sobie dłonie. Wciąż ma wilgoć nad wargą, zauważył Steven.

Macmillan odprowadził gościa na dół.

- Zdaje się, że utknęliśmy w martwym punkcie - oznajmił, kiedy wrócił.

- Coś tu nie gra - odparł Steven. - Jak mawia moja babcia, czuję to w kościach.

- A czy ty albo twoja babcia nie moglibyście się wyrażać odrobinę precyzyjniej?

- Myślę, że mocno daliśmy ciała, zapraszając Portera--Browną jako eksperta.

- Ma nienaganne referencje. To jeden z najlepszych fachowców w swojej dziedzinie - obruszył się

Macmillan.

- Nie wątpię, podobnie jak John Motram - wyjaśnił Steven. - I właśnie dlatego został wybrany. Według Cassie Motram wszyscy zaangażowani w ten cholerny przeszczep są z najwyższej półki.

Macmillan otworzył szeroko oczy, kiedy zdał sobie sprawę, co tak naprawdę sugeruje Steven.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że facet brał udział w tej operacji?

- To by wyjaśniało, dlaczego przez całą rozmowę był taki spłoszony jak zajęc. To niepodobne do chirurga. Chciał stąd jak najszybciej wyjść i odniosłem wrażenie, że coś ukrywał, ilekroć dopytywał pan, czy nie zauważył niczego niezwykłego w raportach.

206

207

- Cholera jasna - zaklął pod nosem Macmillan. - Jeśli Porter-Brown rzeczywiście przeprowadził tę transplantację, to co teraz mamy zrobić? Zupełnie jakbyśmy wyłożyli karty na stół... - Podeszedł do barku i zaczął nalewać sherry, jak gdyby chciał się czymś zająć i w spokoju ocenić pełne skutki tego zdarzenia. - W chwilach napięcia alkohol potrafi czynić cuda, nie sądzisz?

Steven wziął od niego kieliszek.

- Wiedzą wszystko.

- Tylko jeśli się nie mylisz co do tego gościa - przypomniał mu Macmillan.

- Kiedy go wezwaliśmy, pewnie od razu zadzwonił do swoich pryncypałów i poinformował, że udało nam się odnaleźć raport Louise Avery...

- Ale przecież, do cholery, te wyniki są takie same. - Macmillan stracił cierpliwość.

- Nie różnią się według naszego prostego chirurga - zaznaczył Steven. - Jednak może być zupełnie na odwrót. Wiem, że się powtarzam, ale brakuje nam jakiegoś klocka. - Podniósł dwa raporty na temat dawcy i spojrzał na Macmillana. - Weźmy je pod lupę, choćby miało to potrwać całą noc.

Macmillan wahał się tylko przez chwilę.

- Skorzystajmy ze sprzętu audiowizualnego w jednej z sal wykładowych, co ty na to? - zaproponował. - Jeśli wyświetlimy oba dokumenty na wielkim ekranie, to może któryś z nas szybciej zauważy różnicę. Lepsze to niż ślęczeć całą noc przy biurku nad masą tajemniczych literek i cyferek.

- Świetny pomysł - przyznał Steven. - Ale nie mamy tego na dysku, tylko na wydruku.

- W takim razie zrobimy to metodą tradycyjną - odparł Macmillan. - W S12 jest rzutnik.

36

Steven i Macmillan poszli do sali wykładowej S12, wewnętrznego pomieszczenia bez okien, z półokrągłą widownią naprzeciwko płaskiej ściany, pod którą stało biurko, kilka krzeseł i pulpit. Steven przygotował rzutnik, a Macmillan odsunął pulpit na bok i ściągnął ekran zwinięty pod sufitem. Steven położył na szklanej płycie pierwsze strony raportów i wyregulował ostrość.

Raporty przygotowano w różnych formatach, więc nie sposób było porównywać wszystkich stron, ale na pierwszej każdego z nich widniały główne badania zgodności i Steven z Macmillanem szybko się zorientowali, że między tymi wynikami nie ma żadnych różnic. Potem robiło się coraz trudniej, bo w obu dokumentach wpisano różne badania w innej kolejności. Minęła godzina i dwadzieścia minut.

- Chwileczkę... - mruknął w końcu Steven.

- Zauważyłeś coś?

- Czwartą wers od góry w części pod nagłówkiem „Receptory chemokinowe”. W analizie Louise mamy CCR5 -/-, za to w tym drugim raporcie dałbym głowę, że było... - Steven przerwał, żeby zmienić kartkę w rzutniku. - Tak. Niech pan spojrzy. W drugim raporcie jest CCR5 +/-.

- Rzeczywiście - przyznał Macmillan. Długo wpatrywał się w ekran i dopiero po trzydziestu sekundach zapytał: -Wiesz w ogóle, co to znaczy?

- Nie mam zielonego pojęcia, ale widać różnicę.

- Ano widać - westchnął Macmillan, pocierając oczy. -I to może być nasza igła w stogu siana. Sugeruję, żebyśmy dokończyli porównywanie i sprawdzili, czy nie znajdziemy kolejnych igieł, a dopiero potem zadzwonimy do fachowców.

208

14 - W proch się obrócisz

209

Pół godziny później zgodnie uznali, że raporty różnią się wyłącznie tą jedną rzeczą. Wentylator rzutnika ucichł; Steven włączył światła w sali.

- Naprawdę może chodzić tylko o to? - odezwał się z powątpiewaniem Macmillan.

- Nie dowiemy się, póki nie zrozumiemy, co to takiego.

- Skontaktujemy się z naszym laboratorium - zaproponował Macmillan. - Zobaczymy, co nam na ten temat powiedzą.

- Jest sobota wieczór - przypomniał Steven.

- Jeśli twoje podejrzenia wobec Portera-Browna się sprawdzą, to czas działa na naszą niekorzyść. Dzwon do dyżurnego i każ mu znaleźć Lukasa Neubauera. Chcę, żeby przyszedł tu jeszcze dzisiaj. Niech się

postara zdążyć na ósmą.

Doktor Lukas Neubauer, szef sekcji biologicznej w laboratorium Lundborga, nie wydawał się poruszony, że wezwano go w sobotę wieczorem. Kiedy Steven o tym wspomniał, naukowiec odparł:

- Arsenal dzisiaj przegrał, jaki sens ma teraz życie?

- Zawsze jest przecież kolejny sezon - powiedział Steven, uśmiechając się ze współczuciem. Dobrze wiedział, że Arsenal może się już pożegnać z tytułem w Premier League. - Inspektorat zapłaci ci tyle, że pewnie będziesz mógł zafundować im nowego napastnika.

Przekomarzania ucichły, kiedy do gabinetu wszedł Macmillan. Podziękował Lukasowi za przybycie i przeprosił go za niezbyt fortunny termin konsultacji. Wyjaśnił, w czym problem, i podał Lukasowi dwa raporty.

- Najwyraźniej różnią się czymś, co nosi nazwę CCR5 - wyjaśnił Steven. - Wy daliście tu podwójnego plusa, a drugie laboratorium podwójnego minusa.

210

Lukas, wysoki mężczyzna po czterdziestce o słowiańskich rysach, przesunął okulary na czoło i wczytywał się w dokumenty. Trzymał je tuż przy twarzy i przenosił wzrok z jednego na drugi. Steven, który dobrze żył z Lukasem, pomyślał, że naukowiec, patrzący to w jedną, to w drugą stronę, przypomina orła, który się zastanawia nad wyborem kolacji. Wiedział, że Neubauera trudno zagiąć - to urodzony badacz, zawsze musi wiedzieć, jak wszystko działa i jak się ze sobą łączy.

- Interesujące.

- Przede wszystkim, proszę nam wyjaśnić, co to jest CCR5 - powiedział Macmillan.

- To receptor chemokinowy znajdujący się na powierzchni bakteriofagów T4 u człowieka - odparł Lukas, nie przerywając lektury.

- Aha - mruknął Macmillan, dając do zrozumienia, że nadal czeka na odpowiedź i to taką, którą będzie w stanie zrozumieć.

- Wirusy wykorzystują ten receptor, żeby wejść do ludzkich komórek T4 - ciągnął Lukas.

- Jakie to miałyby znaczenie dla przeszczepu szpiku kostnego u pacjenta chorego na białaczkę?

- Żadnego.

Steven się ożywił. To by się zgadzało z tym, co mówiła Mary Lyons. Louise zauważyła coś, ale oboje z Monkiem doszli do wniosku, że to bez znaczenia. A mimo to zabił ją właśnie dlatego, że to odkryła.

- Rozumiem, że plus oznacza, że wasze laboratorium znalazło CCR5, a drugie nie? - dociekał Macmillan. - Czyli ktoś się pomylił.

- Nie sądzę - odparł Lukas po kilku chwilach głębokiego zamyślenia. - Nie sądzę... Dwa plusy oznaczają, że dawca odziedziczył czynnik CCR5 zarówno po matce, jak i po ojcu.

211

Drugie laboratorium wpisało jednak podwójny minus, czyli że dawca w ogóle nie ma CCR5. Wyszło im, że badany odziedziczył brak tego receptora zarówno po matce, jak i po ojcu, a to rzadki przypadek. Nazywa się to hemizygotą. Zresztą ta negatywna mutacja ma nawet swoją nazwę. Delta 32.

- Czy ten brak CCR5 wiąże się z jakimiś problemami? -zapytał Macmillan.

- O ile mi wiadomo nie, za to daje wyraźne korzyści. Ludzie z Delta 32 są odporni na pewne wirusy. Po prostu nie mogą one wnikać do ich komórek. Nie sądzę, by to odgrywało jakąś rolę w tym przypadku, ale istnieje pewien związek z badaniami nad czarną śmiercią.

- Oczywiście. - Steven przypomniał sobie nagle temat badań Johna Motrama. Przeczytał o tym w teczce przygotowanej przez Jean Roberts na samym początku śledztwa. - Częstotliwość występowania mutacji Delta 32 u Europejczyków zmieniła się po ataku czarnej śmierci.

Lukas przytaknął.

- Zdaje się, że ludziom z Delta 32 nie groziło wtedy zakażenie.

- Na tym opierały się badania Johna Motrama - wyjaśnił Steven. - To, że Delta 32 chroniła ludzi przed czarną śmiercią, sugeruje, że epidemię wywołał wirus, a nie bakteria dżumy. Motram jest ekspertem w dziedzinie Delta 32.

- I pewnie dlatego zaproszono go do zespołu transplantacyjnego, jeśli to, co tu znaleźliśmy, może być jakimś tropem -wtrącił się Macmillan, widząc, że kolejny kawałek układanki wskoczył na swoje miejsce.

- A zatem - zwrócił się Steven do Lukasa - skoro Louise twierdzi, że u dawcy występowała mutacja Delta 32, a wy, że nie występowała... to kto ma rację?

- Obie strony - powiedział Lukas.

Steven i Macmillan spojrzeli po sobie, wyraźnie nie nadążając.

- Ale to niemożliwe - odezwał się Steven.

- Jak najbardziej możliwe... bo próbki pochodzą od różnych osób - wyjaśnił Lukas. - Tak przypuszczam.

- A już myślałem, że posuniemy się krok do przodu... -westchnął Macmillan.

- Przecież sam widziałem, jak Louise dzieliła próbki -odparł Steven. - Zatrzymała jeden zestaw. A ja przywiozłem drugi dla was.

- Lotnisko - wtrącił się nagle Macmillan. - Na Heathrow zabrali ci próbki. Nie miałeś ich przez kilka godzin.

Steven w zamyśleniu pocierał czoło.

- Ale jeśli, jak pan sugeruje, wtedy podmieniono próbki, to musieli mieć gotowy materiał od kogoś innego... kto też idealnie nadawał się na dawcę dla pacjenta X...

- Ale był bez mutacji Delta 32 - dokończył Macmillan.

- I akurat wszystko czekało gotowe - ironizował Lukas. Scenariusz wydawał się tak mało prawdopodobny, że

wszyscy zamilkli. Ciszę przerwał dopiero Steven, który uśmiechnął się szeroko.

- Wcale nie - wykrzyknął. - Podmienili je na próbki pobrane od pacjenta. To akurat żaden problem, bo już nimi dysponowali. Próbki, które nam oddali, pochodziły od pacjenta X. Jedyna różnica między nim a Michaeliem Kellym sprowadzała się do tego, że Kelly miał mutację Delta 32 i to właśnie próbowali ukryć. Louise przeanalizowała właściwe próbki dawcy i zauważyła tę różnicę, więc musiała zginąć.

- No, to w końcu się udało - odetchnął Macmillan. - Teraz tylko doktor musi nam wyjaśnić, po co to wszystko. Potrafi pan?

Lukas się uśmiechnął.

212

213

- Owszem, potrafię. Mutacja Delta 32 to rozwiązanie pewnej naukowej zagadki - zaczął. - Już kilka lat temu naukowcy odkryli, że część ludzi jest odporna na HIV. Choćby nie wiadomo jak często byli wystawieni na jego działanie, choćby nie wiadomo jakie prowadzili życie, nigdy nie wykrywano u nich tego wirusa, a co za tym idzie, nie chorowali na AIDS. Oczywiście medycyna jest tym ogromnie zainteresowana, bo na AIDS nie wynaleziono żadnego leku i nie ma też co liczyć na szczepionkę. Okazuje się, że wirus HIV dostaje się do komórek ofiary receptorem CCR5. I tak zaczyna się infekcja. Jeśli ktoś nie ma CCR5, HIV nie jest w stanie wniknąć do organizmu. I tyle. Jeśli ktoś odziedziczył mutację Delta 32 tylko po jednym z rodziców, ryzyko zarażenia spada. Jeśli ma mutację Delta 32 po obojgu rodzicach, jest całkowicie odporny.

- A więc Michael Kelly był całkowicie odporny na HIV -stwierdził Macmillan. - Co to znaczyło dla osoby z białaczką?

- Sęk w tym, że pacjent nie chorował na białaczkę - powiedział Steven, kręcąc głową, bo już zrozumiał, o co chodzi w całej tej sprawie. - Próbowali wyleczyć kogoś, u kogo wykryto HIV... kogoś ważnego... na tyle, żeby zabić dla niego kilka osób.

Macmillan wyglądał na wstrząśniętego.

- To możliwe? - zapytał. - Czy coś takiego jest możliwe?

- Owszem - potaknął Lukas. - Dwa lata temu pewien niemiecki lekarz przeprowadził podobny zabieg w Berlinie. Pacjentem był mężczyzna z HIV umierający na białaczkę. Na gwałt potrzebował przeszczepu szpiku kostnego. W ramach eksperymentu podano mu szpik od dawcy, który akurat odziedziczył mutację Delta 32 po obojgu rodzicach. Po operacji status serologiczny pacjenta zmienił się na ujemny. I o ile wiem, tak już zostało. W mediach nie nadawano tej sprawie rozgłosu, bo autorytety medyczne jasno określiły, że takie zabiegi nigdy nie mogą stać się normą.

- To by wyjaśniało intensywne poszukiwania dawcy - dorzucił Steven. - Dlatego musieli zarzucić sieć szeroko, szperać w kartotekach cywilnych i wojskowych. W grę nie wchodził tylko idealny dawca szpiku. Szukali idealnego dawcy, który na dodatek odziedziczył mutację Delta 32 po obojgu rodzicach.

- Czyli już mamy jasność całej sytuacji - mruknął Macmillan.

- Mimo wszystko to ryzykowny zabieg - ciągnął Steven. - Bo trzeba zniszczyć własny system odpornościowy pacjenta, napromieniowując ciało przez wiele godzin.

- Więc to byłoby groźne dla kogoś, kto nie jest chory na ostrą białaczkę? - zapytał Macmillan.

- Niezwykle groźne - przyznał Steven.

- Ale widać jakaś osoba, może nawet niejedna, uznała, że mimo ryzyka warto przeprowadzić taki zabieg u pacjenta X?

- Najwyraźniej tak.

- Wynajęli więc najlepszych ekspertów, znaleźli najlepszego dawcę i zaangażowali najlepszy szpital, by przeprowadzić ten zabieg. No cóż, nie ujdzie im to na sucho - oświadczył Macmillan. - Zostawili po sobie ślady zniszczenia w całym kraju i Bóg mi świadkiem, że za to zapłacą. Co za aroganccy... - Zabrakło mu słów.

37

To od czego zaczynamy? - zapytał Steven.

- Teraz, kiedy wiemy, co się za tym kryje, wykorzystamy nasz dowód, że Michael Kelly został zarażony gronkowcem

214

215

w Świętym Rafale i że brak opieki znacząco przyczynił się do jego śmierci. Wezwiemy policję i zmusimy szpital, by ujawnił nazwisko pacjenta X oraz nazwiska osób odpowiedzialnych za opiekę nad nim... o ile można to nazwać opieką.

- Nie lekceważmy siły przeciwnika - przypomniał Steven. - Nie działają oficjalnie, ale już udowodnili, że mają ogromną władzę i wpływy.

- Guzik mnie to obchodzi - obruszył się Macmillan. - Chcę ich dorwać, co do jednego.

- Jeśli pacjent X to zagraniczny potentat, mogą powołać się na immunitet dyplomatyczny albo nawet na ustawę o tajemnicy państwowej, by uniknąć przesłuchań.

- Będę na to odpowiadał, że obrona państwa polega na bronienu jego obywateli, a nie na ich okaleczaniu i zabijaniu - powiedział Macmillan. - Nie sądzisz?

- Ależ jak najbardziej. - Steven uwielbiał obserwować, jak szef wchodzi na najwyższe diapazony. - Myślę tylko, że obaj powinniśmy mieć świadomość, w co się pakujemy, zanim zrobi się naprawdę nieprzyjemnie. Zaczną na nas polować nie tylko ci, którzy prosili kumpli o przysługi po znajomości, ale też ci, którzy zgodzili się je wykonać. Krwawiący człowiek w basenie z rekinami miałby chyba większe szanse przetrwania niż my.

- Nigdy nie jest łatwo właściwie postępować, Steven - odparł Macmillan. Odetchnął głęboko. - To był długi dzień. Panowie, zapraszam na drinka do mojego klubu.

- To ja poproszę dużego - powiedział Steven.

- Zatrzymała się u nas teściowa - odezwał się Lukas, a Steven i Macmillan popatrzyli na niego, czekając na pointę. - Drink to świetny pomysł.

Wyszli z ministerstwa i ruszyli na dziesięciominutowy spacer do klubu.

- Czy doktorowi Motramowi się polepszyło? - zapytał Macmillan Stevena.

- Dwa dni temu dzwoniłem do jego żony. W szpitalu podają bardzo ostrożne rokowania, ale pani Motram uważa, że rozpoznała ją podczas ostatniej wizyty. Problem w tym, że nikt nie wie, jakie są długotrwałe skutki działania toksyny. Nie ma co się cieszyć na zapas. Nawet jeśli to początek rekonwalescencji, to zapowiada się długi proces.

- Biedna kobieta - westchnął Macmillan. - Dopiero co była żoną jednego z najbłyskotliwszych naukowców w kraju, a teraz zastanawia się, jak go nauczyć czytać i pisać.

Kiedy weszli do parku, Steven poszedł przodem, żeby -idąc ramię w ramię - nie zajmowali za dużo ścieżki, po której biegali ludzie. Wielu najwyraźniej bardziej skupiało się na jakichś miernikach na nadgarstku, zamiast patrzeć przed siebie.

- Przynajmniej nie jeżdżą na tych cholernych rowerach - mruknął Macmillan. Prawie nigdy nie przepuszczał okazji, by wygłosić opinię na temat tej szczególnie zadufanej w sobie części społeczeństwa, która sprysnęła się, by spowolnić jego podróż przez miasto.

Jeden z biegaczy truchtających z naprzeciwka wyrzucił plastikową butelkę po wodzie w krzaki przed nimi, a kiedy ich mijał, głośno zakaszła.

- Typowe - warknął Macmillan. - A gdzie...

Nie skończył. Padł na ziemię i kiedy Steven uklęknął przy nim i zaczął gorączkowo szukać pulsu, Macmillan już stracił przytomność.

- Lukas, dzwoń po karetkę. To chyba zawał.

Karetka przyjechała w ciągu trzech minut i dwaj sanitariusze w zielonych kitlach zajęli się pacjentem. Steven wstał i odpowiedział na pytanie Lukasa Neubauera.

216

217

- Niestety nie wiem. Nie było żadnych znaków ostrzegawczych: nie narzekał na bóle w klatce piersiowej, nie wspominał nawet, że źle się czuje. Po prostu zgasł jak światło. Im szybciej zawiozą go do szpitala, tym lepiej.

Nieprzytomnego Macmillana delikatnie wsadzono do karetki. Kierowca przytrzymał drzwi Stevenowi, żeby ten też mógł wsiąść. Lukas wahał się i już zaczął mówić, że chyba nie powinien robić tłoku, kiedy z karetki wyskoczył jakiś inny sanitariusz.

- To może być świńska grypa - wyjaśnił. - Musi pan pojechać z nami, zaopiekujemy się panem.

Potem praktycznie wepchnął Lukasa do środka i zatrasnął drzwi.

To dziwne zachowanie i fakt, że żaden z sanitariuszy nie usiadł z tyłu, zmroziły Stevenowi krew w żyłach. Coś było nie tak. Kolejne sygnały zaczęły pojawiać się w dużej liczbie i szybko. Dostrzegł, że przednią i tylną część karetki wzmocniono stalowymi rurami i drucianą siatką. W środku nie było klamek. Na dobrą sprawę wrzucono ich do stalowej klatki. To, że karetka nie jechała na sygnale, też nie uszło uwagi Ste-vena, zwłaszcza kiedy w oddali usłyszał syrenę innej karetki -tej, którą rzeczywiście wezwali.

- To pułapka - jęknął i zajął się Macmillanem, co sprawiało mu trudność w pędzącym pojeździe. Było jasne, że ci dwaj faceci w kabinie czekali na nich, by dotrzeć przed tą prawdziwą karetką. Macmillan nie zasnął więc z przyczyn naturalnych. Coś mu się stało w parku i Steven musiał się dowiedzieć co.

Rozwiązaniem zagadki okazała się strzałka. Steven trafił na nią z tyłu uda szefa. Usunął ją ostrożnie. Była mała, nie taka jak te, którymi weterynarze usypiają zwierzęta. Nie widział w parku nikogo z dmuchawką, więc pewnie wystrzelo-

no ją z niedużej broni pneumatycznej, może z pistoletu kaliber .177. Strzałkę przerobiono tak, by wstrzyknęła w ciało niewielką ilość cieczy - najwyżej jeden mililitr, rozmyślał Steven. Przypomniał sobie biegacza - mężczyzna odwrócił ich uwagę, wyrzucając tuż przed nimi plastikową butelkę, a potem zakaszał... w ten sposób mógł zagłuszyć syk wystrzału z pistoletu pneumatycznego. Teraz wszystko wydawało się takie oczywiste... Steven nie miał jednak czasu się nad tym zastanawiać. Do tylnej części furgonetki zaczął sączyć się gaz.

Kiedy Steven się ocknął, natychmiast tego pożałował -czuł się, jakby z całej siły walnął w mur, a sądząc

po stanie gardła, musiał chyba wciągnąć małą pustynię. Mimo wszystko starał się myśleć pozytywnie. Doszedł do wniosku, że skoro go coś boli, to znak, że jednak żyje. Próbował odwrócić się na bok, ale głowa zaprotestowała przeciwko temu ruchowi.

Pamiętał, że tuż przed utratą przytomności zdawało mu się, że za chwilę umrze. Nie mógł nie wdychać gazu, który dostawał się na tył karetki, a po zapachu nie potrafił stwierdzić, co to za substancja i jak bardzo jest groźna. Pozbawiła go czucia, ale dość powoli. Teraz się cieszył, że nie stracił godności i nie zaczął błagać jakiegoś nieistniejącego bóstwa o ocalenie. To, w jaki sposób staje się w obliczu śmierci, było dla niego ważne. Macmillan cały czas leżał nieprzytomny, a Lukas w ostatnich chwilach świadomości walił pięściami w ściany, żądając uwolnienia. Steven natomiast zwinął się na podłodze i zaczął myśleć o Lisie, Jenny i Tally... i o dobrych czasach.

Otworzył jedno oko i usiłował skoncentrować wzrok na tym, co miał nad głową. Był w jakimś pomieszczeniu. Na suficie wisiała świetlówka. Rozproszone jaskrawe światło sprawiło, że musiał lekko odwrócić głowę na bok, gdzie zobaczył... meble? Białe meble? Może to szafki kuchenne? Ale nie

218

219

pachnie tu jak w kuchni, pomyślał, znów zamykając oczy na chwilę. Chyba że ktoś użył szczególnie mocnego detergentu. Gdzieś z pomieszczenia dobiegł czyjś jęk i Steven skupił całą uwagę na tym dźwięku.

- Kto tam? - Nieprzyjemnie zaskoczył go własny chrapliwy głos.

- To ty, Steven? - odparł ktoś równie gardłowo.

- Lukas?

- Tak. Co my tu, do cholery, robimy?

- Tu, czyli gdzie? - zapytał zdziwiony Steven i przełknął ślinę, by oczyścić gardło.

- W moim laboratorium.

- W twoim laboratorium? Przywieźli nas do twojego laboratorium? - W końcu zdołał przetoczyć się na bok i wesprzeć na łokciu. Zobaczył, że leży na podłodze między dwoma stołami laboratoryjnymi. - Jesteś związany? - zapytał trochę zaskoczony swoją swobodą ruchów. Przecież został porwany.

- Nie - dobiegł głos zza stołu po lewej. - A ty?

- Też nie. Jest z tobą Macmillan?

- Nie widzę go. Poczekaj, rozejrzę się... Jezu, czym oni nas naszprycowali...

Steven nie odpowiedział. Cały wysiłek włożył w to, żeby się podnieść. Kiedy już wstał, musiał obiema

dłońmi podpierając się o blat stołu.

- Jest tutaj - rozległ się głos Lukasa z drugiego końca laboratorium. - Dochodzi do siebie.

Steven podszedł do nich. zaproponował, żeby wszyscy napili się wody, i zapytał, czy woda z kranu w laboratorium nadaje się do picia.

- To woda z sieci miejskiej - odparł Lukas. - Przyniosę jakieś menzurki.

Powoli, opierając się jedną ręką o stół, otworzył szklane drzwi szafki i wyjął trzy małe, sterylne szklane menzurki. Ste-venowi udało się posadzić Macmillana i oprzeć go plecami o szafkę. Potem odebrał menzurkę z wodą od Lukasa i podał ją szefowi. Drugą wziął dla siebie. Woda smakowała mu jak nigdy. Po twarzach towarzyszy widział, że im również.

- Scena żywcem z filmu Pustynny atak - odezwał się Macmillan z uśmiechem. - Gdzie jesteśmy?

- W laboratorium Lundborga - odparł Lukas z miną wyrażającą zakłopotanie i zaskoczenie.

- W twoim laboratorium? - wykrzyknął Macmillan. - Na Boga, niech mi ktoś opowie, co się stało.

Steven uzupełnił mu luki w pamięci.

- I ocknęliśmy się w laboratorium Lukasa - zakończył.

- Przywieźli nas tutaj? - dziwił się Macmillan. - Ale jak się tu dostali?

- Pewnie użyli mojej karty - wyjaśnił Lukas. - Miałem ją w portfelu. - Poklepał się po kieszeniach i ze zdumieniem stwierdził, że portfel jest na swoim miejscu. Wyjął z niego kartę. - Włożyli ją z powrotem. - Poszperał jeszcze w kieszeniach i dodał: - Ale zabrali mi telefon.

- Mnie też - powiedział Steven po przeszukaniu własnych kieszeni.

Macmillan potwierdził, że jego komórka również zniknęła.

- To jakieś szaleństwo - powiedział. - Po co nas tu przywieźli i zostawili? I zabrali tylko telefony, nic więcej...

- Może nas napadli, żeby ukraść komórki - rzucił żartobliwie Steven.

To, że żyją i najwyraźniej są wolni, znacznie poprawiło całej trójce humory.

220

221

- Widzieliście tych drani, co to zrobili? - zapytał Macmil-

lan.

- Nie. Ocknęliśmy się tuż przed panem - wyjaśnił Steven. - W parku było dwóch fałszywych sanitariuszy, ale nie zwracaliśmy na nich szczególnej uwagi, bo baliśmy się, że za chwilę pan umrze. Kiedy odzyskaliśmy przytomność, koleś już zdążył się ulotnić. To zaczyna mnie poważnie niepokoić. Wyczuwam w tym robotę Monka. Miał w ręku wszystkie atuty. Gdyby pozbył się całej naszej trójki, nikt nie zadawałby więcej trudnych pytań...

- W takim razie czemu nas porzucił? Dlaczego puścił wolno? - dociekał Macmillan.

- Lukas, do czego służy ta sala? - zapytał Steven, który już całkiem oprzytomniał i rozglądał się z zaciekawieniem.

- To nasze laboratorium do badania zagrożeń biologicznych. Mamy trzy laboratoria, ale tu zajmujemy się najgroźniejszymi próbkami.

- Czym się różni od innych?

- Są dwie komory izolacyjne - Lukas wskazał dwie przeszklone wnęki ze stołkami przed frontową ścianą. - Rzadko nam się zdarza badać organizmy chorobotwórcze, ale w takich przypadkach zawsze używamy tych komór. Laboranta chroni szklana ściana. Manipulacje wewnątrz komory przeprowadza za pomocą specjalnych rękawów. Poza tym w całym laboratorium stale panuje podciśnienie, czyli powietrze wpada, ale z niego nie wychodzi. Mamy też lampy ultravioletowe, które naświetlają salę, kiedy nikogo w niej nie ma.

- Jesteśmy tu zamknięci? - zainteresował się Macmillan.

- Niemożliwe - odparł Lukas. - Nie zabrali mi karty. To główny klucz do wszystkiego. - Wyjął ją z portfela i ruszył do drzwi.

- Stój! - wydarł się Steven.

38

- Nie dotykaj drzwi - polecił Steven. - Mówiłeś, że w laboratorium ciągle jest podciśnienie, ale posłuchaj... wentylacja w ogóle nie działa.

- Wyłączamy ją na weekend - wyjaśnił Lukas, ale od razu się zamyślił. - Z drugiej strony, powinna włączyć się automatycznie, kiedy ktoś wszedł do laboratorium...

Steven, który kręcił się po sali, oglądając stoły, podniósł w obu dłoniach dwie szalki Petriego i zapytał Lukasa, co to. Naukowiec zdziwiony podszedł do Dunbara.

- Nigdy nie zostawiamy tak sobie żadnych kultur mikroorganizmów - zapewnił. Wziął od Stevena jedną z tacek i przyjrzał się jej uważnie. - Wygląda na jakiś rodzaj grzyba - stwierdził. - Nie rozumiem. To zupełnie nie w naszym stylu. - Popatrzył na inne przedmioty na stole: kolejne szalki Petriego, stojaki z próbkami, erlenmajerki. - Nigdy w ten sposób nie pracujemy. Nie mam pojęcia, skąd się to wzięło...

- A ja wiem - odparł Steven. - Monk chciał upozorować kolejny „wypadek”.

Macmillan dołączył do nich, omiół wzrokiem stół, potem popatrzył na Stevena i zobaczył, że mina podwładnego nie wróży nic dobrego.

- Mów dalej - polecił.

- Nie sądzę, że to jakakolwiek kultura grzybów - zaczął Steven. - To pewnie to samo, czym otruli Johna Motrama. Kultury mikroorganizmów zostawili tu tylko dlatego, żeby wszystko wyglądało na wypadek podczas badań. Przynajmniej tak mają pomyśleć władze, kiedy nas znajdą z galaretką zamiast mózgow.

222

223

- Nie rozumiem. - Macmillan pokręcił głową. - Przecież tym tutaj się nie zatrujemy. - Wskazał wzrokiem na kultury mikroorganizmów leżące na stole. - Prawda?

- Owszem - odparł Steven w zamyśleniu. - To tylko dekoracja. Mieliśmy się ocknąć, podziękować szczęśliwej gwiazdzie za ocalenie, wyjść stąd... a wtedy...

Lukas i Macmillan patrzyli, jak idzie w stronę śluzy powietrznej. Zatrzymał się tam i spojrzał na prostokątną siatkę na suficie.

- Tędy wpada powietrze do laboratorium - wyjaśnił Lukas, podążając za wzrokiem Dunbara. - Zanim wydostanie się z sali, musi przejść przez system filtrów, o tam, zachowując przy tym różnicę ciśnień. - Wskazał w drugim końcu sali rząd urządzeń do wysysania powietrza.

- Założę się, że w systemie wentylacyjnym umieszczono toksyczne zarodniki tego grzyba - powiedział Steven. - Kiedy tylko otworzymy drzwi, wiatraki się uruchomią i wpuszczą do sali zarodniki grzyba zamiast świeżego powietrza. Monk na pewno zablokował drzwi po drugiej stronie śluzy, żebyśmy nie mogli się wydostać.

- A więc jesteśmy w pułapce - stwierdził Macmillan i z jego wnioskiem nikt nie zamierzał polemizować.

- Chyba że uda nam się jakoś stąd wydostać, nie uruchamiając systemu wentylacyjnego. - Steven popatrzył na Lukasa.

Naukowiec pokręcił głową.

- Mamy tu pół tuzina bezpieczników, które na pewno go uruchomią, kiedy tylko ktoś zacznie otwierać laboratorium - wyjaśnił. - Jest nawet zapasowe zasilanie na wypadek awarii prądu.

- Cholera.

- A gdybyśmy po prostu przeczekali? - zasugerował Macmillan. - Zdaję sobie sprawę, że to może być długi weekend, ale kiedy w poniedziałek rano przyjdą ludzie Lukasa...

- To włączą wiatraki. Zginiemy, zanim wymyślą, jak otworzyć drzwi. A i tak będzie to wyglądało na wypadek. Zresztą Monk na pewno pojawi się pierwszy. Wróci, żeby sprawdzić, czy wszystko poszło jak należy, i odblokuje rygiel w drzwiach, żeby „wypadek” wyglądał perfekcyjnie.

- Jeśli masz rację i zaczniemy wdychać te zarodniki, to ile czasu nam zostanie? - zapytał Lukas.

- To zależy, jak szybko pozabijamy się nawzajem - odparł Steven, budząc w swoich towarzyszach przerażenie. - Dużo myślałem o tym, co przydarzyło się Johnowi Motramowi. Jestem pewien, że Wydział Zdrowia Publicznego i personel szpitala w Borders właściwie rozpoznali ten grzyb, ale nie mogli wiedzieć, że został genetycznie zmodyfikowany i wywołuje szaleństwo i agresję. Takie sztuczki stosuje Porton Down... Ten mikroorganizm - podniósł jedną z szalek - opracowano jako broń biologiczną. Dziś sprytni naukowcy tworzą broń, która nie zabija, ale wywołuje jak największe zamieszanie w szeregach wroga. Coś, co doprowadza ofiarę do obłądzenia i zmienia ją w maniackalnego zabójcę, który chce pozbawić życia własnych towarzyszy, uznano by za broń idealną. To, że sama ofiara nie umiera, ale ma problemy z oddychaniem, wątroba, wymaga kosztownej i intensywnej opieki medycznej oraz izolacji, to już wisienka na torcie.

Macmillan pokręcił głową.

- Ale skąd Monk wytrzasnął coś takiego? Steven wzruszył ramionami.

- Może znów odezwali się starzy znajomi? Jakiś kumpel kumpla z Porton Down pomyślał, że warto by sprawdzić, jak działa ich najnowszy wynalazek? Otwarcie krypty w Dryburgh to wymarzony scenariusz do takiej próby.

Macmillan pobladał, a Steven wiedział dlaczego. Szef należał do starej szkoły i - mimo licznych dowodów wypływających

224

15 - W proch się obrócisz

225

w ciągu tylu lat - wciąż nie mógł uwierzyć, że Wielka Brytania angażuje się w takie rzeczy. Nie potrafił się przekonać do idei, że aby przeżyć, trzeba stać się tak złym, jak zły jest przeciwnik, z którym się walczy.

- To wszystko tylko teoria - powiedział bez większego przekonania.

- Miejmy nadzieję, że się mylę.

- Jak sądzicie, co zrobi Monk, kiedy wróci i zobaczy, że wciąż żyjemy? - zapytał Lukas.

- Uruchomi wentylację - odparł Steven.

- To było głupie pytanie - stwierdził samokrytycznie Lukas.

- Rozumiem - odezwał się Macmillan. - Nie mamy dowodów na to, co sugeruje Steven, ale nie możemy zaryzykować, by sprawdzić tę teorię. Musimy znaleźć sposób, by się stąd wydostać bez uruchamiania wentylacji.

- Łatwo powiedzieć - mruknął Steven, który zaczynał się już denerwować. Doskonale wiedział, że czas ucieka i wkrótce pojawi się Monk.

- A może zarodniki z wentylacji nie uszkodzą nam mózgow, jeśli zdołalibyśmy szybko się stąd wydostać?

- Musielibyśmy cały czas wstrzymywać oddech.

- Myślałem o wybuchu - wyjaśnił Macmillan. - Zrobilibyśmy dziurę w ścianie i przez nią byśmy zwiali. Są tu jakieś materiały wybuchowe, doktorze?

Naukowiec patrzył z powątpiewaniem.

- To laboratorium biologiczne - odparł. - Nie potrzebujemy tu takich środków. - Spojrzał bez entuzjazmu na przeszklone szafki z odczynnikami chemicznymi.

- A co jest w tym czerwonym cylindrze?

- Wodór. Za jego pomocą tworzymy warunki anaerobowe dla bakterii, które nie lubią tlenu.

- Z tego co pamiętam, opary wodoru mogą spowodować niezły wybuch, prawda?

- Jasne - rzucił zniecierpliwiony Steven. - Na pewno możemy się wysadzić tak, żeby pójść prosto do nieba. To szybsza śmierć niż po zatruciu grzybami. Ale o wywaleniu dziury w ścianie radzę zapomnieć. Chyba że Lukas dysponuje nitrogliceryną albo czymkolwiek, co pozwoliłoby nam zrobić kontrolowany, miejscowy wybuch.

- Przykro mi, nie mam nic takiego - odparł Lukas.

- Więc co teraz? - zapytał Macmillan. Steven spojrział na zegarek.

- Ocknęliśmy się jakieś dwadzieścia minut temu. Monk spodziewa się, że pewnie już wpadliśmy w pułapkę i właśnie zabijamy się nawzajem. W ciągu godziny wróci tu, żeby... dopracować ostatnie szczegóły.

- Chryste - westchnął Lukas. Macmillan milczał.

- Dobra - odezwał się Steven. - Nie da się wyłączyć systemu wentylacyjnego z powodów, które Lukas wyjaśnił wcześniej: po drodze jest za dużo bezpieczników. W takim razie zostaje nam tylko jedno wyjście. Musimy usunąć zarodniki z systemu. Monk i jego kumple na pewno nie mieli za dużo czasu, by przygotować tę pułapkę, więc moim zdaniem w rurach nad naszymi głowami umieścili coś w miarę prostego. Muszę się tam wspiąć i zobaczyć, czy coś znajdę. Co o tym sądzisz, Lukas? Zmieszczę się?

Doktor z niepewną miną popatrzył na Stevena, potem na kratkę w suficie.

- Może być ciasno. Z pewnością nie będziesz miał miejsca, żeby się obracać.

- Do roboty - powiedział stanowczo Steven i razem zaczęli ustawiać laboratoryjne meble tak, by mógł wejść pod

226

227

sufit. - Potrzebny mi śrubokręt, latarka, jakaś mokra ścierka. Przydałyby się cążki do kabli, a jeśli nie, to nożyczki albo

nóż.

- Mamy latarkę. - Lukas przerwał budowanie platformy i otwierał szuflady jedna po drugiej. Stukanie szuflad podkreślało atmosferę pośpiechu. - Jest śrubokręt, ale cążek chyba nie znajdę... cholera, gdzie są nożyczki? Cała masa skalpeli... zamiast ścierki użyjemy papierowych ręczników. Chyba że podrzemy fartuch...

Steven spoglądał na rosnące wyposażenie, stękając i mocując się ze śrubami, którymi była przykręcona kratka w suficie.

- A co, jeśli kratka jest podłączona do mechanizmu uruchamiającego wentylację? - zapytał Macmillan, podtrzymując platformę z mebli i patrząc w górę na Stevena.

- To mamy przesrane - odparł Steven, nie przerywając pracy.

Macmillan odwrócił wzrok.

- Jasna i miła odpowiedź, chyba nie mogę narzekać -mruknął pod nosem.

Steven zdjął kratkę i podał ją Lukasowi, który wrócił ze wszystkim, co zdołał zebrać. Steven wziął od niego te rzeczy i wepchnął je do dziury w suficie. Nie wkładał ich do kieszeni, bo wkurze i tak po nie nie sięgnie. Dwa skalpele wsunął sobie pod pasek zegarka. Resztę będzie popychał przed sobą. W końcu zdjął sweter i koszulę i rzucił je na podłogę. Po raz ostatni zerknął w dół, chwycił za brzegi otworu i podkulił kolana.

- No to w górę serca - mruknął.

39

Kiedy wciągał się do rury, przez chwilę pomyślał, że się nie uda. Miejsca było tam tyle, żeby włożyć głowę. A jeszcze ramiona. Nie miał też jak przesunąć się ani do przodu, ani do tyłu. Czuł się jak korek w butelce.

Musiał zdusić napad paniki. Panika tylko pogarszała sytuację. Nieskoordynowane szarpanie się do

niczego nie prowadziło. Skupił się tylko na prawej ręce. Wsunął ją pod brzuch, a potem wyciągnął przy głowie i wypchnął do przodu. Kiedy mu się udało, natychmiast nabrał pewności siebie i zyskał więcej miejsca, by powtórzyć to samo z lewą ręką. Gdy już miał obie ręce przed sobą, mógł się czegoś złapać. Dał radę.

Włączył latarkę. Rura ciągnęła się prosto przez jakieś sześć metrów, a potem rozwidłała w kształcie litery T. Tam będzie musiał podjąć pierwszą decyzję. Wyłączył latarkę, by oszczędzać baterie, i przeczołgał się tych sześć metrów. Szło mu nieznośnie wolno, a w ciasnej przestrzeni było koszmarnie gorąco, więc zaschło mu w gardle, a pot spływał po twarzy.

W rozwidleniu okazało się, że nie musi podejmować żadnej decyzji. Rura odchodząca w prawo metr dalej była za-śrubowana na głucho. Pewnie to jakiś właz kontrolny. Steven przez chwilę ożywił się, myśląc, że może tą drogą zdoła wyjść do innego pomieszczenia. Ale kiedy przyjrzał się bliżej, metaforycznie zszedł na ziemię: główki śrub znajdowały się po drugiej stronie. Nie było mowy, żeby odkręcić je od środka.

Spojrzał więc w lewo i zobaczył duży, nieruchomy wentylator - przegradzał rurę około ośmiu metrów od rozwidlenia. W słabym świetle latarki zdołał dojrzeć tylko łopaty wirnika

228

229

i ramę wentylatora, ale nie zobaczył tego, na czym najbardziej mu zależało - mechanizmu wrzucającego zarodniki grzybów do systemu wentylacji. Czy w ogóle tam był? Steven poczuł się niepewnie.

Jeśli tak, to urządzenie musiałyby się mieścić po tej stronie wentylatora, żeby zdołał cokolwiek z nim zrobić. Jeśli zainstalowali je po drugiej stronie, nie dosięgnie do niego. Będzie mógł tylko popatrzeć przez śmiejące mu się w twarz łopaty wirnika. Zaczął czołgać się do przodu.

Musiał ciągle mrugać, bo pot zalewał mu oczy, ale wilgoć na skórze pozwalała przynajmniej zmniejszyć tarcie i ułatwiała ślizganie się w metalowej rurze. Po trzech metrach znów się zatrzymał i włączył latarkę, ale przed wentylatorem nie widział żadnego mechanizmu. Wyłączył latarkę i oparł głowę na rękach. Rozpacz podchodziła mu do gardła, ale ją powstrzymywał tylko dzięki myślom o pewnym sierżancie, który go szkolił lata temu. Krzyczał na niego w górach północnej Walii, gdzie zacinął śnieg z deszczem i wył zimowy wiatr: „Dun-bar, jeśli wydaje ci się, że nie masz już siły... to się, kurwa, grubo mylisz, więc rusz dupsko i powtarzamy wszystko raz jeszcze”.

Steven zatrzymał się jakieś dwa metry przed wiatrakiem i włączył latarkę. Jest! Zobaczył najpiękniejszy widok w swoim życiu - wierzchołek okrągłego pojemnika. Wcisnięto go przed wentylatorem z dołu. Mechanizm uruchamiający wyglądał wręcz prymitywnie - z pojemnika biegł drucik przyczepiony do łopaty wirnika. Kiedy wiatrak zacznie się kręcić, zawór blokujący pojemnik zostanie wyrwany i zawartość dostanie się do obiegu powietrza.

Steven podsunął się i obejrzał wszystko dokładnie, by upewnić się, że niczego nie przeoczył, ale chyba nie. Zsunął plastikową osłonkę ze skalpela i przeciął drucik.

- I po wszystkim - mruknął, kładąc głowę na wyciągniętych rękach.

Leżał bez ruchu przez minutę. Czekał, aż oddech mu się uspokoi. W końcu oddychał jak przez sen. Pot nadal zalewał mu oczy, ale już go to nie irytowało, czerpał nawet dziecięcą przyjemność ze śledzenia drogi kropli, które szukały najłatwiejszego szlaku na twarzy. Już po wszystkim. Udało się. Są bezpieczni. Za kilka chwil zacznie długą podróż z powrotem do laboratorium. A tam wystarczy tylko otworzyć drzwi, wejść do służby i jakoś przebić się przez zaryglowane zewnętrzne drzwi.

Choć fizycznie wyczerpany, czuł ogromną ulgę. Zebrał resztki energii, by się wycofywać. Tak jak się obawiał, czołganie się do tyłu było jeszcze trudniejsze niż do przodu - wykonywało się mniej naturalne ruchy. Kiedy dotarł do rozwidlenia, brakowało mu tchu. Zniecierpliwiał się, gdy okazało się, że nie jest w stanie tyłem skręcić pod kątem prostym - ma za długie nogi.

Wyczerpał cały zasób przekleństw i najróżniejszych ich wiązańek, aż w końcu zdołał skręcić. Musiał odpocząć chwilę, żeby się uspokoić. Wyobraził sobie nawet chłodną bryzę pieszczącą mu policzek...

Bryza przerodziła się w huragan - ktoś włączył wentylator. Steven krzyknął, ale musiał pochylić głowę pod naporem powietrza. Poczuł ukłucie, kiedy zrozumiał, co się stało. Wrócił Monk. Chryste, już prawie dotarł do mety i nagle coś takiego... Monk wygra: jeszcze da radę upozorować wypadek i ujdzie mu to na sucho.

Po raz drugi w ciągu kilku godzin Steven stanął w obliczu śmierci. Jenny będzie opowiadać przyjaciółkom, że tatuś zginął w wypadku, ale przynajmniej Tally nie będzie musiała mówić, że jest wdową.

230

231

- Przepraszam, kochanie - mruknął. - Miałaś rację, myliłem się.

O dziwo, w głowie znów usłyszał głos sierżanta szkoleniowca sprzed lat: „Dunbar, to jeszcze nie koniec”.

Musiał przyznać, że to proste, niewyrafinowane zdanie ukształtowało jego psychikę. Nie zamierzał poddawać się śmierci z cichą akceptacją i godnością, tak jak w karetce. Zrobi to jak wojownik, który dobrze służył swojemu krajowi, i wykorzysta każdą okazję, żeby walczyć do samego końca.

Latarkę i inne drobiazgi zostawił przy wentylatorze, kiedy sądził, że już po wszystkim, ale miał jeszcze jeden skalpel wciśnięty pod pasek zegarka. To miała być jego jedyna broń - płaska stalowa rączka z trzycentymetrowym ostrzem, cienkim i łamliwym, ale tak ostrym, że w mgnieniu oka przetnie ciało do kości.

Steven zdawał sobie sprawę, że fizycznie nie podoła Mon-kowi. Wciąż czuł jeszcze efekty zatrucia gazem, na dodatek podróż przez trakt wentylacyjny wysała z niego resztki sił. Monk był psychopatą wyszkolonym przez MI-5 i niewątpliwie uzbrojonym, choć pewnie wolałby nie strzelać, skoro miał upozorować wypadek.

- Chodź tu, Dunbar, nie grzeb się - dobiegł go okrzyk z dołu, kiedy zbliżył się do wyjścia i trafił stopami na pustą przestrzeń.

Głos należał do człowieka z wyższych sfer, bardzo rozbawionego. Steven poczuł, jak lęk ściska mu gardło. Wsparł się na łokciach i opuścił stopy nad prowizoryczną platformą, szukając oparcia.

- Ostrożnie, nie chcemy, żebyś spadł i zrobił sobie krzywdę.

Steven zobaczył, że Macmillan i Lukas siedzą obok siebie na stołkach z rękoma związanymi za plecami, choć nie

widział czym. Niestety nie widział też Monka. Trzymał się więc jeszcze przez chwilę w powietrzu i czekał, aż przeciwnik znów się odezwie. Musiał wiedzieć, gdzie stoi Monk, by podczas schodzenia ukryć przed nim skalpel.

- Nie opóźniaj tego co nieuchronne, Dunbar - rozległ się leniwy głos z dołu.

Dochodził z lewej strony.

Resztkami sił Steven przesunął się po krawędzi otworu, tak by maskować wewnętrzną część lewej ręki, i opuścił stopy na platformę z mebli. Konstrukcja lekko zadrżała, kiedy stanął na niej mocniej. Monk był jakieś cztery metry dalej, wyglądał na odprężonego i w prawej dłoni trzymał broń. Steven, wycieńczony, rozebrany do pasa, cały mokry od potu i brudny od kurzu z wentylacji, już chciał skapitulować, ale wciąż słyszał głos sierżanta: „To jeszcze nie koniec”.

Opuścił głowę, udając całkowite wyczerpanie, ale w rzeczywistości wypatrywał najbezpieczniejszego punktu na platformie, z którego najbezpieczniej się wybije, gdy przyjdzie do ostatecznej rozgrywki.

- Mówili mi, że byłeś w SAS, Dunbar. A może jednak tylko w zuchach... - Monk zrobił krok do przodu.

Steven właśnie na to liczył. Monk znalazł się w jego zasięgu - teraz albo nigdy. Z wysiłkiem podsyconym adrenaliną wyjął skalpel spod lewego nadgarstka, zszedł na bezpieczny punkt platformy, który sobie wypatrzył, i rzucił się na przeciwnika.

Monk się tego nie spodziewał. Tak panował nad sytuacją, że nawet przez myśl mu nie przeszło, że stojący przed nim wrak człowieka może się zmienić w blisko dziewięćdziesiąt-kilogramowego latającego mściciela. Nie miał czasu zastanawiać się nad swoją pomyłką. Steven przeciął mu skalpelem gardło i krwawo zakończył jego życie, a potem obaj padli z hukiem na podłogę.

232

233

Steven nie planował niczego innego. Nie próbował nawet myśleć o tym, by obezwładnić Monka i oddać go wymiarowi sprawiedliwości. Takie rzeczy nadawały się do szkolnych komiksów i opowiadań. On miał tylko jedną szansę, żeby przetrwać: zabić Monka jednym ciosem. I udało się. Odniósł sukces. Pochylił się nad zlewem w laboratorium i zwymiotował. Kiedy doszedł do siebie, rozwiązał Macmillana i Lukasa.

Zaraz potem znów musiał wrócić do zlewu.

Poczuł dodający otuchy uścisk na ramieniu. Odwrócił się lekko i zobaczył Macmillana.

- Cieszę się, że wciąż jesteś w stanie tak to przeżywać - powiedział szef i zostawił go samego z własnymi myślami i pustym żołądkiem.

Macmillan przejął nad wszystkim kontrolę. Dzwonił w różne miejsca i, powołując się na swoje ministerialne pełnomocnictwa, zorganizował nieoficjalną operację oczyszczenia laboratorium. Steven i Lukas wyszli z sali. Siedzieli w pomieszczeniu socjalnym, czekając na powrót normalności.

Lukas był w szoku. Od dziesięciu minut nic nie mówił, tylko gapił się w podłogę. Wyglądał na głęboko zamyślnego, ale w rzeczywistości trwał w odrętwieniu po tym, co zobaczył. Steven starał się zająć cokolwiek, patrzył na elementy życia codziennego: magazyny „What Car”, pocztówki ze słonecznych miejsc przypięte na ścianie, rząd kubków do kawy z imionami bohaterów kreskówek, skarbonka na zrzutkę na dodatkową herbatę i kawę. Te rzeczy należały do normalnych ludzi, którzy nie robili tego, co on właśnie zrobił... co musiał zrobić, podkreślał w myślach, musiał zrobić. Ale obawiał się, że tę ocenę sam będzie wielokrotnie kwestionował, pewnie tuż przed świtem, kiedy pojawiają się wątpliwości i nie dają mu zasnąć.

40

Dołączył do nich Macmillan.

- Zaraz tu będą, a potem już możemy wrócić do domu i odpocząć. Steven, wezwałem ekipę od zagrożeń biologicznych i sprzątaczy. Wyjaśnisz im, gdzie dokładnie są te zarodniki i jak najlepiej je usunąć?

Steven pokiwał głową.

- Świetnie się spisałeś - pochwalił go Macmillan. - Wiem, że nie czujesz się teraz najlepiej, ale zrobiłeś, co należało. Gdyby nie ty, żaden z nas by już nie żył. Wiem, że to zabrzmiało niezbyt odpowiednio, ale dziękuję ci, stary.

- Tak, dzięki, Steven - dodał Lukas, siłąc się na uśmiech. - W imieniu żony i dzieci bardzo ci dziękuję. Nie przypuszczałem, że praca w laboratorium może być tak... - Zabrakło mu słowa.

Steven przyjął podziękowania skinieniem głowy, ale nie chciał więcej o tym słuchać. Koszmar tego, co zrobił - co musiał zrobić - wciąż był jeszcze zbyt świeży.

- Czy Monk powiedział wam coś jeszcze? - zapytał.

- Nic - odparł Macmillan. - Arogancki, zimny jak lód i za sprytny, by się chępić czy przechwalać. Spotykałem już takich typków. Pozabijałyby nas i nawet nie drgnęłyby mu powieka. Kiedy się zorientował, że rozbroił jego pułapkę w wentylacji, nie wpadł w złość, po prostu przyjął to do wiadomości i zaczął realizować plan B. Nic by go nie powstrzymało przed osiągnięciem celu.

Steven zamknął oczy i zobaczył, jak Monk spycha Louise Avery z klifu nad Solway.

- A tym celem było uciszenie nas, żeby nikt nie dowiedział się o operacji, która miała zmienić status serologiczny jakiegoś bogatego drania z HIV-em - dokończył.

234

235

- Właśnie - zgodził się Macmillan, bezbłędnie wyczuwając ton głosu Stevena. - To nie do wiary.

Dwie czarne nieoznakowane furgonetki zaparkowały przed laboratorium i dwie ekipy techników - w sumie osiem osób w białych kombinezonach - zaczęły sprzątać po pojedynku Dunbara z Monkiem, gdy już zostały krótko poinstruowane przez Macmillana. Przede wszystkim zapakowali do worka i zabrali zwłoki Monka. Wszystko miało się odbyć bez udziału policji, bez dochodzenia kryminologa, fotografowania miejsca zabójstwa, zbierania próbek, wreszcie bez interwencji prokuratury Jej Królewskiej Mości, bo w ogóle nie było mowy o rozprawie w sądzie. Monk żył poza prawem i tak musiało pozostać.

Dwaj technicy słuchali Stevena, który tłumaczył, jak usunąć zarodniki. Jeden uparł się, żeby mówić do niego „szefie”. Pierwsze pytanie brzmiało, czy muszą mieć pełne wyposażenie ochronne. Steven zapewnił ich, że to niekonieczne, bo pojemnik nie został naruszony. Dysponowali już planem systemu wentylacyjnego w budynku, więc Steven mógł dokładnie wskazać umiejscowienie pojemnika.

- Skoro włożono go od dołu, powinien wyjść w ten sam sposób - wyjaśnił. - Jest pod ciśnieniem, więc ostrożnie.

- Spoko, szefie.

- Kiedy tylko wyciągniecie pojemnik, zanurczcie go w płynie dezynfekcyjnym.

Tuż po pierwszej w nocy furgonetki w końcu odjechały. Laboratorium zostało przywrócone do poprzedniego stanu -co nie było łatwe, biorąc pod uwagę ilość krwi i to, że należało zneutralizować pojemnik z zarodnikami. Po krótkiej przerwie pod laboratorium przyjechały wezwane przez Macmillana samochody, które miały ich porozwozić do domów. Lukas zamknął drzwi wejściowe do laboratorium.

236

- Nie wiem, co powiem teściowej. - Próbował obrócić sytuację w żart.

- Raczej nie mówiłbym prawdy - odparł Steven.

Wiedział, że nie zaśnie tej nocy, więc nawet się nie starał. Usiadł na swoim miejscu przy oknie, patrzył w niebo, słuchał Milesa Davisa i popijał джин. Choć miał czas, żeby to przeanalizować, nie potrafił określić, co teraz czuje. Pewien był tylko jednego, że nie czuje się dobrze. Na chwilę udało mu się nawet zapaść w płytki sen, ale męczyły go koszmary i cieszył się, że znów się ocknął.

Kiedy pierwsze smugi szarego światła świtu zaczęły przyćmiewać pomarańczowy blask ulicznych latarni, zmusił się, żeby wstać i stawić czoło nowemu dniowi. Zaczął od długiego prysznic - choć odnosił

wrażenie, że usiłuje splukać coś, co nigdy nie zejdzie - a potem zrobił sobie tosta i kawę. Macmillan kazał mu stawić się w ministerstwie na dziewiątą rano.

- Zaprosiłem do nas komisarza londyńskiej policji - powiedział. - Opowiemy mu wszystko i damy do zrozumienia, że Inspektorat Naukowo-Medyczny nie będzie brał udziału w żadnym tuszowaniu sprawy. Chcemy, żeby całe te żałosne, poronione matactwa wyszły na jaw, niezależnie od tego, kim jest pacjent X.

- Świetnie. - Steven nie wątpił w szczerłość intencji Macmillana, ale zastanawiał się, jak to wypadnie w praktyce. Zdarzało się już, że Inspektorat bywał zmuszony do wycofania się „w interesie publicznym”. Choć trzeba przyznać, że takie przypadki zdarzały się rzadko, a znacznie częściej szef twardo bronił się przed naciskami ludzi z góry.

Swojego czasu Macmillan doprowadził do dymisji kilku bardzo wpływowych osób, którym wydawało się, że są ponad

237

prawem. I każdy wiedział, że to właśnie o wiele lat opóźniło nadanie mu tytułu szlacheckiego.

Steven słuchał, jak Macmillan zdaje relację z wydarzeń komisarzowi policji. Pytany uzupełniał szczegóły, zwłaszcza te dotyczące opieki nad Michaelem Kellym i „wypadku”, w którym zginęła Louise Avery. Kiedy Macmillan skończył, komisarz milczał dłuższą chwilę, stukając końcem długopisu o blat stołu.

- Wiedziałem, że coś się dzieje - odezwał się wreszcie. -W mojej pracy trudno tego nie zauważyć. Krążyło wiele plotek, ale żaden z moich ludzi niczego nie mógł potwierdzić. Zwykle oznacza to, że w sprawę są zamieszane służby wywiadowcze, ale tym razem to nie oni... przynajmniej nie oficjalnie.

Steven dobrze rozumiał komisarza. Facet wyrażał podobną frustrację, jaką przeżywali z Macmillanem przez ostatnich kilka tygodni.

- Niesamowite, że całe to zamieszanie zorganizowała garstka jakichś typów spod ciemnej gwiazdy - stwierdził Macmillan.

- Za to wpływowych typów - zaznaczył komisarz.

- Mimo wszystko... - zaczął Macmillan. A potem wygłosił kolejne ostrzeżenie, że nie może być żadnego tuszowania sprawy.

Komisarz wstał.

- Powinienem skonsultować się z pewnymi osobami. Wrócę do was za, powiedzmy, dwie godziny. Albo i trzy, bo jest niedziela.

- No to gra się zaczęła, Watsonie - mruknął Macmillan, kiedy odprowadził komisarza, ale nie zabrzmiało to zabawnie. - Napijesz się?

Steven nie miał najmniejszej ochoty na alkohol.

- A może przejdziemy się po parku? - zaproponował. - Albo nad rzekę? - poprawił się szybko, kiedy uświadomił sobie, że widok biegaczy może ożywić wspomnienia poprzedniego wieczoru.

- Nad rzekę - zdecydował Macmillan, któremu to samo przyszło do głowy.

Ledwie zaczęli się cieszyć spokojem niedzielnego poranka nad Tamizą, kiedy zabręczała komórka Macmillana. Steven nie mógł za wiele wydedukować z jednosylabowych odpowiedzi szefa. Od czasu do czasu Macmillan zadawał pytania, ale chyba nie był zadowolony z odpowiedzi.

- Dzwonił komisarz. Zorganizowano spotkanie - powiedział, kiedy się rozłączył.

- Gdzie?

- W bezpiecznym domu MI-5 w Kent - odparł, starannie wymawiając każdą sylabę.

41

C

o? - krzyknął Steven. - Dlaczego, do diabła...

- Kazał nie zadawać pytań. Obiecał, że wszystkiego dowiemy się później. Spotkanie zwołano na ósmą wieczorem.

- Więc nie wie pan nawet, kto tam będzie? - odparł Steven i brzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

- Nie mam pojęcia - przyznał Macmillan. - Ale wiem, że mi się to nie podoba. Przeczuję, że rząd Jej Królewskiej Mości poprosi nas, żebyśmy trzymali gęby na kłódkę. Nie dziwiłbym się, gdyby osobiście pojawili się szef MSZ i minister obrony i błagali nas o zachowanie tajemnicy.

238

239

- A jeśli rzeczywiście to zrobią?

- Nie popuszczę. Wykluczone. Dobrze wiesz, co o tym myślę.

- Dziwne miejsce na spotkanie - zauważył Steven. Macmillan wyczuł, że to coś więcej niż tylko przelotna uwaga, więc zapytał, co Steven ma na myśli.

- Zastanawiałem się tylko, czy w ogóle stamtąd wrócimy.

- Przecież dzwonił do mnie komisarz londyńskiej policji, nie jakiś mafioso - obruszył się Macmillan.

- Komisarz, który rozmawiał z MI-5, bo przecież wykorzystamy jeden z ich domów - przypomniał Steven.
- Ale może jestem przewrażliwiony, w końcu ostatnio tyle się zdarza wypadków.

- Może i racja. Już nie wiadomo, komu zaufać. Po południu nagram wszystko na płytę, która będzie naszą „polisą ubezpieczeniową”, i wyślę ją na domowy adres Jean z poleceniem, co ma zrobić, gdyby cokolwiek nam się stało dziś wieczorem. Wtedy zastanowią się dwa razy, zanim podniosą na nas rękę.

- Rozumiem, że pojedziemy służbowym wozem?

- Otóż nie - odparł Macmillan trochę zakłopotany. - Chodzi o to, żeby spotkanie było jak najdyskretniejsze. Żadnych służbowych aut, żadnych szoferów.

- Tylko my... gdzieś w wiejskim domku na zadupiu -mruknął Steven z kamienną twarzą.

Jego sceptycyzm zaczął się udzielać Macmillanowi.

- Myślisz, że powinniśmy to odwołać i zaproponować inne miejsce? - zapytał.

- Nie, po prostu gram adwokata diabła. Nie mogę się doczekać, by zobaczyć, którzy politycy wiją się na tym haczyku.

Steven zabrał Macmillana z ministerstwa tuż przed szóstą i wspólnie pojechali do Kentu, najpierw do Canterbury, potem do Patixbourne, skąd już według szczegółowych wskazówek dotarli do gospodarstwa Lancing - przebudowanej suszarni chmielu na obrzeżach wioski.

- Spokojnie tu - powiedział Steven, kiedy powoli podjechali pod dom z czerwonej cegły.

Stało tam kilka pojazdów: dwa range rovery, volvo kombi i ciemny sedan z logo maserati na kratownicy maski. Była za osiem ósma i wszyscy czekali już tylko na nich, jak dowiedzieli się od komisarza.

- Czyli nikt nie zamierza robić teatralnego wejścia -stwierdził zaskoczony Steven.

- Zaraz zobaczycie dlaczego - wyjaśnił komisarz i zaprowadził ich do środka. - Żaden z nas tu zebranych nie robi „teatralnych wejść”.

Steven musiał mu przyznać rację. W pokoju siedzieli szefowie MI-5, MI-6 i Wydziału Specjalnego.

Macmillan natychmiast zwiększył czujność. Rozejrzał się, po kolei przywitał zebranych skinieniem głowy.

- No, panowie, niezłe z nas stado małp. Mogę zapytać, gdzie są nasi polityczni treserzy?

- Nie będzie polityków, John - odezwał się komisarz. -Wierz lub nie, ale żaden polityk nie ma o tym pojęcia.

Macmillan najwyraźniej w to wątpił, ale powstrzymał się od komentarza.

- Mów dalej - powiedział tylko.

Komisarz zwrócił się do szefów służb wywiadowczych:

- Od kilku tygodni wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że coś się dzieje, ale żaden z nas nie potrafił dociec, co takiego. Dochodziły do nas strzępy informacji, ale nikt nie znał

240

16 - W proch się obrócisz

241

całej historii. Kiedy rano spotkałem się z Johnem i Stevenem, od razu zrozumiałem, że Inspektorat Naukowo-Medyczny zdołał wypełnić większość luk i chwala im za to. Jednak po rozmowie z wami ja też mogę wypełnić jedną lukę, bodaj najważniejszą. - Odwrócił się do Macmillana. - John, śledztwo Stevena doprowadziło wasz Inspektorat do wniosku, że w operacji przeprowadzonej w szpitalu Świętego Rafała chodziło o zmianę statusu serologicznego pacjenta i że była to polityczna przysługa wyświadczona przez kogoś z góry jakiemś wielkiemu szejkowi albo któremuś z bliskowschodnich polityków. Przyjechałeś tu dzisiaj, by domagać się ujawnienia całej tej afery.

Macmillan milczał jak zakłęty.

- W jednej sprawie masz rację, w drugiej się mylisz. George opowie nam więcej.

George Meacher, dyrektor MI-5, odchrząknął.

- Kiedy komisarz zadzwonił dziś do mnie i powiedział o odkryciu Inspektoratu Naukowo-Medycznego, nagle nabrała sensu jedna ze spraw, nad którą pracowaliśmy. Jakiś tydzień temu Malcolm Shand, nasz były ambasador w dawnym Związku Radzieckim, przeżył załamanie nerwowe i trafił do szpitala. Nasze zainteresowanie tym przypadkiem wzrosło, kiedy usłyszeliśmy, że Shand boi się o życie i twierdzi, że niejaki Monk został wynajęty, by go sprzątnąć. Nazwisko Monka wypływało ostatnio dość często, a my oczywiście dobrze wiemy, kto to taki. W sprawę zaangażował się obecny tu Martin, bo Shand miał przecież kontakty w bloku sowieckim. Obaj chcieliśmy się dowiedzieć, co Shand kombinuje.

Martin Cessford, dyrektor MI-6, skinął głową.

- Poszliśmy uciąć sobie z nim pogawędkę - wtrącił.

- Tak jak wspominałem - podjął znów Meacher - Shand załamał się nerwowo i bredził coś o tym, co może mu się przy-

darzyć. Ale ciągle powtarzał, że „inni” uznali, że nie potrafi dochować tajemnicy, więc Monk go zabije. Zdołaliśmy z niego wydobyć, że ta tajemnica ma jakiś związek z operacją medyczną, ale niewiele więcej. Kiedy dotarło do nas, co odkryliście, wróciliśmy do Shanda. Zapewniliśmy go, że nie musi się bać, bo Monk już nigdy nikogo nie zabije. Poczekaliśmy, aż trochę się uspokoi, a potem opowiedzieliśmy mu, co jeszcze wiemy... niewykluczone nawet, że wymknęło nam się, że jego byli koledzy mogą szukać kogoś na miejsce Monka. Złamał się i sporo nam wygadał.

Komisarz wyjął zdjęcie z koperty formatu A4 i podniósł je, żeby wszyscy zobaczyli.

- Panowie, oto pacjent X.

- Boże wszechmogący - wyrwało się Macmillanowi. Steven był zbyt zaskoczony, by cokolwiek z siebie wydusić.

Ich reakcja najwyraźniej ucieszyła komisarza.

- Panowie - powiedział. - Godzinę temu czułem się bardzo samotny, gdy stałem przed wentylatorem, w który właśnie wpadło gówno. Miło, że jesteście ze mną.

Steven i Macmillan wciąż nie mogli dojść do siebie.

- Jego ojciec sądził, że zdołają uniknąć kolosalnego skandalu, powtarzając eksperyment z Berlina, więc poprosił przyjaciół o pomoc. Każdy ma jakichś wpływowych kolegów. On ma tych najbardziej wpływowych. Ich błąd polegał na tym, że zaangażowali Jamesa Monka. Najwyraźniej sądzili, że Monk dopilnuje, by nic się nie wydało. Ale jak wiemy, to nie sama zbrodnia wydaje przestępcę, tylko zacieranie śladów.

- Zaufali psychopatycznemu mordercy, że nikt nie puści pary z ust... - mruknął z niedowierzaniem Macmillan. - Co oni sobie w ogóle wyobrażali?

Zebrani pokiwali głowami.

242

243

- Ale nie brakowało mu rąk do pomocy - zauważył Steven.

- Ludzie często starają się przypodobać i nie zadają zbyt wielu pytań - powiedział komisarz. - Przymykają oczy, przytakują. Sami wiecie, jak to jest.

- A więc skoro żaden polityk nie był w to zamieszany, żaden z polityków nic o tym nie wie, zgadza się? - zapytał Macmillan.

- Z tego co udało nam się ustalić, tak - przyznał komisarz, rozglądając się po zebranych w oczekiwaniu na potwierdzenie. - I tak oto dochodzimy do najważniejszego pytania tego wieczoru. Co z tym zrobić... co z tym, kurwa, zrobić?

Po minach widać było, że nikt nie ma ochoty się odezwać. W końcu Macmillan przerwał milczenie:

- Myślę, że wszyscy możemy sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby to wyszło na jaw.

- Gorszej chwili nie mogłoby być. W kraju i tak już panuje bałagan - dorzucił szef MI-5, a reszta kiwała głowami.

Trudno było się z tym nie zgodzić, ale Stevena przepełniało uczucie gniewu i bezradności. Zacieranie śladów zakończyło się dla wielu ludzi śmiercią lub kalectwem. Czy można ich traktować jak zużyte części? Nie zdołał powstrzymać języka.

- Mamy namacalny dowód, co się dzieje, kiedy wpływowi ludzie zbiorą się i wymyślą sobie jakiś plan - warknął. - Jakież cholerne igrzyska olimpijskie w Kretynowie.

Macmillan rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, ale pozostali nic nie powiedzieli.

- Skoro żadnego z polityków nie pociągniemy do odpowiedzialności, to jak zrekompensować straty rodzinom ofiar? - ciągnął Steven.

- Niełatwa sprawa - stwierdził komisarz.

- Nie ma właściwych procedur - dodał inny.

- Ale dzięki Shandowi znamy nazwiska osób zaangażowanych - stwierdził szef Wydziału Specjalnego. - Trudno będzie udowodnić, że brali bezpośredni udział w tym, co robił Monk, ale chyba bez większego problemu przekonamy ich, że wiemy, co uknuli. Może warto odwołać się do ich „dobrego serca”...

Steven nie wytrzymał.

- Albo do dobrego serca ich „przyjaciela” - dodał.

- Steven... - zaczął Macmillan niepewnie w drodze powrotnej do Londynu. Doskonale zdawał sobie sprawę, że w jego podwładnym buzuje gniew. - Myślę, że obaj potrzebujemy czasu, żeby się uspokoić i przemyśleć wszystko.

- Nie - odparł Steven. - Rano dostanie pan moją rezygnację.

Macmillan mógł tylko westchnąć. To był bardzo długi dzień.

- Zastanów się jeszcze, proszę.

Kiedy wrócił do domu, wykręcił numer Tally.

- Halo?

Jej zaspany głos sprawił, że Steven zapomniał języka w gębie.

- Halo, kto mówi?

- Pewien bezrobotny szklarz, który zastanawia się, czy jeszcze go pamiętasz.

- Steven? To naprawdę ty?

- Aha.

- O czym ty gadasz?

244

245

- Koniec z Inspektoratem. Złożyłem rezygnację.

- O Boże - krzyknęła Tally, budząc się zupełnie. - Poważnie?

- Tak. Czy to coś zmienia?

- Codziennie zasypiałam z twoim imieniem na ustach. Zawsze dobrze ci życzyłam, ale nigdy nie sądziłam, że kiedykolwiek cię jeszcze zobaczę...

- To może się upewnimy?

- Zgoda.

Od autora

Ta powieść to fikcja literacka, ale oparta na faktach naukowych. Badania nad białkiem CCR5 - chemokinowym receptorem obecnym na powierzchni bakteriofagów T4 - wykazały, że jego brak (mutacja Delta 32) powoduje odporność na zakażenia pewnymi wirusami, w tym HIV. Nagły ogromny wzrost liczby ludzi z mutacją Delta 32 w Europie w XIV wieku, tuż po przejściu czarnej śmierci, wzbudził podejrzenia, że epidemia nie została wywołana bakterią dżumy, jak się powszechnie uważa, ale niezidentyfikowanym jeszcze wirusem.

W listopadzie 2008 roku niemiecki hematolog doktor Gero Huetter ogłosił, że udało mu się odwrócić status serologiczny pacjenta, u którego stwierdzono HIV. Leczonemu na białaczkę pacjentowi przeszczepiono szpik kostny z materiałem uzyskanym od dawcy mającego mutację Delta 32 po obojgu rodzicach. Kiedy podano tę wiadomość, pacjent żył bez HIV już dwa lata i nie brał żadnych leków antyretrowirusowych, które są standardową terapią w przypadku AIDS.

Koniec.

